

LISTY
Z PODRÓŻY.





ŻDZISŁAW CZARTORYSKI.



LISTY Z PODRÓŻY.

WYDANIE DRUGIE.

POZNAŃ.

NAKŁADEM AUTORA.

CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.

1897.



139222

PANU
KAROLOWI KOZŁOWSKIEMU

NIEGDYŚ SWEMU NAUCZYCIELOWI

DZIŚ DROGIEMU PRZYJACIELOWI

W DOWÓD

WDZIĘCZNOŚCI, CZCI I PRZYJAŹNI

OFIARUJE

AUTOR.



List I.

Drezno, 2 kwietnia 1895.

Mój drogi!

.....**Z**a godzin kilka opuszczam Drezno. Dokąd pojedę, sam nie wiem, bez planu i celu, byle daleko i jak najprędzej. Gdzieś „w nieznanne krainy Południa, przed ścigającą myślą i mrozami grudnia”, jak pisał Słowacki, z tą tylko różnicą, że on wołał o konia, chcąc wicheru, tętentu, a ja inwalida i prozaik proszę o sleeping, pragnąc słońca i spokoju. Mam już dosyć mrozu i śniegu, widoku podniesionych kołnierzy i odmarzniętych uszu, a ponieważ wiosna w tym roku rozpocząć się nie chce, przeto do niej pojedę i szukać jej będę. — Listy będziesz nadal otrzymywał, tylko mniej regularnie i mniej pięknie pisane; a nie

chcąc zbyt długich przerw robić i Twego gderania ryzykować, obiecuję Ci jak najczęstsze wysyłanie krótkich choć notatek, którym co wieczór godzinę poświęcę. Przedewszystkiem nie spodziewaj się dokładnego i starannego opisu podróży, z podaniem nazwisk stacyi kolejowych, godzin wstawania, jedzenia i t. d. W opisy Włoch już się dziś nikt nie wdaje; podróże do Afryki Środkowej, między *Somalisy* i *Niam-Niamczyki*, ledwo zdolne są ciekawość czytających rozbudzić, a cóż dopiero banalne, tyle set razy opisywane i ośpiewywane Włochy.

Listy me będą tylko na przedzie spisywanymi wrażeniami, jakie w ciągu dnia, patrząc na ten lub ów krajobraz, albo posąg w galerji, odniosłem. Nie szukaj w nich porządku, nauki i kwiecistego stylu, ale bądź pobłażliwym i nie zapominaj, żem smutny, chory i znudzony!

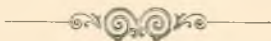
Dołącz do tego fakt, że przebyłem wczoraj ciężką próbę, mogącą i najsilniejsze nerwy nadwreżyć. Obchodzono tu, jak w całych Niemczech, uroczystość Bismarcka. Spokojni zwykle i powolni Sasi doszli przytem do takiego stopnia rozbustwienia w rykach i wyciach, po wszystkich ulicach się rozlegających, jakiego Drezno i za najświetniejszych Augu-

stowskich czasów, jedzenia, picia i popuszczania pasa, nie słyszało.

Dziś znowu cicho, Sasi mają kota — a ja z radością spostrzegam, że godzina mego wyjazdu się zbliża... Do widzenia w przyszłym liście... Zapewne pojedę do Gardone...

Twój

Zd. Cz.





List II.

Bozen, 4 kwietnia 1895.

Opuściwszy Drezno drugiego wieczóra, stanąłem nazajutrz rano w Monachium. Ponieważ pociąg, idący na Południe dopiero za 3 godziny miał odejść, przeto korzystałem z czasu, by się po mieście przejechać i tegoroczną Secesyą bawarską zwiedzić. Wypiwszy jakąś lurkę w najbliższej kawiarni, wsiałem do fiakra i pojechałem na Regentenstrasse.

Z wszystkich stolic niemieckich najwięcej lubię Monachium, gdyż najmniej posiada cechy Północnej i pruskiej. Przejechałem koło niezliczonej ilości bram tryumfalnych, pod którymi tylko powietrze przechodzi, koło obelisków, posągów i pomników dla zmarłych, żyjących i mających się narodzić wielkości bawarskich, przypatrywałem się tłumom, piwem wytuczono-

nych mężczyzn i jak ptaki bez skrzydeł spacerujących kobiet i zajechałem do pałacu secesyjnego.

Zbyt ograniczony czas pozwolił mi tylko pobieżnie zobaczyć parę ciekawych obrazów *Stucka*, ryzykowne ale ładne studia *Bredta*, starych mistrzów naśladowujące portrety *Sambergera*, krajobrazy *Schmaussa* i do najwyższego stopnia ciekawe kreacje młodego Rosyanina *Schneidera*, w których i technikę i głęboką myśl podziwiać trzeba.

Wróciwszy na dworzec, widziałem wysiadającego z fiakra zbrodniarza sławnego, o którego pojmaniu w rannój gazecie czytałem. Okuty w ciężkie kajdany i prowadzony przez kilku żołnierzy, miał na rzeczach i bieliźnie świeże znaki krwi.

Pociąg nadjechał, i ze strachem widziałem, jak był przepelnionym, to też samotności nie użyłem. Towarzystwo, z którym miałem większą część dnia przepędzić, składało się z paru bardzo nudnych, starych i wciąż jedzących Niemców, z jegomością brzydkiego, jak noc, który może dla tego całą drogę przez Brenner przechrapał, wreszcie z jakiegoś tłustego olbrzyma, z pogardą się wyrażającego o wszystkim, co go otaczało i dającym do zrozumie-

nia, że wielkim zaszczytem dla Włoch jest, iż on tam jedzie.

Droga prowadząca przez Brenner jest najkrótszem połączeniem Niemiec z Włochami.

Dużo ludzi ją opisywało, Goethe i Heine ją unieśmiertelnili, w krótkości więc tylko o niej wspominam. Za Kufsteinem, będącym granicą austryacką, rozpoczynają się góry i piękne widoki. Miałem zamiar zatrzymania się w Insbruku, ale pilno mi było na Południe, więc zaniechałem projektu. Przed laty byłem w tym cudnym zakątku kraju; podziwiałem spiżowych cesarzy, ustawionych w katedrze jak w panoptikum, słuchałem legend i pieśni o Hoferze i cieszyłem się widokiem tego uroczego miasta, które jak orle gniazdo między skałami i górami zawisło.

Za Insbrukiem kolej poczyną się wznosić coraz wyżej i przez liczne tunele, między przepaściami, dojeżdża się koło jeziora na szczyt Brenneru. Tuż przy szynach widziałem szczątki domku kolejowego, który przed paru laty spadająca lawina porwała i wraz z mieszkańcami zmiażdżyła. Podczas, gdy koło Insbruku zieloność już znacznie posunięta była, na Brennerze leżał i padał śnieg. Moi towarzysze podróżni, wyczytawszy w Bedekerze, że na szczycie Brenneru zwykle zimniej bywa niż na dole,

rzucili się na wszystkie okna, szczelnie je zamykając, wskutek czego powstała „eine angenehme Stubenluft,“ czyli poprostu zaduch.

Najpiękniejsza droga jest za Brennerem, gdy się nagle dosyć na dół zjeżdża. Jodłowe i świerkowe lasy, nad niemi popielate skały wapienne, wyżej śniegiem pokryte Alpy, a górą turkusowe niebo. Koło pociągu wiję się w fantastycznych skrętach i kaskadach rzeka Inn, czasem w głębokiej przepaści, czarna i ponura, czasem tuż obok okien wagonu, błękitna, zielona lub pianą biała.

Po przejechaniu Franzensfeste, fortecy poczciwych Austryaków, wyglądającój na wielkie podwórze folwarczne, dojechaliśmy o zmroku do Bozen. Ponieważ wieczór się zbliżał, przeto ograniczyłem się tylko na małej wycieczce w okolicach hotelu, ciesząc się na widoki dnia jutrzejszego i obejrzenia miasteczka, które przed laty zwiedzałem, ale nie wśród słonecznego i bezchmurnego nieba. W powietrzu czuć było woń kwiatów i wiosnę.

Zd. Cz.





List III.

Riva, 5 kwietnia 1895.

Wędrówkę po Bozen rozpocząłem od wejścia na Kalwaryą. Jest to nie wysoka wprawdzie góra, ale widok z niej na miasto i okoliczne góry wspaniały. Przy kaplicy na szczycie będącej, jest terasa, z której dojrzeć można śnieżne korony Alp, śliczny kontrast z zielonością łąk tworzące.

Natura jest poezją przyrodzoną Boga! Nigdy nie poczęta i nigdy nie skończona. Słońce wiosenne karmiło łąki i pola mlecznymi strumieniami swych promieni, góry zdrząły wzruszone i rozplakały się potokami lez srebrnych, ziemia uśmiechnęła się słońcu i zapłonęła milionem kwiatów różnobarwnych, a w przesyconem wonią powietrzu i pod sklepieniem pałaców jodłowych rozlegał się rozhovor sko-

wronków i słowików. Była to już wiosna! Oddychałem jej powietrzem, patrzałem w jej blaski i myślałem o tem, że i w duszy ludzkiej bywają chwile jasne i słoneczne, bywają czasem melancholiczne wieczory księżycowe i chwile, w których tak czarno i ponuro, jak w ciemnej nocy pogrzebu.

Odbywszy drugą wycieczkę w przeciwną stronę, zkad taki piękny widok na sławny Rosengarten, i posiliwszy się w małej i schludnej restauracyje znakomitemi pstragami i butelką „Perle von Tirol“, wyjechałem na parę godzin do Meranu, celem odwiedzenia przyjaciela p. S.

Jadąc ciągle nad korytem Adiga, ma się po obu stronach rozległe widoki na Alpy. Sam Meran jest prześliczny. Widocznie Bóg chciał tym wszystkim biedakom, którzy swą agonią piersiową zwykle w Meranie rozpoczynają, uprzyjemnić pobyt i dystrakcyą pewną sprawić. Z powodu otoczenia górami, roślinność jest zupełnie południową i widać już pierwsze cyprysy i laury, a na pewnej drodze, prowadzącej nad dzikim potokiem, jest zbiór wszelkich koniferów i innych roślin, jakie w tym kraju rosną.

Parę godzin spędzonych w Meranie użyliśmy wraz z p. S. na zwiedzanie miasta, ku-

powanie fotografii i sławnych tyrolskich jabłek, wreszcie na zjedzenie kolacyi w ogromnej restauracyi, wśród tłumu i gwaru licznych gości wszystkich narzeczy.

Mając zamiar opuszczenia Bozen po południu, poświęciłem ranek zwiedzeniu kościoła i innych nielicznych ciekawości. Kościół farny z końca piętnastego wieku ma ładną wieżę i ładną bramę. W środku nie widziałem nic godnego uwagi. Ruch w mieście dosyć znaczny, handel ożywiony, głównie może dla tego, że Bozen tworzy niejako bramę do Austryi, Włoch i Szwajcaryi. Wąskie uliczki z krużgankami krytymi przypominają Włochy; w małych, ale schludnych sklepikach sprzedają sukna tyrolskie, zwane Loden, wyroby z drzewa i sławne na cały świat konfitury i owoce, robione na musztardzie i zwane la mostarda.

Zjadłszy obiad w towarzystwie orkiestry jodlujących Tyrolczyków i butelki doskonałego Terlano (stacya między Bozen a Meranem), opuściłem ten mały raik tyrolski, jadąc wśród winnic i ogrodów, z coraz bardziej Południową wegetacyą, *do Mori* i dalej najfantastyczniejszą w świecie, nowo zbudowaną koleją, przez dzikie skały, urwiska, przepaście, o szalonych skrętach, *do Rivy*.

Myślę, że kolęj ta którego poranka rozleci się cała, gdyż jest zanadto sztucznie zbudowaną. Cieszę się, że to nie był ten poranek, w którym jechałem! Dla tłoku i gorąca jechałem trzecią klasą wraz z jakąś rozczulającą się rodziną niemiecką, ale na szczęście austriackim akcentem.

Kolęj wznosi się wśród dzikich skał coraz wyżej i wyżej i nagle otwiera się między niemi szczelina i z niebotycznej wysokości dostrzega się całe jezioro *Garda*. Widok ten niespodziewany jest tak nadzwyczajnym i potężnym, że się w zupełnem osłupieniu i zachwyceniu pozostaje. Wnet jednak widok ten ginie i przed oczami roztacza się ogromna dolina, kwiatami, cyprysami, figami i granatami porośla.

Pociąg staje w *Arco*. Arco schowane między górami i skałami, zasłonięte od wszelkich Północnych wiatrów i przewiewów, otwarte tylko jedną szeroką szczeliną na Południe, na włoskie niebo i słońce, w które biedni suchotnicy wpatrzeni i wmodleni, zdrowia i życia oczekują.

W górze widać zamek Arco, niegdyś przez Francuzów zburzony, dziś pięknymi zakładami ogrodniczymi się odznaczający.

Krajobraz poczyna się zupełnie włoski — pociąg wolnym truchcikiem posuwa się do

Rivy. Po obu stronach muły, osły, stare Włoszki jak sępy i wysmukłe chłopaki o czarnych oczach, czarnych włosach i czarnych lyd-kach, gwar, krzyk, smród, a nad tem wszystkim niebo coraz ciemniejsze, cyprysy i cedry coraz wyższe i czarniejsze. A jednak to jeszcze nie Włochy, lecz dziwnym zbiegiem losów i polityki Austria. To nie przeszkadza, że lud czuje się włoskim, Niemców serdecznie nie cierpi i ledwo wie, że Franz Josef jest ich monarchą.

Na dworcu w Rivie już po niemiecku rozmówić się nie można, już tylko Włosi są, którzy gestykulując i krzycząc porywają kufry i manatki, wszystkie hotele polecają. Wybrałem sobie niedaleko dworca, a tuż nad jeziorem leżący szumno brzmiący: *Albergo Trafellini al Solo d'Oro*, i dostałem szkaradny pokój, gdzie nie tylko o słońcu, ale nawet o jakim bądź świetle dziennem mowy nie było. Ale za to terasy z tak pysznym widokiem na jezioro i góry, że w pokoju siedzieć nie warto.

Niestety, prawie pierwsza osoba, z którą musiałem się zapoznać, był doktor miejscowy, którego na poufną pogadankę do hotelu zaprosiłem. *Dr. Sagalla*, uszczęśliwiony z zaufania, jakie mu okazałem, przybył co prędzej. Jest to typ prawdziwie graniczny, łączący w sobie

dobrodusznego i gemüthlichen Austryaka z ognistym i nerwowym Włochem. Dzięki jego zabiegom czułem się o tyle na siłach, iż mogłem tego samego dnia jeszcze Rivę i jej okolice zwiedzić.

Riva jest małym, wesołym miasteczkiem, leżącym nad zatoką jeziora Garda, którego jest głównym portem, z ładnym rynkiem, włoskimi arkadami otoczonym, i licznymi typowymi domami. Duże koszary, w których podwórzu kilkudziesięciu żołnierzy w piłkę grało, dwa kościoły, z których katedra restaurowana i kościół Minorytów z niezłemi sztukateryami z XVI wieku i paru dobrymi płótnami podobno starego Palmy, tworzą główne ciekawości miasta. Przed wieczorem zrobiłem wycieczkę piechotą, po drodze wykutęj w skale nad jeziorem, do wspaniałego wodospadu *Ponal*. Powrót przy świetle księżyca z widokiem na Rivę, której migocące światła w jeziorze się odzwierciadlały, był pyszny.

Zd. Cz.





List IV.

Gardone-Riviera, 6 października 1895.

Gdy chwilę przed wyjazdem z Rivy zasiadłem do śniadania w restauracyi hotelu, w którym mieszkałem, nagle otworzyły się z trzaskiem drzwi i wpadł do pokoju ów tłusty olbrzym, z którym dni temu parę z Monachium do Bozen jechałem. Na głowie miał tyrolski kapełusz z fantastycznie założonem piórem, a nad plecami wzdymała się na kształt rozpiętego żaglu zarzucona almaviva. Zamaszystym krokiem przeszedł salon, dumnym i pogardliwym okiem spojrzął na mnie, mój beafsteak i do połowy wypróżnioną butelczynę, zasiadł do stołu i zawoławszy stentorowym basem „kelnerrr“... zjadł kawałek chleba z serem. W jego całym zachowaniu się przebija rasa, do której należał. Czuje się panem świata, synem potężnego na-

rodu, członkiem trójprzymierza, ale jest zawsze oszczędnym, obrachowanym i zadawalniającym się łatwiej od kogobądź.

Dzwon hotelowy oznajmił nadejście statku. Zapłaciłem nie wielki mój rachunek i udałem się na mały plac tworzący rodzaj portu.

Przedemną kołysał się statek z nazwą „*Depretis*.” W hotelu słyszałem o wielkiej bezwzględności, jaką się odznaczają urzędnicy pełniący służbę na statkach. Skoro znak dany do ściągnięcia mostku, łączącego statek z wybrzeżem, nikomu nie wolno już wsiadać. Niestety, pełno osób spóźnia się regularnie na statek, nie rozumiejąc godzin, podanych na planach, przybitych w hotelach i na dworcu kolei. Dawnemi czasy nie dzielono dnia na dwanaście godzin, ale na dwadzieścia i cztery, co swoją drogą było bardzo logicznem. W wielu miejscach, zwłaszcza mniej cywilizowanych, rachuba ta do dziś dnia pozostała. Tak też „*Depretis*,” według planu drukowanego, wyjeżdżał o trzy kwadransy na siedemnastą. Nie znający téj rachuby, chcąc obliczyć i odliczyć jaką godzinę to oznacza, mają najpewniejszą szansę spóźnienia się na pociąg lub statek. Tak też się stało tego dnia. Kilka zadyszanych osób dopadło w ostatniej chwili mostku, chcąc się na statek dostać. Cofnięto je w brutalny sposób, i po

chwili „Depretis“ ruszył. Ponieważ jednak jest jeszcze drugi port, do którego statek dopływa, przeto biedni spóźnieni wskoczyli do łódki, chcąc w ten sposób na statek się dostać. Podjechali pod niego, ale kapitan, rubaszny jakiś facet, z miną sufizanta, udawał, że ich nie widzi. Co mnie głównie oburzyło, to, iż na łódce tej znajdowała się siostra miłosierdzia, dająca rozpaczliwe znaki, aby ją zabrano. Przypuścić można, że nie jechała ona dla zwiedzenia Lago di Garda lub dla innéj jakiej przyjemności, ale z obowiązku, spiesząc może do kogoś, który z niecierpliwością, na łożu boleści jéj wyczekiwał.

Opuściliśmy Rivę. Gineła ona powoli mi z oczu, gdy w tem zniknęła zupełnie, zaćmiona wzdymającą się almavivą i atletyczną postacią tłustego olbrzyma, który jak zmora mnie prześladował. Nastąpiło rozczerzenie, że się znowu spotykamy, a potem długa rozmowa, o pięknościach natury, o Włoszech etc. Panu temu, znającemu zresztą Włochy znakomicie, dużo zawdzięczam; cytował mi bowiem miejscowości i hotele, gdzie najwięcej Niemców przebywa. Teraz nie ma strachu, abym do nich zajechał.

Gdy powoli przeszliśmy na politykę i na ostatnie obchody Bismarkowskie, wypowiedziałem atlecie moje zdanie, co spowodowało wiel-

kie oburzenie; potem przyznanie mi, jako Polakowi, słuszności, wreszcie przedstawienie się wzajemne i wypicie małej fiascone di vino di *Conegliano*. Olbrzym ów nazywał się profesor H..... z Halli, osobistość w świecie naukowym bardzo znana.

Jezioro Garda jest największem z jezior włoskich. Zaczyna się w *Torbolo* a kończy w *Peschiera*, zamieniając się w rzekę *Mincio*. Jest 52 kilom. długie i 18 szerokie. Głębokość jego wynosi 362 metrów. Geologowie twierdzą, iż ono jest rodzajem zatoki, czyli fiordu morza Adryatyckiego, czego dowodem są rodzaje ryb, tylko w słonej wodzie żyjących. Specyalnością jeziora są pstrągi nadzwyczajnej dobroci. Dawniej bywały one na ucztach dożów weneckich, jako największy specyal dawane, dziś setki tysięcy ich na cały świat się rozchodzi. Czem jednak *Lago di Garda* głównie się różni od innych jezior, to niezrównanym kolorytem wody. Żadne morze i żadne jezioro nie ma tylu różnych barw. Gdy spokojne, to woda jest pysznego szafirowego koloru, skoro muśnie nią południowy wietrzyk „*Ora*“, wtedy ciemnieje i staje się czarne „*il lago si volta*“ — po chwili robi się znów szmaragdowo zielone, jak młoda trawa, a w téj zieleni widać jakoby pasy purpurowe i różowe. Ale prócz wietrzyku Południowego

bywa nad wieczorem potężny wiatr, tworzący mozaikę wszystkich a najcudowniejszych, jak w kalejdoskopie widzianych farb. Zachwycali się nią malarze i poeci od najdawniejszych czasów, gdy Rzymianie jezioro to *Benacus* nazywali a Virgil śpiewał: „*Fluctibus et fremitu adsurgens Benace marino.*“

Po obu stronach jeziora leżą wioski i miasteczka, z których co jedno to ładniejsze i bardziej malownicze. *Torbole*, *Castelletto* i *Malcesine* z pyszną, ślicznie zachowaną ruiną starożytnego zamczyska. Z wieży tego zamku puszczają ciemnymi nocami promienie światła elektrycznego na przeciwległe skały, po których często nie tylko rozbójnicy ale i przemytnicy przez granicę przechodzą, ścieżkami, wśród dziwnych skał, im tylko znanymi.

Przed laty było *Malcesine* widownią tragicomicznej sceny aresztowania Götthego, który zachwycony okolicą i widokiem zamku, w albumie swym go rysował. Gdy, nie znajdując się widocznie na sztukach pięknych *Podesta*, nazwisko i pochodzenie wielkiego poety w protokule zapisywał, znalazła się kobieta wiejska, której mąż długi czas w *Frankfurcie* nad *Menem* pracował i która po męża posławszy, srogiego *Podestę* opowiadaniem o zacności mieszkańców tego miasta udobruchać potrafiła.

Malcesine leży na granicy Austrii i Włoch. Na statku panowała radość, że do kraju wiecznej wiosny wjeżdżamy, a pewna Niemka z kajuty, do której przed wiatrem się schowała, wybiegła na pomost, by zobaczyć, czy od granicy niebo niebieskie się poczęło.

Torri, sławne kopalniami marmuru, Tremosine, miasteczko na szczycie olbrzymiej skały zbudowane, do którego z narażeniem życia po wykutęj w skale drożynie się dochodzi, i Limone, ginące całe w ogrodach cytrynowych. Produkcya cytryn przynosiła miasteczkom tym olbrzymie dochody, gdyż eksport ich wynosił do osiemnastu milionów cytryn rocznie; obecnie konkurencya z Sycylią obniżyła sumę tę do kilku zaledwie milionów.

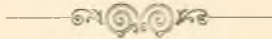
San Vigilio z willą Brenzoni, według planów Michała Anioła budowaną, Toscolano, tulące się do stóp wysokiej góry, na której szczycie cudami słynąca *Madonna di Benaco*, *Gargnano*, *Maderno* z kościołem z 8 wieku, wreszcie malenkie *Fasano* i *Gardone-Riviera*.

Statek skręca w zatokę i wśród wielkiego gaju cyprysów, cedrów i laurowych drzew dostrzega się czerwony dach ogromnego hotelu,

czyli zakładu, składającego się z kilku domów, połączonych terasami, balkonami i werandami.

Byłem u celu méj podróży. Ostatnie pożegnanie z olbrzymem, zbieranie manatków i wylądowanie wśród zgrai gapiącej się publiczności i wyjących Włochów.

Zd. Cz.





List V.

Gardone Riviera, 8 kwietnia 1895.

Nareszcie byłem we Włoszech, daleko od Berlina, Wrocławia i Rawicza!

Pokój mój miał okna na jezioro i góry, widok więc czarujący. Zbiegłem na dół, by uraczyć się dźwiękiem włoskiej mowy, wygrzać się wśród palm i cyprysów i cieszyć się widokiem włoskiego nieba i słońca, przede wszystkim nie słyszeć i zapomnieć niemieckiego szwargotu. Lecz o zgrozo! Właśnie koło mnie rozsiada się jakaś rodzina, mówiąca najczystsze berlińsko-wrocławskie narzeczem, — uciekam i wpadam „*in eine Familie aus Schwiebus!*“ Pani robi pończochę, mąż z ryżą brodą, w zielonych pantoflach z haftowanymi konwaliami czyta „*Berliner Tageblatt*,” a dzieci w pruskich marynarskich czapkach bawią się w żołnierzy.

Z rozpaczki każę sobie dać kawy. Kelner przynosi mi olbrzymie naczynie porcelanowe i myślę, że mnie nie zrozumiał. Daję mu rozpaczliwe znaki, wskazując na obok siedzące towarzystwo, ale on nie pyta, tylko leje mi jakieś pomyjki przezroczystego brunatnego koloru, reprezentujące prawdziwą, echt niemiecką „*Blumencafé*“ i do tego naparstek sinego mleka.

Wieczorem chciałem kolacją zjeść. A la carte, nie można, trzeba przy table d'hocie siedzieć. Za granicą bywa to czasem zabawne, więc idę. Razem ze mną wchodzi przeszło dwieście osób. Same Mayery, Schulze i Buchholze. „*Deutsche Küche*“ i rozmowa o kochanej ojczyźnie. Dowiaduję się, że i w Gardone była „*eine Bismarcksfeier*“. Cudzoziemca innej narodowości ani jednego.

Jestem człowiekiem w ogóle spokojnym i wygody lubiącym. Wszelkie narzekania na złą kuchnię we Włoszech, na brud i inne nieporządki i dolegliwości, — wszystkiego tego nie znam i nie odczuwam. Co do kuchni, to ta jest mi obojętną. W Berlinie lub Paryżu gniewam się, gdy obiad nie dobry, mięso twarde, lub sos zimny: we Włoszech jest mi wszystko jedno. Jedzenie obiadu uważam za nudną konieczność i stratę czasu. Spieszę na dwór, by patrzeć słuchać i zwiedzać. Brudu nie

widzę, bo patrzę na rzeczy wiecznie czyste i piękne, jak włoskie niebo, włoskie drzewa, góry morza, etc. Przechodzę przez kraj ten, czystym zostając i zawsze jestem w dobrym humorze. Nawet pchły mnie nie gniewają, gdyż mam w torbie perski proszek. Ale czem są pchły, czem plu...., brudy i inne paskudztwa w porównaniu do owęj strasznej choroby, którą dziś całe Włochy zarażone, do tych tysięcy i kroci tysięcy „*Buchholców*“, którzy jak szarańcza, cholera lub dżuma, ten cudowny kraj zarazili i zapowietrzyli. Jest to plaga gorsza od egipskiej!

.Nie myśl, abym pisząc to, powodował się jakąś nienawiścią rasową i wszystkich Niemców do szarańczy zaliczał; spotykałem ich dużo w podróżach i miałem nieraz sposobność ich wiedzę i zalety podziwiać. Buchholcami nazywam wszystkich cudzoziemców, jakiej bądź narodowości, będących przedstawicielami wstrętnego typu „*commis-voyagerów na wakacyach*“ których „*Stinde*“ na zawsze ośmieszył i unieśmiertelnił. Nie narodowość ich, ale męcząca ciasnota umysłowa i banalna płaskość pojęcia, jagnięcą mą duszę tak jadowicie usposabia.

Po kawie, *Wassersupie* i *Nierenbraten mit Apfelmuss* przekonałem się, że Pan Bóg nie dla mnie *Gardone* stworzył.

Kufra mego więc nie rozpakowawszy, postanowilem tyle czasu tylko pozostać, ile nerwy me wytrzymają.

W niedzielę rano chciałem pójść do kościoła. Z trudnością odnalazłem go, gdyż moi znajomi hotelowi byli wszyscy *mosaisch i evangelisch*."

Wązką i krętą drożynką wśród drzew figowych wchodzi się na wysoką górę „*Gardone di Sopra*,” na szczycie której wśród cedrów stuletnich wznosi się ładny i dosyć duży kościółek. Brzydkiego w tym kraju nie ma!

Msza była rozpoczęta. Ludzi dużo; kobiety z welonami koronkowemi na głowach, mężczyźni czarni, o energicznych, ale sympatycznych rysach, wszyscy śpiewali jedną z tych melodyjnych a prostych pieśni kościelnych, jakie się słyszy w włoskich kościołach, a które wesolą swą nutą nasze kantyczki przypominają. Poczem rozpoczęło się kazanie. Otyły i pokazy kanonik w fioletach, z ogromnym orlim nosem i czarną kędzierzawą czupryną, wszedł na ambonę, jak wszystkie włoskie, marmurową i wielką jak balkon, ale na którą wchodziło się po drabinie.

Oryginalny był widok kanonika, gdy podkasawszy rewerendę pod kolana, wdrapywał

się po drabinie, pokazując swe fioletowe pończoszki.

Kazanie było o Bóstwie Chrystusa. Dźwięcznym i melodyjnym głosem, modelując go od basu do sopranu, i gestami, zagrażającemi czasem równowadze, dowodził kaznodzieja Bóstwa Chrystusowego, opierając się na licznych cytatach nie tylko Pisma Świętego, ale czerpiąc je ze starych klasyków, Dantego i nowoczesnych teologów. Mówił o Napoleonie I, Renanie, Garibaldiem etc. W ogóle kazanie było znakomite, świadczące nie tylko o wymowie, ale i o uczoności kanonika. Ponieważ było gorąco, przeto od czasu do czasu urządzał sobie małe przerwy, wśród których siadał na krzeselku i wachlował się wielkim czerwonym fularem. Zresztą w kościele było bardzo wesoło.

Była to palmowa niedziela, więc wszyscy trzymali w rękach gałązki i gałęzie oliwne. Dzieci korzystały z tego, by się sobie wzajemnie sprzeciwiać i drzymających starców pod nosem lechtać, którzy budząc się gwałtownie kichali. Dziewczeta używały gałązek, jako wachlarzy, po za którymi wesoło szeptały i chichotały. W ogóle więc zachowanie się ludzi nie bardzo budujące; a jednak lud ten jest fanatycznie religijnym. Kościół jest dla nich przybytkiem pewnej swobody i poufalości, że tak powiem

wobec Boga, którego kochają i w którego świątyni czują się bezpiecznymi i szczęśliwymi.

Po skończonem nabożeństwie, na wielkiej terasie, otaczającej kościół, z pysznym widokiem na jezioro, wszyscy wierni bili się i gonili poświęconemi palmami. Widziałem nawet bijatyki dosyć energiczne, zwłaszcza, że niektóre gałęzie były grube i wielkie.

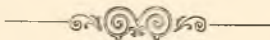
Z powrotem szedłem inną drogą i jakież było me wzruszenie, gdy uszedłszy kilka set kroków zobaczyłem ogródek z restauracją i napisem: „*Helenens Ruhe*“! Wszedłem do sali. Na ścianach portrety Bismarcka, Moltkego etc., a na stołach znane mi, artystyczne kwadratowe talerzyki z napisem: „*Ruheplätzchen für brennende Cigarren*“! Pojmiesz jak mi serce zabiło!

Przed wieczorem zrobiłem wycieczkę do *Salo*, miasteczka parę wiorst od Gardone odległego. Droga nadzwyczaj ładna. Po jednej stronie jezioro, tak szerokie, że przeciwległych brzegów nie widać, po drugiej same ogrody i wille. Między stuletniami cyprysami wznosi się pałac Martinengo w XIV wieku przez Pallavicinich zbudowany. Ciekawa byłaby historia tego grodu. Żył w nim niegdyś Paolo Giordano Orsini, książę Bracciano, o którego burzliwem życiu do dziś dnia wspominają. Otruwszy pierwszą swą żonę, ożenił się z naj-

piękniejszą wówczas kobietą Vittiarią Accarabona, której męża również zamordował.

Salo nad zatoką malowniczo położone, jest starem i typowem miasteczkiem z pięknym ratuszem, na którego froncie sterczy napis: „Consiglio generale della magnifica patria.“ W środku ładne freski. W roku 1120 zbudował tu Henryk V fortecę, której ślady pozostały.

Zd. Cz.





List VI.

Verona, 9 kwietnia 1895.

Śliczne i uroczne Gardone bez żalu opuszczałem. Nie czułem się dostatecznie we Włoszech i pilno mi było znaleźć się nie tylko pod włoskim niebem, ale i na włoskiej ziemi, a Gardone nią nie było. „Depretis“, ten sam, który mnie przywiózł temu dni kilka, znowu mnie zabral.

Towarzystwo na statku było więcej zajmującym niż przedtem. Kilka par czułych i w oczy sobie patrzących, z obrączkami ślubnymi na palcach, świecącemi nowością, zwracało na siebie ogólną uwagę. Młodzi mężowie zawijali swe żony w szale i koce, podkładali poduszki, zasłaniaли od wiatru i słońca. Ciekawy byłbym przejechać się z nimi za kilkanaście, a choćby za kilka nawet lat!...

Statek wypływa na szerokie, morze przypominające jezioro. Brzegi stają się mniej strome, z daleka tylko widać śnieżne szczyty *Monte Baldo* i *Pixzicolo*. Minęliśmy wyspę *Isola di Garda*, z klasztorem przez samego św. Franciszka tu zbudowanym, i przepłynęliśmy koło arcyciekawego i ładnego półwyspu *Sirmione*. Na zachodnim jego brzegu widać szczątki dawnych rzymskich zabudowań, między innymi willi, którą przed 2000 lat *Catullus* zamieszkiwał. Za pomocą lornetki dojrzałem ładny kościół i obojętę, tuż nad jeziorem zbudowaną pod poetycznym wezwaniem „*Locanda Promessi sposi*.”

Zaraz za *Sirmione* następuje mała wioska *San Felice*, a potem *Desenzano*, port i stacja kolei żelaznej z *Mediolanu* do *Verony*.

Przyjechawszy na dworzec, dowiedziałem się od bardzo gadatliwego woźnicy, że pociąg dopiero za trzy godziny odchodzi i że się znajduję o pół mili od sławnego i pamiętnego *Solferino*. Nie namyślając się długo, ugodziłem się z Włochem, i jazda na pole bitwy, przez miasteczko *Desenzano*, koło koszar mustrujących się właśnie *Bersagliarów*, w pełną zieleń ogrodów i winnic. Mały nasz wózek ciągnął mniejszy jeszcze konik, ale zwyczajem włoskim popędzany batem i krzykiem, biegł po doskonałej

drodze wyciągniętym klusem, a najczęściej galopkiem. Była to zmiana dekoracyi zupełna, gdyż z jeziora górami otoczonego, dostałem się na żyzną lombardzką płaszczynę. Po półgodzinnęj jeździe podjeżdża się na wysoki pagórek, na którym jest mała osada *St. Martino*.

Gdy w r. 1859 Napoleon III wygrywał sławną bitwę pod Solferino, Piemontczycy, tworzący drugą część armii Napoleońskiej, zdobywali pod wodzą Wiktora Emanuela *St. Martino*. Na pamiątkę zwycięstwa postawili Włosi wieżę kilkaset stóp wysoką, a ponieważ znajduje się na wzgórzu, przeto widać ją ze znacznej odległości. Pagórek cały pokryty cyprysami. Mimo upału postanowiłem wdrapać się na szczyt wieży i opłaciło mi się to, gdyż widok jest imponujący. Krętym, ale jasnym i szerokim krużgankiem wchodzi się na wieżę. Mury pokryte są freskami znakomitych medyołańskich malarzy, a przedstawiającemi bitwy i epizody z wojny. Postacie naturalnej wielkości, a po bokach opisy i nazwy wszystkich pułków i dowodzących w nich jenerałów i wyższych wojskowych. Rzecz więc bardzo ciekawa i warta dokładnego zwiedzenia. Na szczycie wieży długo pozostałem, rozkoszując się dalekim widokiem. Było to niejako ostatnie me pożegnanie z Lago di Garda, które raz jeszcze

w świetlanej szacie tęczowych swych barw u nóg mi się położyło. Przy pogodnem powietrzu dojrzeć można nie tylko Brescię i Peschierę, ale nawet Veronę.

Białe mury wieży na szczycie pokryte były napisami zwłaszcza Francuzów, wyrażających tu swą cześć dla pamięci Napoleona III. Nie mam zwyczaju uwieczniania się w wszystkich, czasem nawet bardzo prozaicznych budynkach, tym razem i ja jednak zaapelowałem do pamięci biednego więźnia z Sedanu. Z górnej wyżyny wieży w Solferino zemścilem się w ten sposób na wszystkich Buchholzach, którzy w téj chwili, gdzieś het daleko, w maleńkim Gardone swą *Blumencafé mit Spritzkuchen* spożywali, pojęcia nie mając o strasznem anathema, które na nich rzucałem.

Naprzeciwno wieży na drugim wzgórzu wznosi się kościółek, a raczej grobowiec, zbudowany dla poległych na polu bitwy. Cały pagórek pokryty jest prawdziwym lasem cyprysów, nadającym pozór cmentarny i przerażająco smutny. Między cyprysami nagrobki, obeliski, tablice i pomniki, kryjące szczątki poległych bohaterów. Na wielu z nich wieńce i świeże korony. Mój vetturino opowiadał mi, że dnia poprzedniego przywiózł jakiegoś Fran-

cuza, jadącego złożyć wieniec na grobie swego ojca.

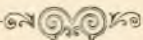
W środku małego i czystego kościółka ołtarz bolesne robi wrażenie. Sterczy nad nim wielki, czarny krzyż, kilka metrów wysoki, a na nim przewieszone prześcieradło białe, w jakim trupów chowają. Za wielkim ołtarzem ściany utworzone z trupich głów i piszczeli, których jest tyle, że pod sufit sięgają.

Między cyprysami zeszedłem z pagórka, by się dostać napowrót do mego wózka, a dalej na dworzec kolei żelaznej „*San Martino-Bataglia*.”

Pociąg nadszedł i poniósł mnie w dalszą głębią uroczej Lombardyi. Chwilę później wjechaliśmy przez *Peschierę*, wesoło jak na wyspie zbudowaną, między jeziorem a wypływającym z niego Mincio. *Peschiera* jest jedną z najlepszych fortec włoskich.

Ostatnie wejrzenie na jezioro Garda, i zniknęło z oczu. Godzinę później wjechaliśmy do Verony.

Zd. Cz.





List VII.

Verona, 10 kwietnia 1895.

Opisywać Verony, jako i innych miast włoskich, do których zajechać pragnę, nie będę; za wiele je inni opisywali i powtarzać bym tylko to samo musiał. Zresztą, jak Ci z Drezna pisałem, listy moje nie są systematycznie prowadzonym pamiętnikiem, ale zwykłemi notatkami, w których pragnę się z Tobą wrażeniami, jakie odniosłem, podzielić.

Podróż przez Włochy jest jakoby snem złotym, po przebudzeniu z którego, wie się tylko, że się było szczęśliwym, że się widziało coś ślicznego, ale już się nie wie co. Czem zresztą jest słowo lub pióro ludzkie w porównaniu do jednego promienia słonecznego, padającego, czy to na siny marmur katedry, czy na zielony kobierzec lasu lub ogrodu, czy na

plomień dyamentu, lub oka ludzkiego? Jak określić słowami owe tysiące arcydzieł natury i sztuki, które się przed wzrokiem przesuwają co sekundę inne, a coraz piękniejsze i bardziej urocze?

Przytem bywszy we Włoszech wiele już razy, nie przyjeżdżam dziś do nich, by z Bedekerem w rękę od galeryi do muzeum, od pałacu do kościoła biegać i zwiedzać i mieć tę satysfakcyę, cudzoziemcom zwykłą, że się *wszystko* widziało, ale przyjeżdżam do nich ufny, że mnie pocieszą i uzdrowią i ową noc serca, o której Ci pisałem, blaskami swego słońca rozjaśnia, że „rozwiódą one tęczę cichą, a promienną nad tym, któremu życie gorzką było rzeczą“...

Z dawnych mych podróży zostało mi niewyraźne pewne wspomnienie Verony, jako miasta, w którym się czulem szczęśliwym i które mi się szczególnie podobało. Z pewnem więc poczuciem wdzięczności za przeżyte tam chwile przejeżdżałem pod *Porta Stuppa Sanmichela*, przez te tak odrębne stylem i powagą ulice Verony.

Verona jest w istocie pierwszym wielkim, prawdziwie włoskiem miastem od Północy. Medyolan, a zwłaszcza Turyn nie mają jeszcze tej cechy. W Veronie widać nie tylko przełom

w obyczajach, w ludzie, w życiu całego miasta, ale widać go przedewszystkiem w sztuce. W owem mieście, leżącym prawie na granicy Włoch, spotkały się z biegiem czasu dwa odrębne style: włoski i gotycki. Tu sobie rękę podały, by wytworzyć coś zupełnie specjalnego i zmieszać się w wytworzeniu wspólnego arcydzieła. Będąc pod panowaniem różnych narodów i różnych książąt, stała się Verona niejako wielką oberżą świata, w której coraz to inne dynastye i inni przechodnie, jak dyamentem na szkle ryte nazwiska, pozostawiali po sobie pamiątki. Dobroczyńcy, czy zbrojcy, unieśmiertelniali się książęta Ferrary, Padwy i dożowie Weneccy i Skaligiery i inni. I tak zamieniała się powoli Verona w historyczny, skamieniały pochod wieków, narodów i cywilizacyi. Rozpoczęli Rzymianie, pozostawiając potomności owe nieme świadectwo barbarzyńskich igrzysk pogańskiej rozpusty, które jak wieczna skarga, wieczny jęk skamieniałej grozy, do dziś dnia w środku miasta sterczy. Amfiteatr, czyli *Colosseum*, jedno z najlepiej zachowanych we Włoszech, jest równocześnie dowodem potęgi ówczesnego Rzymu. Sto pięćdziesiąt kilka metrów długie, tyleż prawie szerokie, miało niegdyś 72 wejść, 22 tysiące miejsc dla siedzących i 20 tysięcy dla stojących. — Tam klatki

gdzie lwy i tygrysy głodne były zamknięte, tu otwory, któremi je na arenę wpuszczano, tu znów klatki dla chrześcian na pożarcie wskazanych, a w środku areny rodzaj studzienki, mającej połączenie z rzeką Adigo, w którą wrzucano kości pogruchotane i członki rozszarpane chrześcian. Nad główną bramą trybuna ceszara, ku której gladiator podnosił śmiercią zachodzące oko, wołając swe straszne: „*Moriturus Te salutant!*“

Nie mało się zadziwiłem, gdy czarny, a raczej szpakowaty Włoch, który mnie oprowadzał, raptem weale niezłą polszczyzną do mnie zagadał. Stary wojak służył w różnych pułkach, między innemi lat kilka we Lwowie spędził i dotychczas języka nie zapomniał.

Z kościołów najciekawszym jest *San Zeno*, zbudowany już w szóstym wieku. Czy upadek sztuki, czy wpływ Niemców za Ottona I, który ten kościół restaurował, w każdym razie dziwne i niemal karykaturalne widzi się tam rzeczy. Kapitele i rzeźby tak naiwne i niezgrabne, że trudno myśli mistrza odgadnąć, a jednak wszystko razem robi bardzo wielkie wrażenie i tworzy jedną z najciekawszych romańskich świątyń, jakie są. Wielki ołtarz jest na znacznem wyniesieniu; pod nim krypta, czyli drugi dolny kościół z oryginalnym posą-

giem św. Zenona. Górą i dołem profuzya marmurów białych, zielonych, czerwonych i innych kolorów. Po prawej stronie wielkiego ołtarza ładny tryptyk *Mantegni*. Przed bramą wchodową rodzaj przedsionka z dwoma filarami, opartemi na leżących lwach.

W San Zeno ma się chwilami uczucie, że się jest w stariej świątyni pogańskiej, a wpatrując się w nią i śledząc szczegóły, jest się świadkiem jakiejś odbywającej się metamorfozy i przecistaczania się na chrześcijański kościół.

Katedra robi niemałe wrażenie położeniem swem na placu cichym i ustronnym, z portykiem imponującym wielkością i bujnością fantazy X. wiekn.

Między lwami marmurowemi i paladynami Karola Wielkiego, wchodzi się po szerokich schodach do wnętrza. Parę pięknych obrazów zdobi je. Wniebowzięcie *Tycjana* i niezrównanej piękności Freski *Falconetta i Mantegni*. Obok katedry znajduje się ciekawe Battisterium z VIII. wieku i rodzaj Campo santo z piękną kolumnadą.

Trudno mi wszystkie kościoły opisywać, które podczas krótkiego mego pobytu w Veronie zwiedziłem. Wspomnę więc tylko o św. *Anastazyi*, *San Fermo Maggiore*, *St. Giorgio in Braida*.

z prześlicznym *Veronesem* z najlepszej epoki jego malarstwa, i *Santa Maria in Organo* z IX wieku. Ładne tam obrazy widziałem *Guercina*, do którego, nie wiem dobrze czemu, zawsze jakąś sympatyą czułem. Może z powodu jego charakteru słodkiego i łagodnego, jego skromności i ucziwości, mimo zazdrości, która go otaczała i poniewierania przez dawnego swego mistrza *Caravaggia*. Był on synem chłopca, nazywał się *Barbieri*, w 1590 r. urodzony. Za młodu jeździł z ojcem, wiozącym drzewo do Bolonii; tam poznał braci *Caracci*, którzy największy wpływ na jego talent mieli. W Bolonii też najwięcej jego obrazów pozostało. Na dworze w Modenie dorobił się znacznego majątku, który na dobre cele zużywał. Kobiet nie lubił, za to małpkę swą ukochaną, z którą się nigdy nie roztawał. Żył jak mędrzec, umarł jak święty i to w czasie ogólnej zazdrości i nienawiści między artystami; ale ta podobno i w końcu XIX wieku się zdarza i to nie tylko we Włoszech!!!!...

W tymże kościele *St. Maria in Organo* podziwiałem ciekawe rzeźby *Jana z Verony* z mozaiką drewnianą, naśladowującą farby, grę światła i cienie. Najpiękniejsze są w zakrystyi.

Podobne miniaturowym katedrom medyolańskim lub norymberskim wznoszą się przed

starym kościółkiem *santa Maria antica*, grobowce *Skaligerów*. Są to już nie architektoniczne, ale więcej jubilerskie arcydzieła, tak misterne i kunsztowne. Zwiedzając je, miałem sposobność podziwiania sprytu włoskiego. Kilku mularzy zajętych było restaurowaniem grobowca. Widząc cudzoziemca, przypatrującego się artystycznym posagom *Can Gronda* i *Can Massimo*, jeden z robotników wydał przytłumiony okrzyk, poczem przystąpiwszy z tajemniczą miną do mnie, dał mi znak, że ma mi sekret jakiś do powiedzenia. Zaciekawiony odszedłem z nim na bok i zobaczyłem małą, 2 cale wysoką Madonnę z brązu, mocno uszkodzoną, ale ładną, którą ów robotnik, niby to w restaurowanym właśnie grobowcu znalazł i za cenę 30 lir odprzedać pragnął. Przypuszczam, że figiel ten powtarza się w obec niejednego cudzoziemca. To nie przeszkadza, że figurynka była ładną i za 3 liry ją kupiłem, obiecując dowcipnemu Włochowi dyskrecyę, czego daję niniejszem dowód.

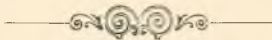
Parę kroków od grobowców jest sławny *Piazza dei Signori*, gdzie były pałace *Skaligerów*. Z pamiątek tam nagromadzonych na mnie największe wrażenie robiła myśl, że po tych samych posadzkach chadzali, na tych samych krzesłach siadali *Petrarca* i *Dante*. Oby-

dwaj tacy potężni, a tak nie podobni do siebie, dwaj geniusze „dwa na słońcach swych przeciwnych bogi“.

Podczas, gdy Petrarca był wieszczem odrodzenia, stary świat klasyczny do życia zbudzający, nieśmiertelnie smutny Dante był prorokiem, płaczącym nad gruzami świata, narodu Bożego i przebrzmiałą przeszłością.

Jego „*Boska komedia*“ była pomnikiem natchnień dla całej plejady wielkich mistrzów, począwszy od *Giotta*, aż w późne wieki. Rozbudziła ich fantazją i dała nowy kierunek myślom. Od Boskiej komedyi widzimy w malarstwie coraz częściej powtarzające się sceny z nieba, raju lub piekельnych turtur. I *Orcagna* i *Luca Signorelli* i tylu innych, a nawet potężny *Michał Anioł* przejmowali się Dantem.

Zd. Cz.





List VIII.

W drodze do Padwy, 10 kwietnia 1895.

Po krwiożerczych wrażeniach cyrkowych i podnoszących ducha, ale męczących wędrówkach kościelnych, należy odpoczynek dla nerwów i zmysłów. Gdzież może być przyjemniejszy, jak w tym pysznym ogrodzie *Giusti*, w którym trzystoletnie cyprysy, wśród laurów, myrt, pomarańczy i starych nagrobków i posągów pną się terasami coraz wyżej, aż na wysoką górę, z której czarujący widok na całą Veronę i zdala widne Alpy się rozlega.

W ogrodzie tym taki Olimpijski spokój, taka cisza i zieloność. Nic nie przerywa milczenia, prócz setek ptaszków, kwilących w czarnych cyprysach i małych niewinnych jaszczurek, które w niezliczonej ilości pną się po marmurowych statuach i grobowcach.

Kto chce użyć Verony i przypatrzeć się życiu miejskiemu, temu radzę przejść się po *Piazza d'Erbe*, gdzie największy ruch, tłok i życie. Po bokach placu stoją wielkie kilkopiętrowe kamienice, całe freskami zamalowane, między niemi wysoka kolumna z lwem skrzydlatym, sięgająca czasów przynależności Verony do Wenecyi. Plac pokryty setkami bud, budek i stolików, kryjących się w cieniu olbrzymich białych parasoli, wśród których kręcą się tysiące pstrokatych chust, czerwonych fezów i różnobarwna mozaika kapusty, karczochów i owoców w piramidy ustawionych.

Okazałe typy barczystych i krwistych mężczyzn, starych kobiet, o orlich, pergaminowej cery profilach, w małych okrągłych kapeluszach, i z Wschodnią gracyą przechadzających się czarnookich Włoszek, z welonami koronkowemi na głowach, artystycznie zarzuconemi szalami na plecach, wielkimi złotemi obręczami w uszach i delikatnemi, jak Gozzolego postacie, rysami.

Wałęsając się po owym placu i przybocznych ulicach, przysiadalem nieraz przed drzwiami otwartej jakieś trattoryi, racząc się wyborną *Salami di Verona* i popijając smaczne *Valpucicello*. Słuchałem gwaru przechodzącej publiczności i podziwiałem tę cywilizacyą, nie

urodzoną z barbarzyńskich średnich wieków, nie świecąca połyskiem świeżej polityry, ale pochodząca z rzymskiej ery.

Tym razem czułem się już zupełnie we Włoszech. Wązkie uliczki i to życie eksplodujące niejako z domów, te wózki zaprzężone czterema mułami jeden za drugim, osły pędzone przez ulice, nieustający krzyk, śpiew, muzyka na wszystkich placach i ów prawdziwie południowy zgiełk i nieporządek, wszystko to razem tak mi się podobało, zajmowało i rozweselało, że opuściłem Veronę, nie uroniwszy ani jednej łzy nad grobem nieszczęśliwej Julii.

Wpakowałem się tedy do omnibusu, należącego do *Albergo di Londra*, w którym to hotelu mieszkalem, i pojechałem na dworzec.

Na stopniu, jak to zwykle bywa, uwiesił się portyer hotelowy, odznaczający się dziwnie wytartą liberyą i dziwnie czerwonym nosem. Po chwili znudziła mu się ta pozycya, wymagająca rownowagi, dla niego trudnej; bez długiego namysłu usiadł koło mnie i po chwili rozległo się energiczne chrapanie. On musiał coś innego pić jak *Valpucello!*

Stary nasz karykiel przetarabanił się raz jeszcze koło amfiteatru, później koło statuy, téj największej perły, którą Verona wydała

i najjaśniejszej gwiazdy, jaka na tym horyzoncie zaświeciła, niezrównanego *Paula Veronese*, i dojechaliśmy szczęśliwie do dworca.

Pociąg z Medyolanu się spóźnił, a gdy nareszcie sapiąc i dysząc wtoczył się na peron, tak był napakowany ryżymi Niemcami i szczerbatemi Niemkami, że znowu nie wiedziałem, czy w Veronie, czy w Görlitz jestem. Na szczęście usłyszałem magiczny głos: „*Partenza per Vicenza, Padova, Mestre, Venezia!*“ i pocieszony do wagonu wsiadłem. Naprzeciw mnie siedział młody elegant, w którym na pierwszy rzut oka poznałem na całą Europę sławnego, jak z „*Fliegende Blätter*“ wykrojonego — *Lieutenanta pruskiego!*

Nieuniknione w podróży kwestycie zamknięcia i otwarcia okna, możliwości i zakazu palenia cygar i inne równie zajmujące, dały powód do rozmowy. Dowiedziałem się przeto dwóch ważnych rzeczy. Najprzód, że ów obrońca pruskiej ojczyzny prosto z Berlina jedzie, gdzie śnieg pada i wiatr wieje, a powtóre, że pan ten zatrzymał się wprawdzie w Veronie godzin kilka, ale się przekonał „*dass in Verona niks loos ist!*“

Tak mi się podobało wyrażenie Niemca, iż zacząłem go wypytywać, czy i co zwiedzał? Przyznał mi się, że zwiedził poleczone przez

Bacdeckera kościoly i muzea, ale go nie zaba-
wily, i przekonawszy się, że Verona „*ein ver-
flucht langweiliges Nest ist*“, dalej na Południe
jedzie.

Mnie w oczach świeciły jeszcze blaski mar-
murów San Zeno i w uszach szumiały fale
Adiga, wijącego się u stóp cyprysów Giardino
Giusti, więc owo „*niks loos*“ było dawno nie-
słyszaniem i na szczęście już zapomnianem
cchem dalekiej Półnoey, w której ów Lieute-
nant więcej znaezy i więcej imponuje swym
gorsetem, monoklem i rozczapiczonym wąsem,
jak niejeden inny śmiertelnik, myślący, czu-
jący i na jakiembądź „*innem*“ polu pracujący!

Pytam jednak, po co takie figury do Włoch
jeżdżą, jeżeli sami żadnej rozkoszy nie odczu-
wają, a innym tak bardzo przeszkadzają i na
nerwy działają. Czem dla nich *Porta Stuppa*
wobec *bramy Brandenburskiej*, *Dawid Michała*
Anioła wobec *Siegessäule*, owego tryumfu zlego
gustu, czem wreszcie widok „*czarnej katedry,*
teskniącej przy księżycu,“ wobec dwudziestu
tysięcy lamp, zapalonych co wieczór „*bei*
Kroll!“?

Ale to tyczy się nietylko owego Lieute-
nanta, ale tych tysięcy i kroci tysięcy ludzi,
którzy chorują na fałszywy artyzm, którym się

zdaje, że czują, a nie znają owego dreszczu rozkoszy, który się odczuwa na widok czegoś prawdziwie pięknego.

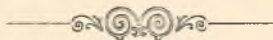
Są ludzie, na których piękność natury tak działa, jak słońce zimowe; widzą jego światło, lecz nie czują ciepła.

Może to ztąd pochodzi, że my mieszkańcy Północy zmuszeni jesteśmy, zwłaszcza w Prusach, na taką masę brzydkich rzeczy patrzeć. Dla tego koniecznem jest przyzwyczajając dziecko od młodości do podziwiania i patrzenia na rzeczy piękne. Usposobienie dziecka jest jak bluszcz, który równie chętnie do wspaniałego dębu, jak do rozwalonego i szpetnego muru przylega; dla tego trzeba umysł zawczasu do estetycznych i artystycznych przedmiotów przyzwyczajając.

Tymczasowo pociąg pędził dalej i ledwo mi Verona zniknęła z oczu, już widne były zdala wieże *Vincenzy*. Znam te pyszne wieże, zwiedziwszy je dawniej. Vicenza jest kolebką wielkiego *Palladio*, którego arcydzieł w niej pełno. *Pallazzo Prefettizio*, *Pallazzo Tiene* i *Valmarana*, i sławna *Basilica*, jeden z najpiękniejszych gmachów renesansowych we Włoszech i wiele innych. W Vicenza są także piękne obrazy Mantegni, i starego Palmy.

List ten pisany w wagonie, przypomina mi trochę ów opisywany wyżej Piazza d'Erbe z mozaiką grochu i kapusty; za chwilę przyjedziemy do Padwy, tam go do skrzynki wrzucę, i jak zawsze o pobłażliwość proszę.

Zd. Cz.





List IX.

W e n e c y a, 11 kwietnia 1895.

P *adoru cinque minuti!*“ — Z mych towarzyszy jedni wysiedli, by, z owych cinque minuti korzystając, się posilić, inni na stopniach wagonów orzeźwiali się pamarączkami, przez grzeczne Padowanki roznoszonemi, a co do mnie opuściłem wagon, aby nie tylko cinque minuti, ale kawałek życia mego w Padwie zostawić; aby przebyć chwile, których opisać nie mogę, gdyż, jak kiedyś wspomniałem, snów się nie pamięta i nie powtarza, a słowa są martwe wobec tego, co się śniło i czuło.

Z góry oświadczam, że chociaż zatrzymałem się w Padwie, nic nie zwiedziłem, nic nie widziałem i w każdym artystycznym egzaminie przepaść jestem gotów. A jednak — jednak byłem w Padwie i patrzyłem i słuchałem, kochałem, śmiałem się i płakałem...

Wziąwszy fiakra na dworcu i obliczywszy się z nader krótkim czasem, kazałem się obwieść po głównych ulicach miasta, przed najciekawszymi gmachami, a potem prosto do katedry św. Antoniego zajechać, którą przedewszystkiem pragnąłem zobaczyć.

Na to, aby wszystkie pamiątki, znajdujące się w Padwie, zwiedzić, trzeba by parę tygodni poświęcić. Głównym punktem zbornym miasta jest *piazza d'Erbe*, otoczony wspaniałymi pałacami, z których najokazalszym jest *palazzo della Ragione*, ciągnący się wzdłuż całego placu. Na piętrze znajduje się owa sławna, największa na świecie sala, 87 metrów długa, 27 metrów szeroka i 24 wysoka, z jednym, niczem nie podpartym sufitem. W środku sali koń Trojański przez *Donatella*. Nie daleko ztamtąd na *Piazza dell' Unita d'Italia*, *Loggia del Consiglio* i obok *palazzo del Capitano* z ciekawą wieżą zegarową z bramą *Falkonetta* i biblioteką uniwersytecką.

Kościół św. Annuncjaty odznacza się sławnymi freskami *Giotta*, w których się uwydatnia cały geniusz niezrównanego mistrza, rozpoczynającego tu może bezwiednie nową szkołę poezyi i dramatu w malarstwie.

Czego byłem bardzo ciekawym, to uniwersytetu padewskiego, nie tylko dla jego fasady

przez *Sansovina* zbudowan \acute{e} j, ale g \acute{l} ównie jako świątynicy nauk, w któr \acute{e} j tylu wielkich ludzi z Polski przybyłych się kształciło. Stefan Batory i Sobieski, ojciec króla, Kopernik, Jan Kochanowski i Zamoyski, który nawet rektorem uniwersytetu padewskiego był, i tylu tylu innych.

Ale czas nagił, więc kazalem do bazyliki św. Antoniego jechać, przenosząc się myślą w świetne czasy przeszłości i wystawiając sobie, jak musiały oryginalnie odbijać owe sarmackie twarze i postacie pod arkadami star \acute{e} j Padwy.

„*San Antonio!*“ „*il Santo*“, jak tu powszechnie mówią, nazwa ta równie magiczna dla Włocha, jak *Czestochowa* lub *Ostra Brama* dla Polaka; z tą tylko różnicą, że skarby, które u stóp nasz \acute{e} j Madonny składamy, są serca pełne wiary i ufności, a kraj, w którym dwa te talizmy nasze się przechowują, jest krajem łez i skargi.

San Antonio przeciwnie; tam prócz serc i modłów gromadziły się przez wieki stopy bogactw, godnych książęcych i królewskich pałacy, a kraj, w którym relikwie jego spoczywają, jest krajem wesela, wolności i wieczn \acute{e} j wiosny.

Powierzchnownie tylko okiem rzuciłem na zewnętrzną część olbrzymiej t \acute{e} j świątyni, gdyż

dzień chylił się ku wieczorowi. Skłoniłem głowę przed majestatycznym posągiem *Gattamelaty*, dłutem wielkiego Donatella wykutym, i wszedłem do kościoła.

Zrazu ciemność mnie ogarnęła, gdyż włoskim zwyczajem okna wśród Wielkiego tygodnia zasłonięte światła dziennego nie wpuszczają. Z dala widna tylko była luna złota; wielki ołtarz gorał bowiem od niezliczonej ilości lamp, świec i świeczek. Odbywało się nabożeństwo Wielkiego tygodnia, i kościół był pełen ludzi. Dziwna rzecz, kościoły włoskie mogą być przepelnione, nigdy tłoku i ścisku nie ma.

Gdy się porówna nasz ludek depezący i szturchający, tak nieraz bezwzględnie, zwłaszcza przy pogrzebach, „byle widzieć“, bo o to zwykle najwięcej chodzi, to przyznać Włochom trzeba, że są narodem, który cywilizacya tak wykształciła i wyszlifowała, iż będąc między nimi, zawsze się jest między dobrze wychowanymi ludźmi.

Przeszedłszy przez długość całego kościoła, zobaczyłem po lewej stronie drugą lunę i ołtarz oświecony. „*Il sepolcro di St. Antonio*“ — szepnął mi jakiś stary człowiek, na pastucha wyglądający, w rodzaju płaszcza czyli bundy na plecach zawislój.

Z wyrazami dziecięcą, niczem niezachwianą wiary, posuwał się ten tłum cały, po marmurowych schodach, wśród złota i drogich kamieni, klękał przed ołtarzem, wpatrzony w obraz patrona „wszelkiej zguby“, poczem obchodził ołtarz, kładąc ręce na wystającej z tyłu marmurowej trumnie Świętego.

Zaręczali mi najróżniejsi ludzie, że jakieś dziwne uczucie nienaturalnego jakby ciepła w każdą rękę wchodzi. Co do mnie, nie wiem. Byłem tak wzruszony tą prostotą nabożeństwa i tą nie sztuczną, ale cichą i gorącą wiarą, że jak we śnie rękę na trumnie położyłem.

„Święty Antoni Padewski,
Obywatelu niebieski,
Niech się szerzy chwała Twoja,
Niech się znajdzie zguba moja.“

Wierszyk ten, dawno nie słyszany i od czasu, co w fali życia utonął, zapomniany, przypomniał mi się raptem, echem minionych, dziecinnych czasów. To niańki i bony moje powtarzały, ilekroć im druty od pończoch, nożyczki, klucze lub inna ważna rzecz zginęła, i ufne w patrona „wszelkiej zguby“, szukały swych skarbów.

Tymczasem rozkołysała się cała katedra dźwiękiem dzwonów kościelnych, pieśnią, jakąś.

smutną i tęszną, a ściany zajaśniały tysiącem migocących światel.

Rozpoczęła się procesya. Najprzód setki kobiet z czarnemi koronkami na głowach, później mężczyźni z wielkimi, jak maczugi świecami, dalej klerycy i księża bez końca, kanonicy w złotych kapach i białych infułach na głowach i wreszcie, wśród niebieskawych obłoczków dymu, wspaniała postać kardynała, jak ze starego portretu z *cinque cento* wycięta, trzymającego monstrancyą. W życiu mojem nie widziałem takiego majestatu, takiej procesyi, takiego nabożeństwa.

„*Niech się znajdzie zguba moja*“ — powtarzałem sobie mimowolnie w duszy, a równocześnie przyszło mi na myśl „jaka to zguba?“ O co ci ludzie wszyscy proszą? co im św. Antoni ma powrócić i pomódz odnaleść? i w tem pomyślałem, czy owa zguba to nie jest dla wielu, wiara z lat dziecinnych, kiedy niańki kołysały i o św. Antonim śpiewały?...

Tymczasem procesya zbliżała się coraz bardziej. Dzwony huczały na nami, lud się ślał jako kłosów pole i cała katedra zdała się płynąć gdzieś z nami.

Spojrzałem wkoło siebie na tę pyszną iluminacyą kościoła, ale świec policzyć nie mogłem. Zlały się one w jedną wielką zorzę

gorejącą i palającą i błyszcząły tak, jak tylko błyszczeć mogą, gdy się przez łzy na nie patrzy...

Wyszedłszy z kościoła, w pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Zapomniałem o świecie, o jego prozie i grozie; zamyślony i senny szedłem przed siebie, a w uszach tętniły mi jeszcze nianiek mych wierszyki:

Niech się szerzy chwała Twoja,
Niech się znajdzie zguba moja!

Na dworze było już zupełnie ciemno, tylko gwiazdy migotały, jakieś wesołe i jakby śmiejące. Na niebios sklepieniu posuwał się z wolna wielki złoty księżyc, snopy światła na ziemię rzucając, i dziwnem mi się wówczas zdało, że ten sam miesiąc i w Polsce świeci, że go w Sieleu dziś widzą, a ja tak od nich jestem daleko!...

„Partenza per Mestre, Venezia!”

Zd. Cz.





List X.

Wenecya,

poniedz. wielkanocny, 15 kwietnia 1895.

Parę dni upłynęło od chwili przyjazdu mego do Wenecyi, a jakoś i czasu i ochoty zbywało, by za pióro chwycić. — Ale tak to bywa, gdy się jest zakochanym! Traci się wszelką rachubę czasu i żyje się innem, niż zwykle życiem.

Pamiętam, iż dawnemi czasy, gdy na szkolnej siedziałem ławie, najpiękniejszym dniem wydawała mi się niedziela. Łatwo sobie wytłomaczyć, dla czego. W późniejszym wieku uczucie to o tyle się zmieniło, iż dzień ten wydawał mi się nudniejszym od wszystkich innych, ale mimo tego pozostało mi z dziecinnych czasów pewne świąteczne wrażenie wolności i jakiegoś nastroju uroczystego, który od samego rana w wszystkim się uwydatnia:

w grze dzwonów kościelnych oczywiście najwięcej, ale prócz tego w powietrzu, w blasku słońca, w pewnej solennej, że tak powiem, atmosferze. Czuje się niedzielę wszystkimi zmysłami.

Otóż w Wenecyi cały tydzień z niedzieli się składa! Ową cechę świąteczną i nastrój uroczysty czuje się bezustannie — a o tem, co Schiller nazywa „*das ganz Gemeine, das ewig Gestrige*“ zapomina się najzupełniej.

Owe uczucie ciągłego święta było może powodem mego lenistwa, a przytem, jak wyżej wspomniałem, zakochanie. Boć Wenecya jest pierwszą moją miłością, do której, według przysłowia, zawsze powracam. Była ona niegdyś pierwszym włoskiem miastem, które w życiu zobaczyłem, a pokochawszy się w niej od razu, dziś, mimo lat upłynionych i światów zwiedzonych, pozostałem jej wiernym.

Na przyjazd mój przybrała się w najpiękniejszą swą szatę; w czarny, milionem gwiazd brylantowych wyszyty płaszcz, oświetlony blaskiem księżyca, który w całej pełni, w całej dumie swego majestatu wszystko opromienił: pałace i świątynie, laguny i gondole, wszystko tym jednym, tu tylko widzialnym kolorytem, złotoniebieskawym, jak owe Wschodnie, turkusowe

skarabeusze, na których złote rysują się wypisy koranu.

Niestety, zajeżdżając do hotelu, słyszałem katarynkę grającą „*La donna e mobile*“ i dziś nie ma księżycy, gwiazd, ani uroczego wieczoru, ale deszcz leje od rana, zimno godne méj ojczyzny, a z okien nie widać nic, jak parasole. I Wenecya zdradzać umie!

To nie przeszkadza, że pierwsze zwłaszcza dnie tu spędzone, były pasmem najcudowniejszych widoków i wrażeń.

Opisywać jednak, co przez te dnie robiłem, trudno, gdyż właściwie, nic nie robiłem. Grzałem się na słońcu, marzyłem przy księżycu, patrzałem na gwiazdy, słuchałem serenady i pasłem gołębice na placu św. Marka; a gdy to wszystko mnie zmęczyło, a tu się zawsze jest zmęczonym, siadałem pod kolumnadą Prokuracyi i popijałem Vermuth, albo szedłem do bazyliki św. Marka i ulokowawszy się pod filarem, gapilem się godzinę lub dwie i tak mi czas upływał w jednym zachwycie i podziwieniu.

Plac św. Marka, to najpiękniejszy salon na świecie, otoczony z czterech stron wspaniałymi gmachami, których uie przerywają żadne boczne uliczki. Z jednéj strony stare Prokuracye, 440 stóp długie, o trzech piętrach

samych arkad, których sto naliczyć można. Naprzeciwko pałac królewski, czyli nowe Prokuracye; a oba budynki połączone, tak zwana *Fabrica nuova*, pałacem zbudowanym przez Napoleona I. Do tego trzeba dodać *Campanille* św. Marka z śliczną logią *Sansovina*, a wreszcie sam kościół św. Marka.

Z boku, na końcu Prokuracyi wznosi się sławny zegar wenecki. Dwóch spiżowych rycerzy bije młotami w zawieszony między nimi dzwon i zwiastuje miastu uciekające godziny. Ileż oni ich wydzwonili przez ciąg długich wieków, szczęśliwych i złowrogich, weselnych i żałobnych, a zawsze tym samym głosem, jednakowo dźwięcznym, a nieczułym jak zwykle dzwony z sercami, *a nie mające serca...*

Nad tem wszystkim wznosi się sufit niebieskiego nieba, a dołem marmurowa posadzka z czarnych i białych kwadratów artystycznie ułożona.

Gdy się z tego placu i słońca wchodzi do bazyliki św. Marka, odczuwa się od razu jego majestat i wspaniałość. Na samym wstępie eksploduje niejako fantazyja odznaczająca całą budowę. Pięćset kolumnek wszystkich odcieni, porfyrowych i serpentynowych i verde antico i innych piętrzy się tu jedne na drugich, tworząc oryginalny kontrast kolorów.

Gdy się w życiu dużo kościołów zwiedzało, gdy się gotyckie przedewszystkiem katedry podziwiała, które najwięcej do serca przemawiają i je podnoszą, gdy się przyzwyczajonym jest zatapiać oczy w owych skamieniałych akordach téj misternéj harmonii, jakby hymnu gregoryańskiego, który doszedłszy najwyższych szczytów katedry, tam raptem skamieniał — św. Marek dziwne i niezrozumiałe robi wrażenie.

Nie ma się w pierwszej chwili uczucia, że się kościół widzi, ale jakąś Wschodnią, złotą salę tronową. Wrażenie to pozostaje i nadal; tylko w miarę patrzenia na te wszystkie cuda i przepychy, przychodzi się do przekonania, że tylko Boga jednego godną jest ta sala! Nie jest ona zbudowaną do modlitwy, ale do chwaleń Boga; dla tego człowiek nie jest w niej przejętym tą jakąś grozą i powagą, którą się odczuwa w Kolonii i Norymberskich katedrach, ale jest się podniesionym na duchu i z pewną uroczystą powagą stapa się między złotemi mozaikami i czerwonemi marmurami. Dwa te kolory, złoty i czerwony, zdobią głównie wnętrze kościoła; oświetlone słabemi promykami światła dziennego, mieszają fantastyczne półcienia z bladym światłem wечно palących się lamp złotych.

Do wielkiego ołtarza dochodzi się po czerwonych schodach marmurowych, nad którymi wznosi się rodzaj kolumnady tegoż koloru, wykładanej mozaiką drogich kamieni, a służącą za podstawę do olbrzymiego złotego krzyża i czternastu obok ustawionych figur, Matki Boskiej, św. Marka i dwunastu apostołów.

Za wielkim ołtarzem, będącym zbiornikiem najdroższych klejnotów, kryje się orkiestra, składająca się z organów, trąb, skrzypcy, a przede wszystkim z wspaniałych chórów.

W miastach włoskich spotyka się często świątynie na ogromną skalę rozpoczęte, ale dla braku pieniędzy i ochoty, albo nie skończone, albo wykazujące pewien brak stosunku wykończenia do pierwszego planu. Jedynie św. Marek w Wenecyi robi wrażenie kościoła, na którego przyozdobienie wieki pracowały i niezliczone bogactwa bez rachunku się składały, a cały Wschód ich dostarczał. Dla tego w ogólnym stylu, jak i w pojedynczych kapitelach, rzeźbach etc. widzi się wszystkie epoki od IX do XV wieku.

Ciekawą byłaby do czytania historia tej świątyni, jak ją budowano i upiększano. Tym, którzy poszli na Wschód po ciało św. Marka i z tego kraju ciąglej fatamorgany i mirażu powrócili, musiały pozostać w oczach blaski

afrykańskiego nieba, aloesy i kaktusy i jakieś gorąco Wschodnie. Dla tego, tworząc to dzieło, nie trzymali się ani szematów, ani przepisów jakiejś sztuki, ale dali folgę fantazyi; puścili wodze téj Wschodniéj *vegetacyi*, którój dziś to jedyne w swym rodzaju areydzieło zawdzięczamy. Przez przeciąg wieków w weneckiem słońcu wykapano, wytworzyło jakąś fantastyczną komplikacyą złota, marmuru, mozaiki, drogich kamieni, i powstał św. Marek, najciekawszy i najcudowniejszy kościół na świecie!

Kto chce go prawdziwie poznać i pokochać, temu radzę odłożyć wszelkie Baedekery, usiąść na boku pod filarem i zatopić oczy, bez analizy i bez myśli, na co człowiek patrzy, a wtedy odczuwa się prawdziwą rozkosz.

Rozpoczynając każdy mój dzień od wizyty u św. Marka, byłem świadkiem poważnych i wzniosłych uroczystości Wielkiego tygodnia, celebrowanych przez samego patryarchę weneckiego. Kardynał ten jest człowiekiem w sile wieku, o przyjemnej powierzchowności, przedkich, jak każdy Włoch, ruchach, nie robiących wszakże uszczerbku powadze i pewnemu majestatowi.

Miałem sposobność przypatrzenia mu się podczas kazania, które w otoczeniu kanoników i całego kleru z wielkiéj marmurowéj ambony

wygłosił, a które wiele za długo trwało. Z przyjemnością jednak słuchałem melodyjnej i dźwięcznej wymowy, mając równocześnie czas robienia różnych studyi i uwag, głównie co do różnicy typów kanoników włoskich z naszymi. Podczas gdy u nas się widzi okazałe tuszą i cerą postacie, włoscy dostojnicy kościelni odznaczają się surowością rysów, ale połączoną z pewną jowialnością. Czarne czupryny, nosy orle, oczy ogniste i cera śniada. Mimowoli nasuwa się myśl, że w żyłach ich krew płynie gorętsza, spowodowana nie tylko klimatem, ale inną strawą i napojem.

W Wielki czwartek byłem obecnym wzniosłej uroczystości mycia nóg. Między dwunastu żebrakami, którzy w śnieżnej białości pończochach koło mnie przechodzili, poznałem starca, któremu dnia poprzedniego jałmużnę dałem. Procesya owych żebraków była bardzo wesolą. Postępowali parami, uśmiechając się do publiczności, i widziałem, jak jeden drugiemu kuksa w bok dawał. Co do pończoch białych, to myślę, że przez wiele tygodni jeszcze będzie je można oglądać, tacy dumni w nich wyglądali. Zaprawdę można powiedzieć: „Raz w rok około Wielkiejnocy.“



List XI.

W e n e c y a, 16 września 1895.

Między kościołem św. Marka a pałacem Dożów jest pewne pokrewieństwo. Marmur, złoto, freski, zawsze ta sama Wschodnia, ale już gotycyzmym okielznana fantazyja i komplikacya różnych stylów, bizantyjskiego, maurytańskiego i gotyckiego.

Przypuszczam, iż nie jeden architekt, z Północy zwłaszcza, musi się nie mało zadziwić, patrząc na te, wbrew wszelkim prawom i regulom, postawione arcydzieło. Parter tworzy rodzaj krużganka o wielkich ostrołukich arkadach, opartych na masywnych grubych filarach; pierwsze piętro, jedyne na świecie tego rodzaju arcydzieło, jest również koronką, ale już delikatniejszych arkad, a dopiero na tem zbudowane masywne drugie piętro, wykładane białym i ró-

żowym marmurem, przypomina tureckie dywany. Górą widać rąbek rzeźbiony, tworzący z arkadami dalszemi ramę dla całej budowli. Początek tej budowy przypisują *Filipowi Calendario*, architektowi z czasów sławnego doży *Marino Falieri*. Obaj na śmierć skazani, a ostatni stał się bohaterem dla następnych wieków w malarstwie, rzeźbie, poezyi, dramacie i muzyce, unieśmiertelnionym.

Pałacu Dożów opisywać nie można, gdyż wszelkie zwiedzanie bywa zawsze za nadto pobieżnem, i nigdy się nie ma czasu i cierpliwości do dokładnego obejrzenia. Za nadto tam piękności i arcydzieł. Od samego wstępu po wschodach olbrzymów, aż do ciemnych lochów podziemnych więzień, jest się odurzonym mnóstwem bogactw i ciekawych szczegółów. Skarby te, gdyby pojedynczo były umieszczone, pamiętałoby się lepiej; w pałacu dożów nie można z nich sprawy sobie zdawać. Wie się tylko, że *Tycjan*, *Veronese*, *Tintoretto* i *Giorgione* tam arcydzieła tworzyli, że są sufity, jakich się nie spotyka nigdzie, że jest sala wielkiej rady, w której największy na świecie obraz *Tintoretta* wisi i t. d., i t. d...

W pałacu Dożów widać dawną Wenecyą, olbrzymią, heroiczną, potężną. Z każdego obrazu,

z każdego kawałka ściany biją w oczy dwie rzeczy: potęga i zmysłowość.

Chodząc po tych pustych salach i patrząc się na wielkie pomniki świetnej przeszłości, nasuwa się mimowoli porównanie z innego narodu upadkiem. Bóg dał Polakom Ojczyznę od morza do morza, ziemię żyzną, piękną i bogatą, której sąsiednie zazdrościły narody; ale nadszedł czas nieprawości, w którym duch narodu zatrutym został; krwią i łzami użyżniona ziemia rozpadała się, a co gorzej, jej posiadziciele kupezyć i frymarczyć nią poczęli.

Wenecyanom Bóg ziemi nie dał, ale obdarzeni duchem potężnym męztwa, stworzyli ziemię, na falach morskich ojczyznę zakładając.

Pełni wiary i ufności modlili się Wenecyanie do Boga, aby błogosławić im raczył. „Jeżeli modły nasze wysłuchane będą, wtedy sto świątyń ze złota i marmuru na cześć i chwałę Boga postawimy“.

I ulitował się Bóg nad rozbitkami, o ojczyznę proszącymi, duch potęgi i wiary zwyciężył i stał się cud w dziejach świata. Rozkielznane Adryatyku fale położyły się ujażmione i ciche, całując z pokorą marmrowe stopy pałaców i świątyń, w ich lazurze się kąpiących, i powstała Wenecya dumna, potężna i jak na obrazie Pawła Veronese tryumfująca.

Przeszły wieki w życiu narodów nie widzianego szczęścia i powodzenia i nadszedł dzień, w którym kochanka Dożów usnęła przesycona i upojona czynami miecza, laurami mądrości i wieńcami sztuki. I znowu wiek minał, a Wenecya w purpurze królewskiej szaty spowita, leży na lazurów fal morskich posłaniu, piękna jak anioł po śmierci, z uśmiechem nieśmiertelności na licach, śni o królewiczu, który, jak w baśni starej, przyjdzie ją obudzić i do życia, do nowych tryumfów powołać... ją i siostrę jej z Północy!

Nie znam większej przyjemności, jak włóczenie się po ciasnych uliczkach Wenecyi i jeżdżenie gondolami po małych kanalikach i po wielkim kanale.

Cóżby to była dopiero za rozkosz, móżdż zwiedzić pojedyncze pałace, przed których zwykle zamkniętymi bramami i oknami tak często się przejeżdża.

Najwięcej może zainteresował mnie pałac Foscari z swą trzy piętrową koronką logii, tak strojnych, jak karta średniowiecznego pełnego misternych winiet mszału, karta, na której historia świata złotem i krwawem zapisala się głoskami. Patrząc na ten gmach, nocą tak posępny, czarny i tajemniczy, a przy słońcu huczny i królewski, odtwarzałem sobie w myśli

imponującą postać starego Doży, dekretującego w straszliwej radzie dziesięciu, wygnanie syna, jako zdrajcy Ojczyzny. Zdawało mi się, że słyszę rozpaczliwy lament młodej żony, jęk torturami zmiażdżonego męża i moralnemi katuszami złamanego ojca, opuszczającego pałac Dożów i padającego trupem na wieść o wyborze Loredana, który równocześnie wymazuje dług, będący przyczyną owęj długie lata trwającej zemsty.

Mijają lata, krwią obryzgane ściany ponurych komnat pałacu Foscarri pokrywają się złotem i srebrem tkanemi makatami. Setki kwiatami i kobiercami strojnych gondol otaczają pałac, a bramy jego otwierają się przed gościem, z dalekiej Północy przybywającym, którego Wenecya po królewsku chce przyjąć.

Tragikomiczna podróż monarchy, porzucającego przez ciemną furtkę krakowskiego zamku tron polski i jego splendory, a spieszącego z narażeniem życia i strachem spóźnienia się na tron św. Ludwika, aby być panem najbogatszego i najpiękniejszego narodu w Europie.

Jak powieść z tysiąc nocy i jedna, przedstawia się przejazd Henryka III przez Wenecyą. Od granicy Włoch podróż jego była jednym pasmem owacyi i uroczystości, na jakie tylko średnie wieki zdobyć się mogły.

Sześćdziesięciu senatorów w książących szatach płynęło w złotych gondolach na przeciwko króla, nocującego w Murano, aby za dnia z całą pompą do Wenecyi wjechać.

Na Bucentaurze lśniącym od złota, drogich kamieni i purpury, gdyż wszyscy złotnicy weneccy nad dekoracją tego dziś jeszcze widnego w Arsenale statku pracowali, wjeżdżał Walezysz do miasta. Wśród bram na ten cel zbudowanych, zdobnych freskami, przedstawiającemi sceny z życia króla płynęła ta czarodziejska flota do pałacu Foscari.

Dziesięć dni trwały festyny po pałacach i na morzu, w obec których dzisiejsze uroczystości parodyą i jarmaczną farsą się wydają.

Do wielkiego bankietu w pałacu Dożów, który trwał dzień cały, zasiedli na dwóch naprzeciw siebie ustawionych tronach, król i doża; przy głównym stole książęta, ambasadorowie i rada dziesięciu, w innych salach reszta gości w liczbie trzech tysięcy. Zerlini, dyrektor kapeli św. Marka, otoczony najpierwszymi artystami Europy, wykonywał koncert podczas uczyty. Ale Wenecya chcąc pokazać nie tylko bogactwa, ale i potęgę swą wojskową, urządziła regaty i manewra floty, wśród których król był świadkiem owój, całemu ówczesnemu światu imponującej organizacyi. W dwie godziny 30

tysięcy wojska było pod bronią i flota do boju gotowa.

Tego samego wieczora, na balu danym w pałacu Dożów, inny, może powabniejszy przedstawił się widok królowi. Dwieście najpiękniejszych kobiet, ubranych w fantastyczne Wschodnie ubiory, pokryte perłami i dyamentami, otoczyło młodego monarchę. Kroniki opisują, że Henryk z podziwu wyjść nie mógł, przypatrując się temu, raj przypominającemu, zbiorowi żywych kwiatów.

Zd. Cz.





List XII.

W e n e c y a, 17 kwietnia 1895.

W wczorajszym liście zostawiłem Cię na środku Canal grande, więc tam dziś powracam i dalej z Tobą płynę.

Nie myśl jednak, że zamierzam wszystkie pałace Ci wyliczyć i opisać, na to nie mam ani pamięci ani wiadomości o nich bliższej.

Wspomnę więc tylko o paru, które mnie więcej zajęły.

Jak pałac Foscari Walezyusza, tak pałac Cornaro kilkadziesiąt lat później ugaszczał królewicza Władysława IV, na którego cześć Weneccyanie nową seryą wspaniałych festynów urządzili.

Na hebanowych palach zbudowany, wznosi się pałac Grimani, strojny kosztownymi rzeźbami i odznaczający się nadzwyczajną harmonią proporcji, prawdziwą marmurów symfonią.

Pałac Casa Doro, więcj w maurytańskim stylu, przypomina baśnie o czarodziejskich pałacach wróżek. Ostatnia wróżka, która w nim mieszkała, była pani Taglioni, niegdyś sławna baletniczka.

Dalj następują pałace: Vendramin, przez Sansovina zbudowany i Mocenigo, gdzie Byron don Juana pisał i Contarini i Balbi i wreszcie jeden z najpiękniejszych palazzo Pisani, należący do uroczej pani Pisani, zaprzyjaźnionej z wielu polskimi rodzinami.

W pałacu tym między mnóstwem arecydziel pędzla i dłuta znajduje się oryginalna pamiątka po Pawle Veronese. Chcąc się wywdzięczyc za doznana gościnność, wymalował wielki mistrz obraz, przedstawiający rodzinę Daryusza, kłęczącą przed Aleksandrem Wielkim i schował go w sekrecie pod łóżko. Dopiero po wyjeździe znaleziono arecydzieło, zdobiące dziś jeszcze ściany pałacu.

Z bólem serca dowiedziałem się dziś, że akademia sztuk pięknych zamknięta. Można sobie wystawić moje rozczarowanie, gdy przeszedłszy przez wielki żelazny most nad Canal grande, będący jedyną brzydką rzeczą w Wenecyi, natrafiłem na drzwi zamknięte i na nich przybite ogłoszenie, że z powodu nadchodzącej wystawy akademii na pewien czas zamkniętą

pozostanie. A ja tak pragnęłam odwiedzić starych znajomych, którzy tu królują. Ileż tam Tycyanów, Veronesów i Tintorettów, jakie Rafaele i Palmy. Tam Assunta Tycyana, jedno z najpotężniejszych arcydzieł tego wielkiego mistrza, będącego niejako głównym przedstawicielem szkoły weneckiej.

Mało który malarz pozostawił po sobie wspomnienie tak długiego pasma życia, pełnego pracy i tryumfów za nią odbieranych. Będąc przyjacielem najpierwszych artystów, a równocześnie królów i cesarzy, uczy się razem z Giorgionem, przyjaźni z Sansovinem i Ariostem, cieszy zaufaniem papieża Pawła III i jest przedmiotem uwielbienia Henryka II i III, Filipa II i Karola V, który dumnym jest, że go Tycyan maluje, a on mu pędzle podnosi i podaje. Gdy w 99 roku życia umiera, wśród panującej w całym kraju zarazy, Weneccyanie sprawiają mu królewski prawdziwie pogrzeb, na jaki zasłużył nie tylko z powodu setek arcydzieł, któremi prawie wszystkie galerye świata wzbogacił, ale też z wdzięczności, że uczniów i następców godnych siebie pozostawił.

Gdy się myśli lub pisze o malarstwie weneckiem, to przede wszystkim dwaj arcymistrzowie się nasuwają, którzy się wzajemnie uzupełniali, a którzy po królewsku Wenecją wyposażyli:

Paweł z Verony i Tintoretto. Aby zcharakteryzować pierwszego, trzeba by tak piórem władać, jak on pędzlem. Ale Paulo Veronese przewyższa geniuszem ludzkie sądy i pojęcia. On sięga słońca po promienie, nieba po błękity i mgieł srebrzystych i głębin wód morskich. Zaprawdę godny przedstawiciel potężnej i wspaniałej Wenecyi, a ona godna jego.

Przytem żaden malarz nie umiał wyrazić takiej Boskości w postaciach Chrystusa, jak Veronese. W jego ucztach, w jego cudach i objawieniach widać Chrystusa w czerwonej, zawsze w téj samój szacie chodzącego, siedzącego i mówiącego jako człowiek, ale z wyrazem nadziemskiej i niedostępnej Boskości.

Co do Tintoretta, to chyba jedynym jego błędem, że za wiele arcydzieł pozostawił. Nie ma kościoła, kaplicy, zakrystyi lub pałacu, bez kilku choć obrazów Tintoretta. Ledwie wyszedł ze szkoły Tycyana, a już zapala się do tytanicznych postaci Michała Anioła i od téj chwili nie zna już granic i zapory dla swych kreacyi.

Pokrywa domy freskami, maluje w pałacach, klasztorach i kościołach, olbrzymie płótna pokrywają się pod jego pędzlem, jak pod rozczką czarodziejską, tysiącami postaci. Nie dosyć na tem, gdyż napelnia cały gmach, nazwany

szkołą św. Rocha, swemi malowidłami. Kilka pięter olbrzymich sal, a w nich od góry do dołu nic, jak Tintoretto.

Jeżeli można w tym czasie o naturalizmie mówić, gdzie wszystko jakby nadziemskim jakimś natchnieniem poezyi żyło, to Tintoretto był naturalistą. Bierze on życie takie, jak je przed sobą widzi. Malując np. ucztę w Kanie Galilejskiej, odtwarza nie tylko Chrystusa i biesiadników w koło stołu siedzących, ale także okna i posadzkę i wyjście do kuchni i służbę i talerze i wszystko, co się w sali znajdować musiało. Jest on, jeżeli wolno podobne porównanie zrobić, Zolą w malarstwie, który się kocha w szczegółach wyuczonych i wyszperanych. Nie wiem, jak się nazywa w biblijnym języku scena, którą Tintoretto w jednym z obrazów w szkole św. Rocha odtworzył. Przedstawia Chrystusa leczącego i uzdrawiającego nad sadzawką. Otóż scena ta jest tak *nieestetycznie realistyczną*, a tak po mistrzowsku oddaną, że mi mimowoli niesmaczne ustępy z niesmacznego romansu „*Lourdes*“ Zoli przypomniała.

Patrząc na ten obraz, starałem się zrozumieć, jaka jest różnica między realizmem starych mistrzów a impressionizmem dzisiejszej szkoły, i przyszedłem do przekonania, że tak wielka, iż się nie dziwię, że najgenialniejsi nieraz

nawet malarze współczesni nie rozumieją i nie czują czasem starych mistrzów. Główną zasadą impresyonizmu, a według wykonawców główną zdobyczą na polu sztuki jest malowanie przedmiotu nie takim, jakim jest w rzeczywistości, ale jakim się na pierwszy rzut oka przedstawia, a przytem malowanie *skicowo*.

Ponieważ zaś oko, obejmując całą postać lub krajobraz, nie może dostrzedz pojedynczych szczegółów, o których się tylko wie, że egzystują, przeto ich się nie uwydatnia. Ztąd powstają owe fantastyczne portrety bez uszu, ręce bez palcy, krowy bez nóg i drzewa bez gałęzi. Że teorya ta jest słuszną, nie ma co mówić, i raz przyjąwszy ją „jako zasadę“, trudno inaczej malować. Co do mnie, jeżeli mi wolno jako profanowi o tem pisać, to dzisiejsza nowa szkoła jest mi sympatyczną i odpowiada memu przekonaniu, ale równocześnie pytam się, czy ów impresyonizm jest w istocie „zdobyczą“ na polu sztuki i czy tu się nie sprawdza przysłowie: „que le mieux est l'ennemi du bien?“

Czy ów wyżej wymieniony sposób malowania portretów jest ulepszeniem sztuki i postępem w niej? Czemu portret mego ojca, brata lub przyjaciela nie ma być takim, jakim on jest w rzeczywistości i jakim pragnąłbym go dla siebie i potomności przechować? Przecież

sztuka jest naśladowaniem natury, czemu więc nie ma być wierną i naturalną?

Cenię nadzwyczaj produkuje dzisiaj naszych malarzy, gdyż są one płodami nauki i geniuszu, ale czy one wytrzymają konkurencją z mistrzami 15 wieku i ich szkołą, tego nie śmiem twierdzić.

Zbyt długo zatrzymałem Cię przed zamkniętymi drzwiami akademii, co niechaj Ci dowodzi, jaką przykrością było dla mnie nie móść, według zwyczaju, ze starymi przyjaciółmi się przywitać, z którymi niejedno popołudnie tak mile się spędzało.

Nie pozostało mi przeto, jak pójść na ponte Rialto i oddać się głównemu memu zajęciu, t. j. gapieniu się na świat Boży.

Swoją drogą trudno sobie wybrać stosowniejsze miejsce do patrzenia i używania widoków. Sam most jest tak oryginalnym i niezwykłym, że choć mu dziś zarzucają pewien brak estetyki, nie można sobie Wielkiego kanału bez niego wystawić.

Jednem śmiałem sklepieniem przerzucony przez kanał, opiera się na dwunastu tysiącach pali, pod niego wbitych.

Na zakończenie donoszę Ci o miłej niespodziance, którą tu miałem. Samotność moja została przerwana i to w najprzyjemniejszy

sposób przez spotkanie się z państwem M. On taki wesoły, rozmowny, rozumiejący sztukę i mający, jak cała jego rodzina, wysoko posunięte poczucie piękna, a ona taka ładna! W aureoli złotych włosów „tak pełna w sobie anielskiego świtu“, że gdy ją wczoraj zobaczyłem stojącą na stopniu ołtarza w kościele św. Marka z fiołkami na głowie, o mało nie ukląknę, myśląc, że to Madonna. Od téj chwili nie nazywam jęj inaczęj, jak „Madonna delle violae.“

Zd. Cz.





List XIII.

W e n e c y a, 18 kwietnia 1895.

Jak każdy podróżnik, kochający się w naturze i lubiący przygody urozmaicające podróż, cieszę się, ilekroć mi się coś nowego i niedoznanego jeszcze wydarzy. Tym razem Opatrzność pozwoliła mi być świadkiem zdarzenia, o którym nie tylko nie marzyłem, ale go sobie nawet nie życzyłem.

Była to niedziela Wielkanocna. Dzięki prawdziwie polskiej gościnności, nie znającej granic, ani politycznych, ani geograficznych, otrzymałem zaproszenie na święcone (?) jajko do państwa M. Jak Ci już pisałem, im zawdzięczam dużo chwil, mile w Wenecyi spędzonych.

W Albergo de Luna zasiedliśmy do małego święconego, podzieliliśmy się jajkiem, przenosząc się myślą i sercem do domów rodzinnych,

gdzie równocześnie zapewne i o nas myślano i się objadano, poczem wzięliśmy się do święconki, składającej się głównie z dobrej zawsze we Włoszech „*prosciutto*“, czyli szynki, Salami di Verona i Mortadelli di Bologna, która to kiszka, jak wiadomo, z osielka się robi.

Gdy po chwili ukazała się na stole zapyłona buteleczyna starego Burgundra, rozpoczęła się długa i swobodna gawęda i ledwo się spostrzeżliśmy, że wieczór nadszedł.

Parę godzin później, krótko przed północą, siedziałem z panem M. przed *Café Quadri*, popijając według zwyczaju Vermuth, gdy wtem nastąpiła owa nieprzewidziana przygoda we formie trzęsienia ziemi.

Nigdy nie zapomnę tego wrażenia i żałuję tylko, że tak nieprzygotowanym do owego zjawiska natury byłem. Ławka, na której siedziałem, stolik z Vermuthem; M. i cameriere, przechodzący w tej chwili z porcją czarnej kawy, wszystko to razem zachwiało się, zatańczyło, poprzewracało — i już było po trzęsieniu ziemi.

Parę minut później plac św. Marka, przed chwilą dla panującego wichru i zimna prawie pusty, napelniał się publicznością; najprzód tą, która po licznych kawiarniach i restauracjach

siedziała, a potem hotelową i z domów prywatnych.

Błdzi, wystraszeni, na wpeł ubrani, tylko w szale, kołdry i płaszcze zawinięci ludzie uciekali, krzycząc i ratunku wołając, na plac św. Marka jako najszerwsze i najobszerniejsze miejsce we Wenecyi.

Ja z p. M. pobiegliśmy do naszych hoteli. On po żonę, a ja po pieniądze w kufrze zapakowane i po służącego, który śmiertelnie błady, wśród przewracanych krzeseł i stołów na mój powrót oczekiwał i na śmierć się sposobił.

Można sobie wystawić, co się w hotelach działo; jaki popłoch, zamieszanie i wrzaski po korytarzach. — Pierwsza osoba, z którą się spotkałem przed drzwiami hotelu, był znajomy mój z lago di Garda „*tlusty olbrzym*“. Uciekł z hotelu, oburzony i zgorszony tym „*brakiem cywilizacji włoskiej*“, na który w Niemczech nigdyby nie pozwolono, podczas gdy nad jego plecami *almaviva* falowała w fantastycznych powiewach. Tym razem, Bogn dzięki, że była, gdyż pan profesor z łózka wyskoczywszy, nie miał nie tylko togi uniwersyteckiej, ale nawet najprozaiczniejszej części ubrania na sobie.

Burzliwą, a na zawsze pamiętną tę noc spędziliśmy prawie do rana na dworze, już to na

placu św. Marka, już też na Piazeccie, patrząc na wzburzone i szumiące morze. Dużo rodzin wyniosło się tejże jeszcze nocy na statki na morzu stojące, czując się tam bezpieczniejszemi.

Nazajutrz niezliczone tłumy zalegały dworzec kolei żelaznej, opuszczając ze strachu Weneę. Dzięki Bogu, prócz kilku zawalonych kominów, zapadniętych sufitów i pewnej liczby guzów i sińców, innych nieszczęść nie było; ponieważ zaś nie ma złej rzeczy, któraby poniekąd na dobre nie wyszła, przeto zdarzyło się, że stary p. K. J., którego nazajutrz także uciekającego z Weneę na dworcu spotkałem, przewrócił parę dni przedtem kałamarz w swym pokoju na serwetę, stół przykrywającą. Gdy mu szkodę tę w rachunku policzono, oświadczył p. J., że zapłacić nie myśli, gdyż to trzęsienie ziemi sprawiło.

Nie tylko dziś, ale prawdopodobnie cały tydzień i dłużej będzie zjawisko to natury głównym tematem ogólnej rozmowy. Co chwilę widać przechadzających się po placu Włochów, którzy i tak gestykulować lubią, jak w różnych komiecznych i tragicznych przysiudach nad przebytą katastrofą malowniczo się rozwodzą.

W życiu i zwykłym jego trybie jestem zwierzęciem towarzyskiem; samotności unikam i boję się jej, jak każdego przebudzenia, gdy się nie jest świadomym, co ono przyniesie. Mimo to jest rzecz, której się we Włoszech więcej boję, to jest spotkania znajomych. Kocham ich bardzo w Ojczyźnie, ale wolę ich nie widzieć w kraju tysiącletniej cywilizacji i artyzmu.

Przypominam sobie panią Wilhelminę Buchholz, przyjeżdżającą do Rzymu i niechęcą jechać z dworca kolei do hotelu omnibusem, „*um kein Pappgeschicht zu sehen.*“ Tak pojmuję tę dla mnie najsympatyczniejszą z wszystkich Niemek, (może dla tego, że nigdy nie istniała), że także z zasady omnibusami nie jeżdżę, a znajomym z drogi przezornie schodzę. Głównym powodem tego strachu jest po pierwsze banalna rozmowa, na jaką wtedy jestem skazany, a powtóre słuchanie wiecznych skarg i jeremiad na włoską kuchnię, włoskie wina, hotele, usługę etc.

Widocznie Pan Bóg mi dał szczęśliwszą naturę, gdyż nawet pod względem kulinarnym czuję się zwykle zadowolonym. Swoją drogą trudno sobie wystawić coś gorszego od kuchni włoskiej.

Cały dowcip polega na tem, by nie wymyślać sobie obiadów paryskich i berlińskich, ale zdecydować się na jądanie w włoskich restauracyach, gdzie się dostaje rzeczy, których za najdroższe pieniądze nie otrzymasz w Café Anglais albo u Sachera. Przytem ma się tę przyjemność, że się ówierć tego zapłaci co gdzieindziej.

Za Orlogią św. Marka jest restauracya „*Capello nero*”. Poszedłem tam, nie dla renomy, ale dla tego, że figuruje ona już na pewnym obrazie z XV wieku; to mnie więc skusiło i pozostałem jój wiernym. Uczty me składały się z samych najlepszych specyałów; „*una frittura di mare*” jest ślicznym zbiorem ślimaków, krabów, pajaków i innych morskich przysmaków, potem „*scampi*!” Gdy wchodziłem do restauracyi, już usłużny Cameriere, widząc mnie z daleka, wołał wesolo: „*Scampi, signore scampi!*”

Dobrze nie wiem, co to jest, ale w każdym razie pyszna rzecz, także jakiś rodzaj ślimaków, długich na dwa cale i czerwonych.

Potem przychodziła „*Verdura!*”, a więc szparagi włoskie, długie, cienkie, zielone; sałaty wszystkich gatunków i kolorów i wreszcie przysmak nad przysmakami, „*Carcioffi à la*

parmesan.“ Są to maleńkie, jak włoskie orzechy karczochy, na oliwie z parmezanem smażone.

Widzę ztąd Twe oburzenie, że na oliwie jadam! Otóż śmiem Ci zaręczyć, że świeża włoska oliwa jest nie tylko doskonałą, ale w każdym razie lepszą od starego masła i margaryny, z którą się i w Berlinie i w rodzinnym mem mieście Poznaniu w pewnych pierwszorzędnych lokalach spotykam.

Widzisz więc, że krzywdy sobie nie robię, a gdy do tego mi na stole postawią ową śliczną, o klasycznej formie fiaskinę Chianti, Capri bianco lub Barrolo, to zaręczam Ci, że lepszej kuchni nie potrzebuję.

Co do służby i hoteli, to lepszej usługi na całym świecie nie znam, tak zwinniej i chętniej. Hotele są tanie, porządne i odznaczające się znakomitemi łózkami. Jest to specjalność włoska, którą się nie tylko w hotelach i prywatnych domach spotyka, ale nawet u najbiedniejszych ludzi, n. p. rybaków, którzy ledwo mają na czem jeść i siedzieć, ale łóżka zawsze doskonale i bezwarunkowo lepsze, od niemieckich i często polskich, w których się jak sandwich leży między piernatem a charakterystycznym »*spodkiem*.“!!

Oczywiście są to rzeczy, w które nikt u nas nie wierzy, gdyż każdy Polaczek twierdzi, że Włosi to złodzieje i gałgany! Swoją drogą nie znam gorszej służby, jak właśnie polska służba po hotelach. Ale to niech zostanie między nami, gdyż gotów się zgrzyt nożyc na poznańskich stołach odezwać!

Zd. Cz.





List XIV.

W e n e c y a , 10 kwietnia 1895.

Mam wyrzuty sumienia, iż piszę do Ciebie z najpiękniejszego miasta, a jego cudów i arcydzieł Ci nie opisuję. Pochodzi to ztąd, że zwiedzam Wenecyą bez porządku i stałego jakiegobądź planu, według fantazyi i ochoty, skoro mnie bierze to lub owo zobaczyć.

Włóczęc się godzinami po małych uliczkach i płynąc po bocznych kanalikach, dwie rzeczy, według mnie, najzabawniejsze w Wenecyi, wchodziłem do kościołów, których fasada lub wieża mnie zainteresowała, nie wiedząc i nie pytając o ich nazwę. Nie chciałem podziwiać dla tego, że mi Baedeker nakazuje i wskazuje, ale pragnąłem odnaleść, odczuć i cieszyć się tem, co mnie samemu głównie się podobało.

Przytem znaną jest rzeczą, że najchętniej się już widziane widoki i arcydzieła odszukuje — a że tego rodzaju przyjaciół dużo posiadam w Wenecyi, więc głównie do nich powracałem.

Najpierw udałem się do największego przyjaciela, jeżeli go tak nazwać można, bo to bardzo wielki pan — do wspaniałego *Bartolomeo Colleoni*, którego *Verrocchio* przed kościołem św. Jana i Pawła na konia wsadził, a który jest najpiękniejszą statua konnego rycerza, jaką na świecie widziałem. Był to condottiere, który wzbogaciwszy się bardzo, ogromne sumy Rzeczypospolitej weneckiej zapisał. Z tego powodu senat postanowił go statua uczcić i polecił wykonanie jej wielkiemu *Verrocchio*. Gdy jednak pozwolono sobie pracę jeszcze nieskończoną krytykować, a nawet chciano wykończenie polecić innemu rzeźbiarzowi, oburzony *Verrocchio* odciął głowę koniowi i Wenecyą opuścił. Senat napisał mu list pełen gniewu, grożąc mu również ucięciem głowy, *Verrocchio* odpisał, że łatwiej on da nową głowę koniowi, aniżeli senat jemu samemu, poczem uproszony i przejednany powrócił i pomnik dokończył. *Colleoni* siedzi tak dumnie, tak po królewsku na swym pysznym wierzchowcu i z taką pogardą przez lewe, trochę wyniesione ramię na

ziemię spogląda, iż zdaje się, że go się widzi nie na piedestalu, ale w tryumfalnym pochodzie, zdobywającego świat.

Przypomniały mi się niektóre pomniki niemieckie, na których rycerze niby się puszą, a więcej na konnych żandarmów, lub ćwiczących się w „wysokiej szkole“ rycerzy Renza wyglądają.

Bartolomeo Colleoni jest niejako wartą stróżującą przed Panteonem weneckim, czyli kościołem św. Jana i Pawła, a tu powszechnie „*Zanipolo*“ nazywanym.

Kościół ten, to skamieniała i w marmur obrócona pieśń o dawnych dziejach, dawniej potędze i sławie weneckiej. Wśród tęczowych blasków kararyjskich, verońskich i afrykańskich marmurów, śpią tam kamiennym snem: *Moconigi* i *Morosini*, *Loredany* i *Vendraminy*, a obok nich, nad nimi, wszędzie, arcydzieła *Tycjana*, *Vivarinięgo*, *Veronesa* i *Leopardiego*. Ostatniego jest może najpiękniejszy pomnik, postawiony dla doży *Andrzeja Vendramin*. Kolo sarkofagu trzy geniusze z pochodniami, górą syreny i aniołowie, a dołem sceny z życia doży.

Przypatrując się wszystkim tym pomnikom, można śledzić rozwój, przez jaki sztuka w XV wieku przechodziła. Podczas gdy pierwsi dożowie leżą na sarkofagach, umarli i śpiący

z rękami na piersiach złożonemi, widzi się następnych siedzących, stojących lub jeżdżących konno na marmurowych koniach. Z połową XVI wieku stają się pomniki już rodzajem bram trymfalnych do nieba. Takim jest grobowiec doży *Pesaro* w kościele *dei Frari*, gdzie cała wieża Babel postaci alegorycznych spoczywa na karkach czterech murzynów.

Wenecya, zawsze dbająca o pompę i majestat, umiała strasznie karać, ale i potężnie wynagradzać; co do kar, to warto tu wspomnieć, że od ustanowienia władzy dożów, aż do połowy XV wieku, 7 ich zamordowano, 9 wypędzono po wydrapaniu oczu, 12 abdykowało, 1 został ścięty, a 1-go zrzuceno z tronu. Były jednakże postacie wspaniałe dożów weneckich, o których do dziś dnia dumni Weneccyane mówią i śpiewają. Wspomnę tu tylko jednego, owego 80-letniego fanatyka Henryka *Dandolo*, ślepego, bo mu oczy wydrapano. Gdy w r. 1200 którymś wojska francuzkie z rzezcąpospolitą wenecką na próżno usiłowały Carogród zdobyć, ślepy starzec, ubrany w zbroję, wziął chorągiew w rękę, sam flotą komendował i Konstantynopol zdobył. Chciała go Wenecya wynagrodzić, ofiarując mu koronę Carogrodu — ale *Dandolo* wołał jej służyć, niż być cesarzem potężnego państwa.

O innych kościołach tylko w krótkości wspomnę, gdyż ich tyle, a tak pięknych, że ani połowy opisać bym nie mógł. Podobnym do Zanipolo jest kościół *dei Frari*, z owym pompatycznym pomnikiem doży *Pesaro*, drugim o wiele skromniejszym nieszczęśliwego doży *Foscari*, z pięknym Tycyanem i wreszcie z grobowcem *Canovy*, który on sam stworzył dla Tycyana, a po jego śmierci dla niego przeznaczonym został. Pomnik ten przypomina bardzo piękniejszy jeszcze grobowiec u Augustynów w Wiedniu; tu i tam lew płaczący przed wejściem do groty leży. Widocznie lubił lwa Canova, może dla tego, że pierwsze arcydzieło, jakim się odznaczył i uwagę na siebie zwrócił, był lew z masła zrobiony na stół bogatego jakiegoś pana.

Kościół *Santa Maria Formosa*, z św. Barbarą starego Palmy, i *San Sebastiano*, gdzie jest kilka ślicznych Veronesów, św. Mikołaj Tycyana, malowany w 86 roku życia i grobowce Sansovina. Co mi się wszelako najwięcej w tym kościele podobało, to obraz Veronesa w zakrystyi się znajdujący. Patrząc na niego, ma się uczucie, że to nie ludzkie dzieło, ale Boskie objawienie, taki nieziemski koloryt, poezya, naiwność, a przytem potęga. Cały

dzień miałem w oczach ów obraz, przedstawiający ukoronowanie Matki Boskiej.

Wstąpiłem także z ciekawości do małego, niestety, restaurowanego kościoła *San Giorgio dei Greci*. Odbywało się właśnie nabożeństwo greckie. Cały kościół, jak monstrancja, taki przepelniony złotem i kosztownościami. Bylbym chętnie pozostał dłużej, aby słuchać pięknego śpiewu i przypatrywać się oryginalnym ceremoniom, ale po całym kościele unosiła się woń jakiegoś Wschodniego kadzidla, tak mocnego i mdłego, że uciekałem czem prędzej.

Mały ten kościółek jest arcydziełem Sansovina. Obok niego wznosi się okazały i bogaty *St. Zaccaria* o wspaniałej fasadzie i dalej *St. Maria dei miracoli*, obydwie kościoły przez Piotra Lombardo zbudowane. Dwa pyszne kościoły geniuszem nieśmiertelnego Palladia stworzone, stały naprzeciwko siebie, na środku wielkiej zatoki morskiej, między Piazzetą a Giudeccą. *San Giorgio maggiore* i *St. Redentore*.

O Palladio wspomniałem Ci już w innym liście, pisząc o pałacach Vicenzy. Po Michale Aniele jest to największy architekt XVI wieku, zakochany w formie starożytniej; studyował ją w Rzymie długie lata i doszedł do największego zrozumienia i zastosowania proporcji. Jego

kościół są może trochę surowe i brak w nich owego Wenecyi właściwego, bogactwa i przepychu dekoracyjnego; tem więcéj jednak przypominają stare rzymskie budowle. Dopływając do San Giorgio, widzi się ową nadzwyczajną harmonią kształtów, stworzoną przez wieżę, fasadę, boczne nawy i przyległy klasztor. Wnętrze odpowiada ogólnemu charakterowi, jest spokojne i poważne.

Jak brat bliźni wznosi się po drugiej stronie zatoki Redentore, najwięcéj wykończony z kościołów Palladia. Wnętrze jest nadzwyczaj ładne mimo najprostszych form, zwłaszcza widok na liczne w półkolu otaczające kaplice.

W kościele tym byłem kiedyś przed laty na odpuscie, na który, tysiącami gondol ściągają mieszkańcy okolicznych wsi i miasteczek. Uroczystość ta ludowa trwała do późnego rana i zakończyła się przedstawieniem opery „*Ballo in maschera*“ o godzinie szóstéj rano pod golem niebem, w *Giardini pubblici* granéj.

Tyle Ci piszę o kościołach, a nie wspomniałem jeszcze o téj najśliczniejszój *St. Maria della Salute*, która jakby „z tęczy wyszła i z potoku piany“ w nieskalanéj swéj marmurowéj sukience na środku kanału się wznosi.

Dziwny, niepojęty urok ma ta świątynia. Ale też jakie jéj otoczenie: naprzeciwnko złote

i marmurowe palace, dołem niebieskie morze, górą niebieskie niebo, a ona sama Matką niebieskiego Pana!

W środku kościoła wszystko ładne, począwszy od obrazów Luca Giordano, a skończywszy na Tintorecie, na którym się zawsze wszystko kończy. Jest tam uczta w Kanie Galilejskiej; po jednej stronie stołu mężczyźni, po drugiej stronie rząd najpiękniejszych kobiet, a pod stołem piesek kość obgryzający. Trudno wyrazić, jaka elegancya i jakie życie w tym obrazie.

W szczęśliwym tym kraju wiszą arcydzieła nie tylko w kościołach, ale i po zakrystiach. W zakrystyi della Salute trzy bardzo piękne Tycyany, z których dwa na suficie, jeden na ścianie. Równocześnie ze mną znajdowały się jakieś Niemki, które wyczytały, że na „Fensterseite“ jest Tycyan. Ponieważ jednak były dwie Fensterseity, więc Niemki w ambarasie, na którą ścianę się patrzeć, przychodzą do mnie i pytają się. Widząc na przeciwległej ścianie jakiś lichy Oeldruck, może przez miejscowego proboszcza zafundowany, najspokojniej im go pokazuję, jako arcydzieło Tycyana.

Niemki buch na tę stronę, cieszą się i podziwiają, twierdzą, że tylko Tycyan tak malo-

wać potrafi, a ja w ten sposób mogłem swobodnie dalszej kontemplacyi się oddawać.

W wielkim oltarzu statua Matki Boskiej, ratującej Wenecyą od dżumy, z boku kandelaber z brązu, zdaje mi się *Bresciana*. Za oltarzem są dębowe stale renaissansowe. Umyślnie zadałem sobie pracę szczegółowo je obejrzyć. Na każdej poręczy aniołek rzeźbiony, jest ich koło stu, a nie ma dwóch takich samych.

Zd. Cz.





List XV.

Wenecya, 20 kwietnia 1895.

Siedząc dziś na marmurowych schodach, przezuconych przez mały kanalik, oddzielający pałac dożów od więzień, rozkoszowałem się rozmaitością widoków.

Z jednej strony owe wyżej wymienione gmachy, jak dwie karty wyrwane z historii świata, jedna złota, druga czarna, a między nimi jak „*biata tęcza na marzeń obłoku*“ zawisł most westchnień „*ponte dei Sospiri*“. Czy można wymyśleć coś weselszego i bardziej pojętnego, jak ów mostek cały rzeźbiony, świecący marmuru jasnością, jakby stworzony do słuchania serenady i wiecznego duetu miłosnego. A mostek ten był bramą nocy, śmierci i rozpacz i przechodzący przez niego mógł powiedzieć, patrząc przez śliczne okno rzeź-

bione po raz ostatni na słońce, świat Boży i ludzki: „*Per me si va nell' eterno dolore!*“

Naprzeciwko mostu, pałacu i więzień kolysał się na modrych falach morza śliczny bieluteński stateczek, prawdziwa zabawka morska. To jacht właściciela „*New Herald*“, który temu kilka dni spacerem z Ameryki przyjechał i mnie jadowitą zazdrością napelniał. Na pokładzie statku widać było tylko kilkanaście nóg po amerykańsku na stołach zarzuconych, podczas gdy ich właściciele ginęli w rozłożystych roking-chairach, w obłokach dymu hawańskich cygar i tonach śpiewanej im bezustannie serenady! Szczęśliwi ludzie! którego pięknego wieczora powiedzą sobie, że „dostyc cyprysowej woni“ i popłyną do Sztokholmu lub Amsterdamu na świeże śledzie i polowanie na foki.

Ponieważ w duszy mój gromadzić się zaczęły grzeszne różne pragnienia, zazdrością spowodowane, przeto opuściłem schody w zamiarze pocieszenia się kieliszeczkim Vermuthu. Nadpływający właśnie do piacetty nowy statek zwrócił moją uwagę, wyrzucając kłęby czarnego dymu i pozostawiając za sobą długą jasną szarfę zmaconych fal. Obok mnie na schodach siedział stary Włoch z fezem na głowie, koleczykami w uszach i fajką w ustach. Spytałem

go, dokąd ów statek odchodzi? Do *Torcello* — odrzekł. Miejscowość ta nieznana mi odtworzyła mi się w pamięci wspomnieniem jakiejś katedry z jedenastego wieku, o której nie wiem już, gdzie czytałem. Czasu do namysłu nie było, więc nie tracąc go, wpakowałem się na statek. Jakaż była moja radość, gdy, przyglądając się towarzystwu, z którym miałem jechać, zobaczyłem najprzód fiolki, a potem państwa M.

Chwilę później statek zaryknął, koło załopotalo i przejechaliśmy obok „*New Herald*“, na którego z pogardą i lekceważeniem patrzałem. Słońce było na niebie i słońce miałem w duszy i cieszyłem się na morze, fiolki i katedrę.

Jak w kalejdoskopie przesuwały się nam przed oczami zdala widne wieże Zacharyasza, czarne, od czasu do czasu tylko płonące czerwonym ogniem kuźnie i fabryki okrętów, zielone i wesole *Giardini publici*, w których przed laty całą noc na ławce ogrodowej przespąłem, i wreszcie szerokie i wspaniałe *Lido*, gdzie, jak *Musset* powiada, błądy *Adryatyk* u stóp mogiły przychodzi konać, a na którego wybrzeżu tysiące dzieci z wesołym rozhoworem muszli i koników morskich szukało. Potem już nie jak laguny i zdala widne *Alp* śnieżystych korony.

Pierwsza stacya, to słynne fabrykami wyrobów szklanych Testoliniego *Murano*, a kawalek dalej *Burano*.

Lud tu inny, więcej wieśniaczy, a wegetacya bujniejsza. Korzystając z godzinnego przystanku, przeszliśmy przez małe miasteczko i zwiedziliśmy sławną fabrykę koronek weneckich, w której wszystkie panie się rozczulały, a ja nic nierozumiałem, chociaż zmuszony byłem słuchać, jakie bajeczne sumy metr pojedynczych koronek kosztuje.

Powróciwszy na statek, bawiłem się widokiem chmary czarnych jak djabelki dzieciaków, którym soldy z pokładu rzucaliśmy, a one się bily i ścięły, kto prędzej je porwie, zwłaszcza gdy do wody wpadały. Dochodziło czasem do krwawych prawie zapasów, a w maleńkich tych, po parę lat liczących istotach, widać już było rysy charakteru włoskiego: żebranina, przebiegłość, spryt i gwałtowność. Maleńka dziewczynka o ślicznych czarnych, dużych oczach, łez pełnych, przysła pod sam statek i błagała mnie cieńkim, jak chory kanarek, głosikiem o solda. Rzuciłem jęj go w fartuszek; gdy jednak druga dziewczynka, zobaczywszy to, chciała ową zdobycz porwać, mała moja czarnobrewa ugryzła ją w rękę.

Anglik pewien na statku się znajdujący całą portmonetkę wypróżnił, bawiąc się rzucaaniem soldów.

Wśród tej zgrai dzieciaków uganiał się stary, siwy policyant, uzbrojony, zamiast pałasza w gałęź, którą nietościwie malców po czarnych łydkach smagał. Djabelki jednak nie bardzo go się bały i sprzeciwiały mu się, to za surdut, to za gałęź skubiąc. Upatrzawszy sobie jednego z waleczniejszych małych gladiatorów, tak się na niego wziął, że aż na łódkę za nim wskoczył; sprytny jednak bambino, jak drugi Tell, zamaszystym suscem na ziemię powrócił i łódkę od brzegu odepechnął. Biedny reprezentant władzy zmuszony był wśród homerycznego śmiechu całego otoczenia w wodę wskoczyć i na brzeg się wydostać. Był to obrazek godny pędzla malarza.

Koło trzeciej po południu dopłynęliśmy do Torcello. Miasteczko maleńkie, jak najmniej-sza wioska u nas; ledwo parę chat nędznych i okopconych, ale między niemi jak królowa, ubogimi żebrakami otoczona, katedra z jedenastego wieku.

Wewnątrz zwłaszcza jest bazylika ta do najwyższego stopnia ciekawą. Przedzielona dwoma rzędami kolumn, o pięknych kapitelach, dzieli się na trzy nawy, z których środkowa

wyższa od bocznych. Tylna część bazyliki, znajdująca się po za wielkim ołtarzem, jest w formie półokrągłej niszy, otoczonej marmurowymi ławami. W głębi niszy są schody, które amfiteatralnie wznoszą się aż do wysoko umieszczonego tronu biskupiego, nad którym widne mozaiki na złotem tle. Posadzka jest również mozaiką różnobarwnych marmurów, kolumny z marmuru greckiego, a chrzcielnica pamiętna dawniejszych jeszcze wieków, jest widocznie naczyniem z pogańskich czasów.

Naprzeciwno wielkiego ołtarza są na murze mozaiki, przedstawiające w drastycznych i trochę cynicznych scenach niebieskie splendory i piekielne katusze. Biedni potępieńcy wiją się w strasznych torturach wśród dzikięj sarabandy rozkielznanych biesów i menażeryi różnych gadzin i dzikich bestyi, wijących się w koło grzesznych ciał.

Przy katedrze jest rodzaj starego Campo santo, drugi kościółek *Santa Fosca* w bizantyńskim stylu zbudowany i.. wielka obora, napelniona krowami i cielećtami z końca dzieiętnastego wieku! Wszystko to razem na jednym placu i na jednym bodiakami porosłym trawniku się znajduje.

Prócz tego są dwa małe muzea, z samych wykopalisk okolicznych się składające; śliczne

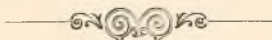
statuetki marmurowe i płyty z rzeźbami, za parę lir od chłopów, którzy je znaleźli, wykupione.

Obejrawszy te wszystkie skarby i wygrawszy się w słońcu aż nazbyt, powróciłem do statku wąską drożynką, wijącą się między kwitnącemi makami i stokrociami.

Powrót z Torcello do Wenecyi był arcyprzyjemny. Statek objechawszy miasteczko do koła, opuścił laguny i wypłynął na pełne morze, wielkim i dalekim łukiem do Wenecyi powracając.

Gdy dojeżdżaliśmy do miasta, dzwoniło na Ave Maria. „Księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.“ Pałac dożów, wieża św. Marka gorzały złotym i krwawym płomieniem, i podczas kiedy Anioł Pański z nieba zstępował, pokój ludziom zwiastując, naprzeciwko St. Maria Salute dzwoniła srebrną sygnaturką: „Otom ja służebnica Pana“....

Zd. Cz.





List XVI.

Bolonia, 20 kwietnia 1895.

Pisałem Ci w zeszłych listach o morzu i kościołach, o pałacach i karczochach, na oliwie smażonych, a nie wspomniałem Ci o tem, co jest duszą Wenecyi, o największym jęj czarze i właściwości, to jest o muzyce tutejszj. Nie myśl, abym się chciał wdawać w krytykę nadzwyczajnej muzyki kościelnej, którą się u św. Marka i w innych świątyniach słyzy, albo koncertów w teatrach, w których w życiu mojem nie byłem. Poprostu chcę Ci pisać o zwykłej muzyczce, którą się słyzy rano, wieczór, we dnie, w nocy, na rogu każdej uliczki, pod balkonem każdego pałacu.

Pod mem oknem była stacya gondolierów, więc nieraz rano przebudzony bywałem serenada, przez nich śpiewaną. Zbierali się w kilku,

siadali na mostku, lub stawali na stopniach do morza prowadzących i po chwili rozpoczynał się koncert z nieuniknioną *Santa Lucia* i wiecznem *Funiculi Funicula*.

W ciągu dnia płynąc po Canal grande, wciąż się słyszało dochodzące z dala lub z bliska tony mandoliny i przytem piękny nieraz głos męski lub kobiecy. Niegdyś, niedawnemi jeszcze czasy, śpiewali gondolierzy ustępy z Tassa lub Ariosta, dziś się to rzadko słyszy, za to arye z różnych oper lub ludowe pieśni włoskie.

Kiedyś płynąc nocą po morzu, spytałem gondoliera, który zmęczony wiosłowaniem na ławeczce siedział, czy umie śpiewać? Na okół był taki spokój, że tylko uderzanie fali o gondolę słyhać było. „*Si signore*“, odpowiedział i pełnym dźwięcznym głosem zaczął arya z „*Marty*“ śpiewać; gdy skończył pierwszą zwrotkę, gdzieś, het daleko na morzu, drugi gondolier mu odpowiedział i płynął duet wśród ciszy nocnej, śpiewany przez tych dwóch ludzi nie widzących i nie znających się może, ale kochających księżyc, morze i muzykę, i będących synami tego kraju wiecznej wiosny i niczem nie zamaconego aryzmu.

Ale największym mym przyjacielem był *Giagelmo*.

Gdy wieczór nadszedł i całe niebios sklepienie miliardem migocących gwiazd się zapalało, wypływała koło piacetty wielka łódź, barwnymi lampionami oświetlona, a na tylniej jej części, na wywyższeniu, stał człowiek, fantastycznie w czarny płaszcz, jak w togę udrapowany i do „*fliegende Holländer*“ podobny. To był Giagelmo.

Za łodzią płynęły w milczeniu gondole.

Robiło to wrażenie jakiegoś tajemniczego pogrzebu; od czasu do czasu tylko wiosło silniej o wodę uderzyło, lub powiew wiatru powiał czarną falą i snopem iskier ją o pierś gondoli rozprysnął.

Czasami błysnęło blade światelko z maleńkiej lampeczki na przodzie przyczepionej, lub promień księżyca zagrał na stalowym dziobie gondoli.

Zresztą cisza i ciemność, tylko zdala widna postać Giagelma i, jak senne stado czarnych łabędzi, płynące za nim gondole.

Już minęliśmy *palazzo Reale i Giustiniani*, już dojeżdżamy pod Salute, gdy wtem szmer jakiś cichy słyszeć się daje. Skrzypce się rozplakaly, harfa zadzwoniła, jakoby przelatujące, Anioły skrzydłami gwiazd promieni dotknęły i Giagelmo począł śpiewać. To „*xorrei mori*“ Tostiego. Potem ciche przeciągle „brava“

i znowu akorda mandoliny. To „*stella confidente!*“ I tak dalej następowały: „*La musica proibita,*“ „*il sogno,*“ „*adio bella Napoli,*“ „*Cavalleria*“ i tysiące innych coraz to ładniejszych, a zawsze rzewnych i tęsknych pieśni włoskich.

Gdy tenor nasz odpoczywał, odzywały się z łodzi wesole dźwięki ludowych tańców, Tarentelli lub marsze Bersagliarów. A pomyśl że boskiego tego koncertu nie słuchało się siedząc na ciasnym i niewygodnym „fauteuil d'orchestre“, z widokiem na płócienne i papierowe kulisy, ale leżąc wyciągniętym w gondoli, z oczami bezmyślnie wpatrzonemi w gwiazdy.

Tymczasem mineliśmy Salute, mineliśmy hotele i palace, i raptem zdawało się, że chmura jakaś czarna nad nami zawisła. To *ponte Rialto!*

Powoli oko się przyzwyczaiło, i dostrzegłem ów śmiało i fantastycznie przerzucony łuk marmurowy, pod którym wszystkie gondole pomieścić się muszą, gdyż pod mostem echo najpiękniejsze i wrażenie potężniejsze.

Znowu parę akordów i Giagelmo rozpuszcza swój głos aksamitny, rozbrzmiewający jak dzwon katedralny pod mostu sklepieniem.

Skończył — i cały most zdaje się drgać pod entuzyastycznemi oklaskami zebranego w górze tłumu. To chłopci, robotnicy, z pracy dziennéj powracający, ale oni także śpiew lubią

a Giagelma znają, bo on ich bratem i także zwykłym robotnikiem. Dla nich więc jeszcze coś zaśpiewać trzeba. Najlepiej „Santa Lucia,“ tę pocziwą włoską piosenkę, którą ich dziadowie nucili i ich wnuki śpiewać będą.

Potem sygnał dano do odwrotu i znowu między girlandą w marmurowe koronki strojnych pałacy, ku szerokiemu morzu wracamy. Czarne łabędzie uderzają w skrzydła swych wiosel, by jak najbliżej Giagelma móżdź płynąć, gdy wtem, co się dzieje? Oto noc zdaje się pierzchać, a w wiecznie wdowie szaty przybrana „kochanka dożów“ otula się w jakiś strojny, niebieski, w złote palmy szyty płaszcz królewski.

Czy to złudzenie, czy sen jaki? Nie, to poprostu księżyc wypłynął z nad Salute na wielkie niebios sklepienie i opromienił pałace, ozłocił strugami pasów złotolitych modrą morza płaszczyznę.

Z tysiąca piersi wyrywa się westchnienie jakiegoś szczęścia niezrozumiałego i człowiek wpada w rodzaj letargu rozkosznego złotych marzeń, dusza anielskich skrzydeł dostaje, a z daleka, jak przez sen, dochodzi srebrny i tęschny głos Giagelma śpiewającego o „*Astro d'amore*“!...

— Czas uciekać z Wenecyi, bo to czara upajająca, ale jadem zatruta. Nie nam synom

Północy, ziemi mogił i krzyżów, owa rozkosz niebiańska. Nam marzyć nie wolno, więc lepiej marzenia przerwać, a chociaż „jak król potrafię się ubrać w purpurę wieczorów, w księżycowe nocy i błękity pian mórz włoskich, coś mi pod temi szaty serce wyjada.“

Podczas, gdy tu wieczna wiosna, wieczna miłość i harmonia, kraj miodem i mlekiem płynący — u nas Walenroda morowa dziewica kraj smutku i żałoby przebiega i skrwawioną swą chustą powiewa.

Jak gorzka ironia brzmiały mi w uszach i sercu wiadomości, tego rana z Ojczyzny otrzymane. Nie dosyć, że Bóg nas chłosta swym biczem zasłużonęj kary, ale my, którzy Matkę kochamy i cierniową koronę z jęj skroni zedrzyć chcemy — nie wahamy się tych kolców i cierni w serca współbraci zatapiać!

Bądź zdrowa czarowna Wenecyo! „*Morituri Te salutant!*“

Zd. Cz.





List XVII.

B o l o n i a, 21 kwietnia 1895.

Wczoraj rano opuściłem Wenecyą.

Na dworcu zgrabnie unikałem dwóch Polaczków ze Lwowa, a wpadłem en plein w rodzinę prezesa policyi z X.... Szlachetny ten obrońca obyczajów opowiadał mi z wrodzonym jego rasie taktem o pysznych meblach staroświeckich, które mu się udało kupić za psie pieniądze „*in einem polnischen Schloss der Provinz Posen!*“ Habeat sibi!

Ostatnie wejście na tonącą w oddali Campanillę św. Marka, jeszcze trochę fal błękitnych na lagunach, i Wenecya zniknęła mi z oczu.

Pędząc szybkim pociągiem (niektórzy twierdzą, że szybkich pociągów w Włoszech nie ma) przelecieliśmy przez Padwę i wjechaliśmy w bujną okolicę Ferrary. Droga śliczna; góry

i pagórki pokryte oliwnymi lasami, a na szczytach stare zamki, już to w ruinach, już też zamieszkałe. *Castel Cutajo*, własność austriackiego następcy tronu, *Butaglia*, *Monselice* i *Este*, ze zwałiskami starego zameczyska, z którego wiele orłów na świat wybijało: księżęta Ferrary, Modeny, Brunświku, królowie Angielscy i Hanoweru. Wreszcie ciekawa, niestety, tylko z daleka widziana Ferrara, szczycająca się pamiątkami dwóch jej dawnych mieszkańców: Ariosta i Torquata Tassa. Dalej różne małe miejscowości, jak *Caso-Tassone*, *San Pietro in Casale* i *Bolonia*.

Z przejazdu z dworca do hotelu odniosłem tylko dwa ważne wrażenia. Pierwsze, że jest zadziwiająca ilość gołibrodów, a drugie, że mieszkańcy Bolonii nigdy parasoli używać nie potrzebują. Po obu stronach bowiem każdej niemal ulicy są chodniki pod sklepieniem, chroniącem od deszczu i błota.

Naprzeciwko hotelu, do którego zajechałem, wznosi się ogromny pałac *Zucchi*. Rodzina ta, jak wiele włoskich, zmarniała i temu dwa lata pałac ich sprzedanym został. Hotelista naprzeciw mieszkający go kupił, a ja mieszkałem w pysznym sklepionym salonie, do którego się najprzód olbrzymią bramą, potem olbrzymim podwórzem i nakoniec olbrzymimi schodami

dochodziło. Wszystko to razem było przepowiednią także olbrzymiego rachunku.

Bolonii otoczenie jest śliczne, gdyż leży w dolinie rozdzielającej dwa pasma gór, Padozańskich Alp i Apenin; sama zaś dolina nasiana jest pagórkami, ogrodami i lasami.

Z powodu wielkiej urodzajności ziemi, bogatych plonów z winnic, dostarczających doskonałych win i innych owoców, ma Bolonia przydomek „*la Grassa*“. Mimo tego miasto jest smutne i przeżyte. Wygląda jak stara matrona, która póki była młodą, przystrojona się w kosztowności i w drogie szaty, a zestarawszy się nie wie, co z niemi począć i czuje, że do jej wdzięków już się nie stosują. Pałac, w którym zmęczone me członki złożyłem, jest poniekąd obrazem całej Boloni. Wielkie puste domy z bramami tak ogromnemi, jakby nie powóz, ale jakiś koń Trojański miał w nie wjeżdżać. Ulice po większej części również puste, z wyjątkiem kilku głównych; kościoły wprawdzie liczne i piękne, ale zanadto się ma w pamięci świątynie weneckie i zanadto się myśli o tych, które się niebawem we Florencyi zobaczy. Największym i najważniejszym jest *St. Petronio*, która to bazylika miała być swego czasu równie wielką jak św. Piotr w Rzymie i składać się z kilku razem połączonych

kościół. Niestety, przyszły wojny, zabrakło pieniędzy i ochoty, i ograniczono się na wybudowaniu czegoś nieskończonego pod względem stylu i formy. Mimo tego długość kościoła wynosi 117 metrów i tyleż prawie szerokość. W środku nie podpadły mi specjalnie żadne obrazy, prócz *Francci*, którego płóciem dużo się w Bolonii spotyka.

W jednej z kaplic jest pomnik siostry Napoleona I, księżnej Bacciocchi, jej męża i kilkorga dzieci. W St. Petronio był też koronowanym na cesarza Karol V przez Klemensa VII.

Z całego tego olbrzymiego kościoła najwięcej mi się podobały rzeźby, zdobiące główne drzwi wchodowe, dłuta *Jakóba della Quercia*, a przedstawiające Adama i Ewę.

Ciekawszym i sympatyczniejszym jest kościół św. Dominika z grobem tegoż świętego. Kaplica, w której stoi sarkofag z białego marmuru w XIII wieku stworzony, przepelniona jest rzeźbami i obrazami, przedstawiającymi sceny z życia wielkiego świętego; dużo z nich pędzła *Guido Reniego* i *Carraci*.

Koło ołtarza są dwa klęczące aniolki, trzymające kandelabry; będący po lewej stronie jest po prostu uroczy i wyglądający jak owe angielskie „baby“ z naiwną pełną loków głową

i wiele za długą koszulą. Ojcem tego malca jest Michał Anioł.

Pomijam różne mniej ciekawe kościoły a wspomnę paru słowami o *St. Stefano*, składającym się z siedmiu razem połączonych kościołów, które, nie będąc na tej samej płaszczyźnie, łączą się trochę karkołomnymi schodami. Jeden z tych kościołów, zbudowany na miejscu dawnej świątyni Izisa, posiada kolumny z pogańskich czasów i grób *św. Petroniusza*; w drugim są relikwie *św. Witala*, w innym *św. Agrikoli*, do którego się modliłem, żeby ceny na zboże były lepsze.

W kościółku zwanym *l'Atrio di Pilato*, najmniejszym z owych siedmiu, jest ukrzyżowanie Francii. Wreszcie, wartym widzenia jest *St. Giacomo Maggiore* z 13 wieku. Tu oprócz kilku cennych obrazów Ludwika *Carracci*, *Laurentti'ego* i portyku z 15 wieku, jest ciekawa bardzo kaplica rodziny *Bentivoglio*, pochodzącej z Bolonii, a która w historyi świata nieposlednią grała rolę, nie tylko na polach bitew, ale głównie w dyplomacyi i literaturze. Znaczenie ich było tak wielkie, że zagrażało panowaniu papieży.

Przypominam sobie z dawnych mych podróży pewien portret kardynała *Bentivoglio* z końca XVI wieku. Był to ten sam kardynał,

który ciesząc się zaufaniem papieży Klemensa VIII, Pawła V i Urbana VIII, wysłanym został jako nuncyusz do Francyi, a pozyskawszy wysokie względy Ludwika XIII, jako ambasador francuski do Rzymu powrócił. Umarł w chwili, w której miał objąć tron papieski, zostawiając liczne prace literackie, dyplomatyczne i historyczne.

Kaplica ich odznacza się posadzką emaliowaną, arcydziełem Francii, przedstawiającem Matkę Boską z aniołami i św. Sebastyanem po jednej, a fundatorem po drugiej stronie i grobowcami dwóch potomków rodziny Bentivoglio, z których jeden jest dluta Jakóba della Guercia.

Koło kościoła jest oratoryum św. Cecylii z ślicznemi freskami, przedstawiającemi sceny z życia św. Cecylii i całe męczeństwo św. Waleryana.

Tyle o kościołach. Żałuję, że czas mi nie pozwolił zwiedzić uniwersytetu bolońskiego, który pewno jest najstarszym uniwersytetem włoskim, a w którego otwartej bibliotece nadzwyczaj ciekawe są manuskrypta, między innemi zbiór listów Voltaire'a do Fryderyka II. Temu 50 mniej więcej lat był tam bibliotekarzem Mezzofanti, który, jak wiadomo, czterdziestu dwoma językami władał.

Wlóczęc się przed wieczorem po mieście, miałem sposobność przypatrzenia się dwom wieżom krzywym, zwanym: *la torre Anisselli i Garisenda*, których nie podobno nie zobaczyć, najprzód dla ich wysokości, a powtóre dla tego, że 5 głównych ulic pod ich stopami się krzyżuje. Otóż mimo wszelkich wysiłków podziwiania owych arcydzieł 12 wieku, nie mogę inaczéj się wyrazić, jak że są szkaradne.

Największy ruch gromadzi się na placu Wiktora Emanuela, na którego środku wznosi się okazała fontanna z Neptunem *Jana z Bolonii* i dwa pałace: jeden tak zwany *Palazzo Publico*, dawniej *Apostolico*, ze statuą św. Petroniusza, drugi pałac Podesty z 13 wieku, w którym się mieści bogate archiwum miejskie.

Zd. Cz.





List XVIII.

B o l o n i a, 21 kwietnia 1895.

Dziś całe rano spędziłem w galeryi obrazów, czyli według tutejszłej nazwy w pinakotece. Przyznaję się, że miałem dosyć niejasne wiadomości, co do jej zawartości, to też doznałem wiele miłych niespodzianek.

Głównymi założycielami szkoły Bolońskiej, a w pinakotece najwięcej reprezentowanymi byli trzej *Caracci*, Ludwik i dwaj synowcowie jego, Augustyn i Hanibal. Jako twórcy szkoły eklektycznej zapatrywali się bezstronnie na arcydzieła poprzedników, biorąc z nich co najlepszego. Szukali czystości Rafaela, znajomości Michała Anioła, wesołości Correggia, bogactwa i kolorytu Veronesa i innych Wenecyan. W ich szkole wyrobili się tacy ludzie jak *Dominichino*, *Guercino*, *Guido Reni* i *Albano*. Wszyscy oni razem tworzyli jakoby lunę zachodzącego

słońca szesnastego wieku, który w ich areydziałach zajaśniał i skonał. Dzisiejsi malarze łamią sobie głowy nad wynalezieniem tematu do obrazu, któryby jeszcze nie był zanadto użytym i mógł nerwy dziewiętnastego wieku podrażnić. Pobojowiska, operacye w szpitalach, sceny boudoirowe i zakulisowe, małżeństwa wskakujące do wody i trupy obgryzane przez niedźwiedzi.

Najnieestetyczniejszy i najniesmaczniejszy temat znajdzie swego admiratora.

W średniowiecznych czasach malowali artyści głównie obrazy religijne, ale i w tym, zdawaćby się mogło, jednostronnym kierunku, widać najróżniejsze odcienia pobożności. Od fantastycznych przedstawień historii kościelnej, mogących ludzi do nowej krucjaty zapalić, do dewocyjnych, jakby w ekstazie malowanych, scen niebieskich, mogących i najwybredniejszą bigotkę uszczęśliwić. Obrazy malowane jakby dla reklamy pobożności i takie, w których się przebija głęboka dziecięca wiara i geniusz, natelniony duchem Bożym.

Matka Boska Różańcowa Dominichina robi wrażenie takiej reklamy, na jarmarcznych muzeach nieraz się znajdującj. Bo czego tam nie ma. Rycerze mordujący niewiasty, biskupi, pustelnicy, aniołowie płaczący i śmiejący się,

narzędzia męki Pańskiej, święci najróżniejsi, wreszcie Matka Boska wśród deszczu kwiatów i różańców i nad tem wszystkim śliczny małeńki Pan Jezus z różczką w ręku. Jest to może trochę teatralne, ale z jaką wiarą a przytem znajomością natury ludzkiej malowane!

Dziwnie spokojnym i tak zupełnie inaczej pobożnym jest Guido Reni. W jego obrazach przebija majestat i cierpienie. Jego Madonny pod krzyżem boleją, jego Magdaleny szlochają, jego Chrystus, choć jest Bogiem, kona jak człowiek, jego krajobraz jest potężny grozą i żalobą.

Był on również uczniem szkoły Caraccich, ale nie tak skromnym jak Guercino, nie takim lirycznym jak Albano, lecz wielkim panem, lubiącym imponować, otaczać się popularnością, i szacunkiem wielkich i małych. To też psuty był przez świat cały, przez Pawła V-go, i jego kardynałów, którzy się szczycili, gdy u ich stołu jadał, przez kardynała Sachetti, który mu mydło trzymał, gdy się golił...

Jego obrazy, wiszące w pinakotece, są z najszczęśliwszej epoki jego malarstwa, bo postacie, które przedstawia, mają krew i ciało i koloryt daleko bujniejszy i żywszy od tego, który się w jego arcydziełach rzymskich i florenckich widuje.

Ale kto patrzy na gwiazdy, gdy księżyc świeci! Czem są wszystkie arcydzieła bolońskie wobec tego jednego największego, najcudniejszego, a które raz widziane już nigdy zapomnianem być nie może, wobec św. Cecylii Rafaela! Opisać jej trudno. Rafael ją malował, ale Bóg jego ręką kierował, dla tego słowa są martwe wobec tego nadziemskiego zjawiska. Przytem św. Cecylia nie jest żadną idealną, eteryczną postacią, lecz typem ładnej, zdrowej dziewczyny, która bez żadnej pretensyi, bez sztuki, z pewną dziecięcą naiwnością słucha śpiewu unoszących się nad nią Aniołów. Przed chwilą jeszcze grała, u nóg jej leżały instrumenta muzyczne, i w rękę trzyma organki; ale na pierwszy dźwięk anielskiego śpiewu opanowała ją widocznie jakaś czysto *fizyczna* niemoc.

Bezsilnie opuściła ręce, a z organków fujarki wypadają. Jest oderwaną od wszystkiego, co ją otacza; na twarzy widać odczuwanie rozkoszy, której się poddaje, podczas gdy reszta świata dla niej nie istnieje. Gdy się koncert niebiański skończy, obudzi się z tego upojenia, pozbiera pogubione fujarki i będzie znowu innym podobną dziewczyną; ale dziewczyną nieświadomą jeszcze złego.

Cztery postacie, otaczające św. Cecylią, są do siebie niepodobne. Nie wie się, czy one

także słyszą, czy też tylko czekają, nie chcąc extazy świętej Cecylii przerywać.

Myślę, że św. Paweł nie nie słyszy, taki zagłębiany w jakiejś smutnej zadumie, a św. Magdalena, jakby trochę pozowała i wiedziała, że jest tak klasycznie piękną. Dla tego myślę, że nie słyszy, bo wiem, że kobieta, która podczas koncertu na kogoś patrzy, albo o sobie myśli, nie może słuchać i rozumieć!

Po św. Cecylii nie już się prawdziwie podobać nie może, gdyż w wszystkich obok wiszących obrazach widzi się sztukę i pewne szukanie efektu. Zbyt śmiało me zdanie wypowiadam, ale nie możesz się mnie, profanowi, dziwić, jeżeli na Francję widok ten tak oddziałal, iż podobno z zazdrości umarł!

Przypatrywanie się i rozkoszowanie nad arcydziełem Rafaela tyle mi czasu zabrało, że już tylko pobieżnie mogłem obejrzeć dzieła jego mistrza *Perugina*.

Co do ostatniego myślę, że mało czyje życie dało tyle powodu do biografii najróżniejszych i najbardziej odmiennych i nie podobnych do siebie. Jest to rzeczą naturalną, że życiorysy wielkich ludzi stają się dopiero od tej chwili wiarogodnymi, z którą się ich sława po świecie rozchodzić poczyna, to też o urodzeniu, dzieciństwie, a nawet pierwszych mis-

trzech Perugina wiadomości są dosyć niepewne, a *Vasari*, któremu się najwięcej szczegółów z życia ówczesnych malarzy zawdzięcza, zdaje się jakąś niechęcią czy zazdrością ku niemu pałać.

Tyle pewnego, że rozpoczął on wśród wielkiej nędzy, z której dopiero po wielu latach pracy się wydostał, gdy go papież Syxtus IV do malowania swęj kaplicy zawezwał. Jak wiadomo, freski te, z wyjątkiem jednego, ustąpiły później miejsca Sądowni ostatecznemu Michała Anioła.

Jego umysł mistyczny i egzaltowany pchał go do malowania obrazów religijnych, w których się przebija nie tylko głęboka wiara, ale i bezbrzeżna miłość do wszystkiego, co Boskie i święte. Jego Aniołowie zwłaszcza są tacy nadziejscy i tacy piękni, że chyba Fra Angelico mu sprostać potrafił. Był on duszą i sercem oddany Savanaroli, którego zgon tragiczny oddziałal silnie na całe jego usposobienie i kierunek artystyczny. Od tej pory nastąpiła pewna dekadencya, dająca się odczuć w licznych dziełach, które do późnego wieku życia tworzył. Ogień święty, który go dawniej do wielkich czynów rozpałał, z śmiercią Savanaroli zwolna zaczął gasnąć.

Spostrzegam, że list, który piszę, jest „wyjątkowo“ nudnym, gdyż wątpię, aby Cię moje

rozmyślenia artystyczne zbyt zajmowały. Stare tutejsze przysłowie mówi: „*Balonia docet*,“ może więc atmosfera tego miasta na mnie tak działa, że innych pouczać pragnę o rzeczach, o których sam mało mam pojęcia.

Aby Cię „rozweselić,“ wspomnę Ci o cmentarzu bolońskim, na który się po południu wybrałem!

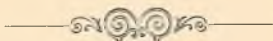
Była to niedziela pierwsza po Wielkiejnocy, dzień, który Bolończycy zwykli umarłym poświęcać, to też po drodze spotykałem tysiące ludzi spieszących na Campo santo, czyli jak tu nazywają *Certosa*, dźwigających wieńce, korony olbrzymiej wielkości, obrazy i portrety zmarłych, które na grobach, wśród zapalonych świec ustawiają. W koło muru cmentarnego setki żebraków i kalek, w fantastyczne czerwone lachmany ubranych. Dużo z nich więcejby zarobiło w jakim patologicznym muzeum lub Castana panopticum, takie szczególne rodzaje kalectw i wybryków anatomicznych przedstawiali.

Sam cmentarz jest tak ogromnym, iż wiele godzin potrzeba na jego zwiedzenie; składa się z kilku części, otoczonych szerokimi arkadami, pod którymi wspaniale marmurowe grobowce się kryją. Widziałem i polskie nagrobki.

Naprzeciwko Certosy wznosi się dosyć wy-

soka góra, cyprysami porosła, na którą się krytym krużgankiem wchodzi. Na szczycie wielki kościół, *Madonna di St. Luca* nazwany, z powodu obrazu Matki Boskiej z Konstantynopola w jedenastym wieku przyniesionego. Na górze téj nie byłem, choć widok z niej podobno rozległy na Apeniny i Adryatyk. Godzina wyjazdu się zbliżała, a przytem mimo wszystkich piękności natury i dzieł sztuki głód mi dokuczał porządny, zaspokoilem go w restauracyi mego hotelu, na marmurowej terasie wśród mnóstwa drzew pamaraniczowych okrytych owocami.

Zd. Cz.





List XIX.

Floren c y a, 22 kwietnia 1895.

Gdyby nie czterdzieści sześć tuneli, przez które trzeba z krzywdą dla oczu i nosa przejeżdżać, byłaby droga z Bolonii do Florencyi jedną z najpiękniejszych w świecie.

Podczas gdy nad koleją malowniczo w ciągłych skrętach i kaskadach wije się *Reno*, z dala ukazują się zielone szczyty Apeninów, pokryte lasami cyprysów i cedrów, wśród których ciekawie wyglądają różne małe miasteczka i wioski. Najprzód *Marzabotto* nad rzeką *Reno*, która podziemnym wodociągiem, przez Augusta zbudowanym, dostarczała wody dla Bolonii, *Poretta* z kąpielami siarczanemi i *Pracchia*. Zaraz za tem miasteczkiem poczyna się pociąg drapać w górę i dojeżdża do najwyższego punktu kolei żelaznej. Jest tam miejsce jedno, pa-

miętne mi z dawnych czasów, gdzie po wyjechaniu z bardzo długiego, bo przeszło 3000 metrów tunelu, otwiera się widok raptem na całą Toscanę, która jak perski dywan kolorowy u stóp góry się rozłożyła. Żadne opisy nie są zdolne wyrazić malowniczości i piękności tego widoku.

Myślę, że podobnie wyglądać musiała ziemia obiecana, gdy ją Pan Bóg Mojżeszowi z wysokości góry pokazał.

Ale krótko tylko trwa ta rozkosz, bo nowe tuncle nadchodzą, a pociąg poczyna gwałtownie na dół zjeżdżać do *Pistoji*. Z dała tylko dostrzegłem wieżę katedry, która jak słyszałem, nieszczególnie zrestaurowaną w niedawnym czasie została, i liczne fabryki broni do dziś dnia kwitnące. Przy téj sposobności dowiedziałem się, że *Pistoja* jest matką pierwszego tu wynalezionego pistoletu.

Przed samą Florencyą, jakby jój przedmieściem, jest śliczne *Prato*, które było pracownią najpierwszych artystów, jak *Donatella*, *Lucca della Robia*, *Ghirlandaja* i innych.

W nadzwyczaj ciekawej katedrze z XII wieku przez *Jana Pisano* budowanej, z freskami *Filipa Lippi* i *Agnolo Gaddi*, przechowują pasek, który należał do Matki Boskiej.

Upał dzienny ustawał i całe *Prato* wyległo

między ogrody, miasto otaczające, a będące zupełnym rajem bzów i róż kwitnących.

Parę minut później wjechaliśmy do Florencey.

* * *

Florenceya miasto kwiatów, serce Włoch i jak starzy pisali „*córka Romy*”; tylko, że matka ma włosy śronem starości osrebrzone i już za życia do świętych policzoną, a córka zawsze młoda, pozostała piękną, zalotną i w kształtach swych pogańską.

Jeżeli Wencyea marzy, Rzym myśli, Bolo-
nia uczy, Neapol kocha, to Florenceya, świadoma
swych wdzięków, śmieje się i kokietuje, a „*serce
Włoch*” szybkim bije tętnem.

Do Wencyei trzeba jeździć, gdy miesiąc
świeci, do Rzymu, gdy papież celebryje, a do
Florencey, gdy bzy i róże kwitną; to też przy-
jechawszy dziś, w połowie kwietnia, znalazłem
ją wystrojoną i w weselne kwiatów szaty ubraną.

Daly mi się te kwiaty we znaki! Stana-
łem w znanym mi Hotel d'Italie i dostałem,
ku wielkiej mej radości, pokój na parterze
z oknami na *Lungarno*.

Słońce właśnie zachodziło za cyprysami
i bzami porosłe wzgórze, naprzeciwko mych
okien widne, i długi szereg świetnych ekwipaży
powracał z codziennego Corso do Caschin.

Niestety, gdy wieczorem spać się położyłem, musiałem przez dwie godziny słuchać przeraźliwego wrzasku młodego sprzedawcza kwiatów, krzyczącego bezustannie! „*Mughetti, fiocci, Mughetti, fiocci!*“ Gdy koło 5 rano ten sam koncert się rozpoczął i spać mi przeszkadzał, wpadłem na szczęśliwą myśl odkupienia mu wszystkich kwiatów, byle sobie poszedł. Uszczęśliwiony chłopak podziękował i znikł. Jakież było moje przerażenie, gdy kwandrans później usłyszałem go wrzeszczącego w me okno: *Signore! Signore, mughetti, fiocci!*

On mnie wziął za takiego lubownika kwiatów, że już wcale okna mego nie opuszcza i co chwilę inne okazy flory przynosi.

Tak, jak w Wenecyi, tak i tu postanowiłem sobie tylko niektóre ważniejsze rzeczy zwiedzić, ilekroć mi fantazyja do tego przyjdzie, a resztę czasu poświęcić próżniaczemu wałęsaniu się po mieście i okolicy.

W Wenecyi myśli się głównie o jej wspaniałej przeszłości i roli, jaką w historii świata odgrywała, tu w Florenceyi towarzyszyli mi w imaginaeyi wielcy ludzie, których ona ojczyzną lub mieszkaniem była i w której *Dante, Michał Anioł, Giotto, Savonarolla, Leonardo da Vinci* i tylu innych, czynami lub sztuką się unieśmiertelnili. Tu są dotychczas widne ich

domy, tu ich pracownie, miejsca, gdzie się rodzili i umierali, nie mówiąc już o arcydziełach, któremi zapelnili całe miasto, wszystkie kościoły, pałace i muzea.

A mimo tego wszystkiego Florencyja nigdy serca mego pozyskać nie umiała, i nie czułem się w niej tak swobodnym, jak w innych miastach włoskich. Jest się oczarowanym jej wdziękami, póki są widne i słońce je ogrzewa; gdy wieczór nadejdzie myśl mimowoli ucieka do Wenecyi, i zmęczonym się jest jej pieścizotami, po których jakiś niesmak pozostaje. Może to w skutek gwałtownego przejścia z ciszy i spokoju weneckiego do hałasu, turkotu i życia wielkomiejskiego, które we Florencyi bije silnem tętnem. Oczywiście mówię tu tylko o zewnętrznej stronie miasta, ulicach, kawiarniach, ogrodach i t. d., bo skoro się przejdzie bramę którejkolwiek galeryi lub muzeum, to się odzuwa taką rozkosz, jak bezwarunkowo w żadnej stolicy świata.

Wędrówki moje rozpocząłem od obejrzenia katedry, której fasada dopiero przed paru laty ukończoną została, a której nie widziałem dawniej.

Pierwsze uczucie, jakie się ma na widok katedry, jest chęć przewrócenia kilkunastu domów obok stojących, aby móż ją całą od razu okiem objąć; jest to zresztą uczucie, którego się

w niejednem starem mieście doznaje na widok kościołów zanadto ściśniętych i zamkniętych.

Liczne mile katastrofy, któremi Pan Bóg w ostatnich latach Europę nawiedzał, jak zatapiające się wyspy, palące się teatra, trzęsienia ziemi, głody, powodzie etc., nasunęły myśl ludziom wydawania albumów, w których wielcy ludzie aforyzmami, rysunkami lub poezją się uśmiertelniali, przyczem zauważyłem, że żaden kraj na świecie tylu wielkości nie posiada, co Polska, a zwłaszcza Kraków i Warszawa. (!)

Otóż katedra Florencka jest taką zbiorową księgą, w której cały szereg geniuszów dlutem i pędzlem nieśmiertelnie się zapisał, którą wiek wiekowi przekazywał, a gdy jeden mistrz kończył, już drugi rozpoczynał.

Z imponującą tej litanii wielkich nazwisk wspomnę tu tylko o kilku, jako o głównych twórcach katedry. — Rozpoczął ją uczeń Mikołaja Pisano, nazwiskiem *Arnolfo di Cambio*, w roku 1296, i od razu nadał jej rozmiary imponujące, które dziś podziwiamy. Długość bowiem kościoła wynosi 426 stóp, szerokość 292, a wysokość 371. Miejsca w katedrze jest na 24,000 ludzi.

Drugim mistrzem, który po śmierci wyżej wymienionego budowlą kierował, był *Giotto*, i jemu głównie zawdzięcza się niebotyczną

wieżę, obok stojącą, a składającą się z samych różnokolorowych płyt marmurowych. Po nim nastąpił *Tadeo Gaddi*, dalej *Filippo di Lorenzo* i wielki *Orcagna*. — Chodziło wreszcie o ukoronowanie dzieła wielką, niebywałą dotąd kopułą. Spór o powierzenie tego dzieła trwał długo; sprowadzano architektów z Niemiec, Francyi i Hiszpanii, a gdy żadnego z nich godnym nie znaleziono, oddano prace w ręce *Filipa Brunelleschi*, którego przedtem, gdy się sam ofiarował, za waryata uważano. — On tedy zbudował kopułę, która do dziś dnia w zdumienie cały świat wprowadza, a do której utworzenia nawet rusztowania nie użył. Jest to po św. Piotrze największa kopuła na świecie.

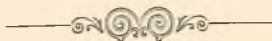
Wnętrze kościoła w pierwszej chwili robi wrażenie pewnej pustki, gdyż liczne arcydzieła sztuki giną w ogromnym obszarze. Ciekawe są bardzo okna, z których tylko część jest przejrzystą, reszta składa się z tak zwanych ślepych okien, ale taki blask z nich bije, iż pojąć nie można, że w nich szyb nie ma. Z rzeźb nagromadzonych pamiętam tylko parę Donatella, Ghibertiego, Giotto i jedną niedokończoną Michała Anioła. Brunelleschi ma również swój grobowiec w wnętrzu katedry.

Nie mogę świątyni téj opuścić, by nie wspomnieć o naprzeciw znajdującem się Batti-

sterium, czyli chrzcielnicę. Podobno stała tu kiedyś świątynia Marsa. O drzwiach brzozych *Ghibertiego* możnaby tom cały napisać, i sądzę, że niejednen napisanym został. Michał Anioł twierdził, że to są drzwi godne królestwo niebieskie otwierać.

Gdy długo przed drzwiami temi stałem, coraz nowe cuda w nich odkrywając, zbliżył się do mnie jakiś pan, pytając mnie, jak mi się rzeźby ich podobają. Na moją entuzyazm wyrażającą odpowiedź oświadczył mi, że jest artystą i Szwecyą zamieszkuje. Od 25 lat co rok przyjeżdża na miesiąc do Florencyi i połowę tego czasu w zachwyceniu przed drzwiami *Ghibertiego* spędza.

Zd. Cz.





List XX.

Florenccya, 23 kwietnia 1895.

Na placu *della Signoria* są wielkie marmurowe schody, prowadzące do pysznej łoży *dei Lanzi*, zbudowanej przez Orcagnę, a przepelnionej pomnikami sławnych Florentczyków.

Na tych schodach wylegają się całe grona żebraków i owych ptaków niebieskich, które Bóg wie, z czego żyją, czem się pokrywają, nigdy nic nie robią, a zawsze wyglądają zadowoleni. Otóż między nimi dziś prawie całe przedpołudnie spędziłem, także nic nie robiąc, tylko patrząc przed siebie i dając folgę myślom i fantazyi.

Usadowiłem się pod jedną z najpiękniejszych łoż, jaką wymarzyć można, a w koło mnie i nademną wznosiły się arcydzieła takie, jak porwanie Sabineek Jana z Bolonii, Perseusz

ucinający głowę Meduzie Benvenuto Cellini, Holofernes z Judytą Donatella etc. etc.

Przedemną wielki plac, będący niegdyś forum, na którem festyny, zabawy i wiece ludowe się odbywały.

Ale jest jedno imię, które na wieki związane zostało z tym placem i przez długie czasy było niejako zaklęciem dla całej Florencyi, a to jest imię *Saranaroli*. Dla iluż pisarzy i historyków była, jest i będzie owa postać zagadką i znakiem zapytania, a równocześnie dowodem, jakiej potęgi jest słowo ludzkie i wymowa, gdyż jak ówczesni krytycy opisują, nie geniuszem, ale siłą wymowy i fanatyzmem poruszył on podwaliny całego świata.

Pierwsze jego przemówienia były nawet lekceważone, tak mało miał głosu i postawy kaznodziici przynależnej. Dopiero gdy parę lat później powtórnie wystąpił, już w zachwyty słuchaczy wprawiał, i *Laurenciusz di Medici*, dowiedziawszy się o jego sławie, do Florencyi go sprowadził. Zaczawszy swe kazania w ogródku szkoły św. Marka, przeniósł się niebawem do katedry, która dla tłumów przybywających pielgrzymów z całych Włoch także się okazała za małą.

Zaprawdę, nie wiedzieć, co więcej u *Saranaroli* podziwiać, czy tę kruszącą i porywającą

wymowę, którą karciał królów i papieży, czy zuchwałą odwagę wobec grożącej fali nieprzyjaciół, chcących jego zguby.

Tymczasowo ziarna, które rozrzucił, plon wydawać poczęły. Synowie pierwszych rodzin włoskich, wyrzekając się świata i jego zepsucia, zapelniali klasztorne cele św. Dominika. Już nie krocie tysięcy ludu zwykłego, ale po każdym orszak najpierwszych artystów i uczonych na mistrza go sobie wybrał i pracował z nim razem nad stworzeniem nowej ery dla sztuki i poezji, opartej na wierze, na zupełnem zerwaniu ze szerczącym się poganizmem, który z kościołów i z pracowni ich wypędzał, ery, która miała się rozpocząć z XVI wiekiem, i to w samej Florencyi, jako najwięcej uposażonej.

Nie zwykłych to miar być musiał człowiek, jeżeli szli za nim tacy ludzie, jak *Jan de Mirandolla*, *Botticelli*, *Lorenzo di Credi* i *Fra Benedetto*, który z nim umierać pragnął i *Fra Bartolomeo*, który po jego śmierci malować więcej nie chciał i w celi zakonnej się zamknął.

Czy owa postać Savanaroli nie nasuwa innej podobnej postaci, która siłą ducha i słowa umiała pociągnąć za sobą takie geniusze, jak Mickiewicza, Słowackiego i innych?

Na placu tym samym, przed którym dziś siedziałem, stała się ta niepojęta scena, którą można szczytem fanatyzmu nazwać, a której zawdzięczamy, że setki najcenniejszych zabytków stały się pastwą płomieni. Oryginalny musiał być widok owej procesyi, niosącej przez miasto obrazy, statuy, maski, stroje, książki, stare pargaminy, kadzidła, zwierciadła, kosztowności, przyrządy do toalety, portrety najpiękniejszych podówczas kobiet, poezye Boccaccia i Petrarki, instrumenta muzyczne, harfy, lutnie, fałszywe warkocze etc. etc. Wszystko to razem ustawione w jedną piramidę, a co najzabawniejsze, na szczycie portret jakiegoś Wenecyanina, który widząc to barbarzyństwo, chciał za 20 tysięcy talarów złotych te wszystkie skarby odkupić. Wśród bicia dzwonów, śpiewania hymnów kościelnych i dzikiego tańca dzieci, za aniołów poprzebieranych, spalono całą piramidę. Entuzjazm był tak wielki, że malarze, jak *Fra Bartolomeo*, sami swe obrazy najcenniejsze na stos ofiarny rzucali.

Niestety, ledwo rok upłynął, a na tym samym placu, w tem samym miejscu drugi stos ustawiono.

Z modlitwą na ustach wstąpił Savanarola na schody; biała jego postać zniknęła w buchających płomieniach, najbliżej stojący usly-

szeli okrzyk: *Giesu! Giesu!* i dusza ta czysta od grzechu, ale fanatyzmem religijnym do obłądu doprowadzona, uleciała przed sąd sprawiedliwego Boga.

Od tej strasznej chwili pomsty upłynęły wieki, i historia niejednokrotnie złożyła na szali wyroku czyny potężnego tego ducha i wagą złota ważyła. Jego życie możnaby na dwie różne części podzielić: jako zakonnika i jako męża stanu. Gdy pod różanem drzewem klasztoru św. Marka, białemi sukniami zakonników otoczony, wielkość Boga głosił, gdy przeciw pogaństwu zwolywał krucyatę, lub w cichój celi klasztornej pod stopami krzyża do Chrystusa wołał, by Florencyi błogosławić raczył, — wtedy był wielkim, boskim i nadziemskim. Ale gdy później, daleko od róży Damasceńskiej, której woń równała się woni kwiatów jego wymowy, schodzi między ludzi i z kapłana staje się trybunem i prawodawcą, — wtedy urok zamienia się w przestrah. Jeszcze go podziwiają, ale nie idą za nim. Tworzy on prawa, które sam później łamie, głosi wielkość Boga, ale Mu się nie poddaje i podnosi bunt przeciw Papieżowi, którym wprawdzie był Aleksander VI.

Były to błędy wielkie, które niewątpliwie płomieniem stosu zmazanemi zostały; to też wkrótce po jego śmierci ukazały się medale,

z pozwoleniem Rzymu bite, na których z aureolą męczeństwa przedstawiony został, a wielki i surowy w sądach Juliusz II nie wahał się Rafaelowi pozwolić postaci Savanaroli między doktorami i teologami kościoła w „*disputa del Sacramento*“ umieścić.

Jak wyżej wspomniałem, postać Savanaroli, do dziś dnia pamiętna, dała wątek do niezliczonych dzieł sztuki w malarstwie, rzeźbie i poezyi. W szkole św. Marka pokazują portret przez Fra Bartolomeo malowany. Z ciekawością wpatrywałem się w tę oryginalną i niezwykłą twarz, w której jednak prócz fanatyzmu w oczach i pewnej zaciętości w ustach nie wyczytać nie umiałem.

Fanatyzm jego był straszny, ale jego wrogów nie równie wielki, gdyż ani szlachetność duszy, świętość życia, ani wzniosłość celów nie mogły ochronić nie tylko jego, ale nawet i trupa, który stał się ofiarą wybryków rozbestwionej tłuszczy.

Chcąc się wyrwać z zadumy, owój krwawej przeszłości, opuściłem plac della Signoria i skinąwszy na fiakra, który już od godziny rozpaczliwą mimiką mnie do tego zapraszał, kazałem się zawieść do Caschin, parku, w którym o Savanaroli się nie myśli, ale za to świat arystokratyczny Florencyi, najpiękniejsze po-

wozy, kobiety, konie i drzewa podziwiać można. Jest to bez wątpienia jeden z najładniejszych ogrodów, jaki widzieć można. Pinie, cedry, cyprysy, lipy, kasztany i laury, podszyte bujną, pełną kwiatów trawą i pnącym się na wszystkie konary bluszczem, mają świeżość zawsze wiosenną, chociaż nocy zimowej i snu zimowego nie zaznały i odpoczynku nie miały. Cała ta rajska wegetacya, przecięta szeroką, arystokratyczną drogą, stuletniami platanami wysadzoną, a na niej setki powozów, gików, breaków i mealkoczów, których właściciele szumnobrzmiące nazwiska podziwiająca publiczność z uszanowaniem powtarza. Niestety, nie widziałem sławnego tu dawniej Amerykanina, pana *Livingstone*, którego przed laty, jeżdżąc po Caschinach konno, spotkałem powożącego z wysokiego breaku, zaprzęzonego w czterdzieści osiem koni gniadych, parami jedne za drugimi.

Po prawej stronie parku płynie Arno, a na samym końcu wznosi się statua jakiegoś księcia indyjskiego, któremu, nie wiem już za jakie przysługi, pomnik postawiono. Otoczony gronem gapiących się Anglików, dziwić się zdaje, co oni w koło niego robią i co on w ogóle tam robi.

Zd. Cz.





List XXI.

Florenca, 24 kwietnia 1895.

Korzystając z chłodnego stosunkowo dnia, postanowiłem wybrać się do *Fiesole*, najpiękniejszej wycieczki w okolicach Florencyi, a po drodze zwiedzić kościół i słynny klasztor św. Marka.

W pierwszym, zbudowanym w końcu XIII wieku chciałem przede wszystkim zobaczyć nagrobki dwóch wielkich ludzi, którzy także Savanaroli byli admiratorami: *Pico de la Mirandola* i *Angelo Politiano*. W kościele tym są rzeźby *Jana z Bolonii* i *Giotta*, oraz freski *Passignana* i *Fra Bartolomea*.

Dzisiejszy budynek, mieszczący klasztor i szkołę św. Marka, zbudowanym był przez *Michelozzego* na rozkaz przeora Dominikanów, *Antoniusa*, który uważany podówczas za najwięk-

szego świętego, sprowadzony został z Fiesole przez *Cosimo Medici* z poleceniem założenia klasztoru.

W roku 1436 zawezwano zakonnika Jana z Fiesole, późniejszego *Fra Angelico*, polecając mu malatury w klasztorze. A był to czas, w którym równocześnie *Brunelleschi* budował kopułę katedralną, *Ghiberti* rzeźbił drzwi do Battisterium, *Masaccio* malował freski w Carmine i w którym *Donatello* i *Lucca della Robia* tworzyli swe arcydzieła.

Trudno nie uledz wzruszeniu, patrząc na obrazy *Fra Angelica*, o którym wiadomo, że w zachwyceniu i extazie malował; z kądby się bowiem brały owe nadziemskie postacie, te przezyste twarze aniołów, promienie złote w powietrzu, schody jaspisowe i ametystowe i szaty dyamentowych blasków. Tylko bardzo czyste dusze, będące blisko Boga, zdolne są do tworzenia podobnych arcydzieł.

Historycy opisują, że ilekroć się zabierał do malowania jakiego obrazu, przedtem padał na kolana i prosił Boga o błogosławienie jego dziełu, a skończywszy, nie śmiał nic poprawić, wiedząc i czując, że Bóg jego ręką kierował. Jego fanatyczna pobożność przebijala się w malowaniu, a jak inni zanoszą gorące wyznania wiary i miłości w słowach i modlitwach, tak

on je zanosil przed tron Boży w obrazach. Przejęcie się jego było tak wielkie, że malując Chrystusa na krzyżu, łzami się zalewał, jakby był obecnym całej męce na Kalwaryi, a postaciom, stojącym pod krzyżem, lub nad grobem Chrystusa, dawał takie wyrazy twarzy, że całą tragedją swego serca i duszy widocznie w nie przelewał.

Jednej rzeczy malować nie umiał, to jest szatanów; miał bowiem naturę zanadto dziewięcią i łagodną, a oczy jego tylko w niebo były utkwione.

Był to ostatni wielki malarz ze szkoły Giotta, chociaż zostawił ucznia, który subtelnością pędzla ogromne arcydzieła zostawił; uczniem tym był *Benozzo Gozzoli*.

Wychodząc z klasztoru św. Marka natrafiłem na mający za chwilę odejść elektryczny tramwaj do Fiesole. Razem ze mną wsiadło kilku chłopów z okolicy Florencyi i typowa, jak z ilustracyi wycięta rodzina Angielska, składająca się z trzech generacyi, o ile po potężnych nosach było można pokrewieństwa się domyśleć. Najprzód stary, mały, ruchliwy i obrosły jak małpa jegomość; drugi gruby i wysoki, u którego nie było widać tylko olbrzymi, czerwony orli nos i rozczesane wielkie faworyty. Wreszcie trzecią generacją reprezentowała młoda miss,

ale niestety z tego gatunku, który wiecznie podróżuje, po hotelach pokutuje i na „*wielkiej stopie*“, ale nie w przenośnym znaczeniu żyje, podczas kiedy ładne Angielki widocznie ojczyzny swęj nie opuszczają.

Wsiadając do tramwaju, zastałem wielką dysputę między rodziną angielską a dwoma konduktorami tramwaju. Chodziło o zapłacenie biletów; pokazano właścicielowi czerwonego nosa drukowaną i na drzwiach przybitą taryfę, według której tyle a tyle się należało. Anglik jednak wyciągnął z zimną krwią opis podróży po Włoszech przez ś. p. Cook'a, który inną sumę wymieniał i przezorny syn Albionu wolal się tej ostatniej trzymać. Niestety, cała rodzina nie umiała ani słowa innym językiem wypowiedzieć jak po angielsku i w tym języku się praw swych domagała.

Po bezowocnych próbach z konduktorami zaczął nosaty jegomość do obecnych chłopów apelować o radę i pomoc, ale oczywiście po angielsku, co taką wesołość w nich wywołało, że za boki się od śmiechu brali, najróżniejszymi włoskimi epitetami panów tych obdarzając. Widząc Anglik, że w ten sposób do końca nie dojdzie, stawia głośno po angielsku pytanie, czy kto z obecnych po francuzku nie mówi, poczem upatrzwszy sobie mnie, to samo po-

wtarza. Na moją potakującą odpowiedź i zapytanie, czego sobie życzy, Anglik milczy, powtarzam me zapytanie, ale z równym skutkiem wtedy zirytowany pytam, czy on w ogóle po francuzku mówi i rozumie? „*Oh nooo..!*“ odpowiada. Wtedy i ja się do ogólnego śmiechu przyłączyłem, co porterową twarz Anglika już nie czerwonym, ale fioletowym rumieńcem pokryło. Nie pamiętam, czy ostatecznie taryfa drukowana, czy też Cook zwyciężył, ale wreszcie ruszyliśmy do Fiesole.

Droga sztucznie zbudowana kręci się i wije ciąglemi zwrotami, coraz to wyżej i wyżej, i po półtorej godzinnéj jeździe jest się we Fiesole. Cóż to za pyszny widok z téj wcale pokaźnéj góry! Cała Florencya ze swą mozaiką willi, ogrodów, kopuł, przedmieść, leży u stóp Fiesole, kąpiąc się w różnobarwnych kwiatach i zieleni. A to wszystko w ramie czarnych cyprysów i pini i na tle błękitnych, śniegiem pokrytych Apeninów.

Patrząc tak z wysoka na ten rozkoszny widok, przypomniałem sobie mimowoli inny także z wysokości widziany, a który niezatartem wspomnieniem w sercu mi się zapisał.

Ze szczytu campanilli św. Marka patrzałem dni temu parę na Wenecyą. Porównując teraz te dwa tak piękne, a tak różne widoki, pomy-

ślałem o herbach obu miast. Lew i lilia czerwona! W herbach tych mieszczą się niejako historia, charakter i obraz Wenecyi i Florencyi. Tam, patrząc na Lido i złote fale, o pałac Dożów się rozpryskujące, czy za dnia „gdy słońce wyrzuca brylantowe strzały, czy nocą, gdy w błękit czoło chowa się miesięczne,“ zawsze i wszędzie widzi się ów element śpiący, a czekający tylko, rychło mu dozwolonem będzie, potrzasać królewską grzywą spienionych fal i pokazać światu swą moc i dumę, nie znającą ani oporu, ani ofiary. Bo Wenecya to miasto zemsty; jęj wieczna żaloba to obrażona duma, jęj świątynie i sarkofagi to wiecznie żywe stróże zgwałconych, a należnych praw, czekający w swych spiżowych i kararyjskich snach chwili, w której lew wenecki zaryknie a fantastyczne pochody i bitwy Veronesa, Tintoretta i Salvatora Rosy rzeczywistością się staną.

A tu? tu w uludnych marzeniach, wśród wieńca, tęczowych barw kwiecica, spoczywa zroszona falami cichego Arna, *lilia!* Ale nie lilia biała, będąca godłem niewinności, berłem świętych pańskich, lecz lilia purpurowa, rumiana, wesola krasą i urodą płomieniejąca....

W samem Fiesole jest kilka ciekawych rzeczy do widzenia. Katedra z początku je-

denastego wieku, o trzech nawach, krypcie i bogatej rzeźbie Lucca della Robia, małe muzeum, głównie z wykopalisk miejscowych się składające, i teatr z rzymskich czasów, którego szczątki dobrze zachowane. Parę kroków dalej są zajmujące ślady termów starożytnych. Zresztą Fiesole jest cichem małym miasteczkiem, o którymby trudno przypuścić, że niegdyś rywalizowało z Florencją. Dzisiaj jedynymi specjalnościami tego uroczego zakątka są: arcybiskup i fabryka wyrobów słomianych, w której zakupiłem parę bardzo niepraktycznych i niewygodnych w podróży przedmiotów.

Obejrzawszy sobie całe Fiesole poszedłem do ogrodu nad wielkim urwiskiem zawieszonym, gdzie upajałem się prześlicznym widokiem i nakarmiłem bardzo lichym obiadem, w towarzystwie dwóch psów i trzech kotów.

Zd. Cz.





List XXII.

Florenca, 25 kwietnia 1895.

Panteonem Florencyi jest St. Croce; kościół z XIII-wieku, wystawiony przez zakonników, którzy chcieli nie za drogo budować, a mieć gmach bardzo wielki. Podjął się tego *Arnolfo del Cambio* i postawił świątynię ogromnych rozmiarów, może trochę pustą na pierwszy rzut oka, ale mieszczącą pomniki godne widzenia, jak Dantego z napisem „*onorate l'altissimo poeta*,” Michała Anioła, Machiavela, Alfierego przez Canovę i inne. Po lewej stronie w ozdobnej kaplicy jest nagrobek, który każdego wzruszeniem napelnić musi...

Wśród tych szumnych, nieraz teatralnych obelisków i sarkofagów, rozrzuconych po świątyniach włoskich, z pewnem zdziwieniem dostrzega się na małym, marmurowym podwyższeniu nizkie łoże, a na niem postać kobiety,

której oczy dopiero co się zamknęły, opartej na zwykłych poduszkach, ubranej w zwykłą chorym koszulę i pokrytą białem prześciera-
dłem, pod którym rysuje się długość śpiącej
czy umarłej — zdaje się, że umarłej, bo
w złożonych dłoniach widać zatknięty maleńki
krzyżyk. W twarzy tej według podpisu „ko-
chającej Boga i Ojczyznę Polki“
widać nadziemski spokój i już otrzymaną na-
grode.

Patrząc na pomnik Zofii Zamoyskiej —
jest się wdzięcznym rzeźbiarzowi, że nie szu-
kał innych efektów, jak wierność i naturalność.
Czy wobec wyżej wymienionych wielkich lu-
dzi, którym posągi tu postawiono — Zofia
Zamoyska godną jest leżenia obok nich? Ona
byłaby może wolą na polskiej spocząć ziemi,
ale godną i największego panteonu była, bo to
najwznioślejszy typ matki Polki, jaki wymarzyć
można.

*Zofia z Czartoryskich Zamoyska była matką
siedmiu synów, dwóch zięciów i siostrą dwóch braci,
którzy wszyscy równocześnie za Ojczyznę walczyli.*

U spodu sarkofagu ciągną się wieńcem herby
jej dzieci i siostry, księżnej Wyrtembergskiej,
a niżej imiona siedmiu synów, których na
powstanie wysłała. Czyż wobec tego można
się dziwić, że wyraz szczęścia z dokonanej

a już nagrodzonéj ofiary na martwych jéj licach spoczał?

Największą ozdobą kościoła St. Croce są freski *Giotta*, jedne z najpiękniejszych, jakie istnieją. Cały indywidualizm mistrza przebija się w nich, zwłaszcza w koronowaniu Matki Boskiej i w dziejach dwóch św. Janów, Ewangelisty i Chrzcziciela, umieszczonych w kaplicy *Peruzzi*.

Jak wybitne stanowisko zajmował Giotto w historii malarstwa, dowodzi ów szereg jego następców, którzy przez 300 lat starali się go naśladować i na jego wzorach się uczyli; to też liczni pisarze ówczesni z największem uznaniem i przejęciem o nim wspominają. Boccaccio nawet twierdził gdzieś, że co natura stworzy, to Giotto do złudzenia odtworzy.

Dante, który wspomina, że berło malarstwa przeszło w *Giotta* ręce, miał niepośledni wpływ na jego talent i utwory, zwłaszcza w życiu Chrystusa, do którego mu myśli poddawał.

W ogóle Chrystus na krzyżu musiał być jego ulubionym przedmiotem, sądząc po ilości, którą malował. Raz nawet siebie samego u stóp krzyża umieścił.

O ile jednak poprzednicy jego uwydatniali w postaci ukrzyżowanego Chrystusa głównie

ból fizyczny przez pewne konwulsyjne wykręcenie ciała, wyraz cierpienia w wykrzywionych ustach, o tyle Giotto starał się uwydatnić Boskość i duchowe cierpienie Tego, który świat umiłował. Również ulubionym przedmiotem Giotta był św. Franciszek z Assyżu, którego w wielu kościołach włoskich malował. Widocznie czuł się pociągniętym ku wzniosłej duszy wielkiego świętego, w którego życiu nie było wielkich zdarzeń i dramatów, tylko cnoty i gorąca pobożność, i tę starał się odtwarzać w postaciach pokornych i palających mistyczną ku Bogu miłością.

Wychodząc z kościoła zatrzymałem się raz jeszcze przed pomnikami Dantego i Michała Anioła i pomyślałem o owym zacnym kulcie i czci, którą Włosi dwa te wielkie imiona otaczają, ale nie tylko Włosi. W wielkiej pieśni pochwalnej, którą świat cały na ich cześć od pięciu przeszło wieków śpiewa, znajduje się cudna melodia, która na dalekiej Północy zagrana, wdzięcznem echem po świecie się rozszła i chlubę polskiemu imieniowi przyniosła. Julian Klaczko w „*Wieczorach florenckich*“ z sobie tylko właściwą subtelnością i elegancją odtworzył dwie te postacie olbrzymie, a rozprawa ta, cytując dosłownie jedną z osób w niej zachodzących, „rozjaśniła Dantęjską

zagadkę, a na Michała Anioła otworzyła nowe i nieznane widoki.“

Jeżeli pomyślę o wszystkich gałęziach sztuk pięknych, jakiebądź są, czy o malarstwie, rzeźbie, muzyce i architekturze, i zapytany będę, kogo najwięcej cenię, najwięcej kocham i kto na mnie największe wrażenie robi, bez wahania odpowiem, że *Michał Anioł*; a skoro mi przyjdzie wybrać dzieło sztuki, to tak samo bez wahania odpowiem, że jego *Dawid*.

Nie wiem już, jak długo siedziałem dziś przed nim, wpatrując się w to pyszne ciało, w tę głowę myślącą, smutną, jakby tragiczną, w tę całą postać nadziemsko piękną, a przytem tak wierną i prawdziwą.

Podobno krytyka, która nikomu nie przepuści i w Dawidzie pewne błędy odkryła, zwłaszcza w rozmiarach statuy, do której bardzo młody chłopak pozował, ale Michał Anioł był mistrzem nieokiełznaną niezem fantazyi, nie krępujący się jakimikolwiek prawami i regułami, nie zdolnymi ujarzmić jego geniuszu. Był on jedynym dla siebie samego prawodawcą i nie był zwolennikiem jakiegokolwiek szkoły.

Na jego losy i wykształcenie wpłynął może najwięcej *Lorenzo di Medici*, który go z pracowni *Ghirlandaja* zabrał i po raz pierwszy posagi greckie pokazał, które takie wrażenie na

młodym artyście zrobiły, że tylko ich naśladownictwo sobie poprzysiągł.

Od téj chwili poczęły się pod dłutem i pędzlem Michała Anioła same arcydzieła rodzić, które wnet zazdrość nietylko dawnego nauczyciela wzbudziły, ale i przyjaciela z lat dziecinnych *Torrigiana*, który, malując z nim razem w kościele del Carmine według wzorów *Masaccia*, tak dalece zazdrością się uniósł, że uderzył Michała Anioła pięścią w twarz i kość mu złamał.

Po śmierci Lorenziego pozostał Michał Anioł wprawdzie wiernym jego synowi Piotrowi, ale widząc w nim wszelki brak artyzmu i wzmagającą się niepopularność, przeniósł się na pewien czas do Bolonii.

Później sprowadzili go do Florencyi zakonnicy z *St. Maria del Fiore* i pokazali mu wielki, półszosta metra wysoki łom marmuru kararyjskiego, który przed stu laty, przez nieudolnego artystę przewieziony, godnego siebie mistrza oczekiwał.

Michał Anioł zamknął się na dwa lata, nikogo nie przyjmował i w ciągu tego krótkiego stosunkowo czasu stworzył wielkiego Dawida.

Komisya, składająca się z najznakomitszych artystów ówczesnych, miała zadecydować, gdzie Dawida ustawić. Początkowo chciano w logii

dei Lanzi, lecz większością głosów wybrano miejsce przed palazzo Vecchio, na placu della Signoria. Obecnie przeniesionym został do Akademii sztuk pięknych.

Z tem wszystkim czem był Michał Anioł? Raczej pytać się trzeba, czem nie był? Poetą, malarzem, architektem i rzeźbiarzem, choć tylko do ostatniego tytułu przyznawać się lubił.

Tak dalece nie chciał się niczem krępować, że o podobieństwo w swych pomnikach nie dbał, stroje ówczesne odrzucał albo zupełnie, albo zamieniał je na starożytny togi i tuniki, którymi tytanicznie swe postacie okrywał.

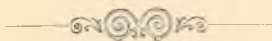
Wszystko u niego było wielkie, nie tylko łomy skalne, które na Dawida lub Mojżesza zamieniał, nie tylko jego gmachy i kopuły, pysznemi freskami się pokrywające, ale nawet złość i milczenie jego były wielkie. Czy może bowiem być coś potężniejszego, jak widok owego Herkulicznego twórcy, milczącego i nie biorącego nawet pędzla do ręki przez 25 lat życia! Po pokryciu sufitu kaplicy Sykstyńskiej freskami najpiękniejszymi w świecie cofnął się Michał Anioł do Florencyi i — zamilkł.

Ćwierć wieku mija, papież i królowie na próżno czekają, i któregoś dnia budzi się arcy-mistrz z letargu, powraca do Rzymu i stwarza coś, czego poprzednie wieki nie znały, nie

przeczuwały, nie ryzykowały nawet. Jak rękawicę rzuca on światu w twarz swój *Sąd Ostateczny*, będący równocześnie sądem ostatecznym całej dotychczasowej sztuki, jej kierunku i tradycji.

W huraganie pochwał, podziwu, krytyki i zadziwienia, milknie na zawsze echo piorunów, rzucanych z kazałnicy Savonaroli!

Zd. Cz.





List XXIII.

Floren cya, 26 kwietnia 1895.

Namyślał się, czy Ci opisać więcej szczegółowo moje wędrówki po galeryach obrazów tutejszych, czy też tylko w krótkości wspomnieć, że w nich byłem. Sądzę, że mi wdzięcznym będziesz, jeżeli się na wspomnieniu ograniczę, zwłaszcza, że sprawozdanie podobne w formie listu jest rzeczą siły me przechodzącą. O galerji *Uffizi*, w której pół dnia spędziłem, tylko tyle powiem, że *Venus Medycejska* jest śliczna, ale mi do serca nie przemawia; za to zachwycałem się *Madonna*, św. Janem i kilku portretami *Rafaela*, *Venus Tycyana*, małemi obrazkami *Fra Angelica* i dziełami *Andrea del Sarto*, ale wyliczać ich nie można, gdyż samemi nazwami parę stron bym zapelnil.

Co do galeryi w palazzo *Pitti*, to żadne miasto nie ma takiego pałacu, żaden pałac takiej galeryi, a żadna galerya takich skarbów. Wybudowawszy gmach bajeczny, nie z cegły, nie z kamienia, ale ze skał całych, można i trzeba go było tylko najpotężniejszymi arcydziełami napęłnić, a jest ich tyle, że w głowie się mięsza i odurzonym się jest, chodząc po wspaniałych salach pałacu. Każda wydaje się najbogatszą; myśli się, że się do największych arcydzieł doszło, a ledwo się próg przestąpi, już nowe skarby się oczom przedstawiają a zawsze ładniejsze i końca im niema. Z kilku Madonn Rafaela najwięcej mi do serca przemawia *Madonna del Granduca*. Wiadomem jest twierdzenie, że Rafael dawał twarzom swych Madonn wyrazy tak nadziemskie, że patrząc na nie, choć tak piękne, żadna zmysłowa myśl człowieka nigdy nie ogarnie. Co do mnie, przyszedłem i do tego przekonania, że w twarzach tych *nigdy jakiegobądź podobieństwa do jakiegobądź żyjącej osoby się nie znajdzie*. W Madonnie del Granduca stworzył Rafael coś tak niewinnego, czystego i świętego, że patrząc na tę niewidzianą twarz, pojmuje się, jak ją Pan Bóg kochać musi i niezego jej odmówić nie może.

Są to wyrazy twarzy typów, naiwnie od natury zapożyczonych, w których nie znać

owego szablonowego naśladowania jakiejś klasycznej, ale bezmyślnej piękności, którą się często obrazy Matki Boskiej odznaczają. Jego Madonny są przeczyste, bezwiednie zgrabne, a takie niewinne i takie śliczne.

Z licznie reprezentowanych tu portretów pędzla Rafaela wspomnę tylko o dwóch, od których oczu i uwagi długo oderwać nie mogłem i zadumany przed nimi stałem.

Juliusz II i Leon X, najwięksi dwaj Papieże, do których kawałek historii świata należy, byli zawsze bohaterami mej fantazyi i bohaterami, nad których życiorysami, nieraz się zachwycałem i zagłębiałem. To też widząc ich, z pewną czcią uroczystą i wzruszeniem się zbliżałem, czując, że mimo wieków upłynionych, żywymi i nieśmiertelnymi pozostali.

Rafaël malując ich portrety, uwydatnił w nich charaktery, choć równie wzniosłe, ale nie podobne do siebie.

Juliusz II, ów Mojżesz i zbawca Papieztwa krwią Borgiów zbryzganego, wygląda tu jak stary hetman siwobrody, dumający o dziełach, które mu Bóg pozwolił dokonać. Chociaż postać jego zgarbiona i zmęczenie się na niej maluje, jednak pod potężnem czołem iskrzą się głęboko wprawione oczy, pełne blasku i takiej wyrazistości, iż pojąć można, co Vasari niegdyś

pisal, że przechodzący ze strachem i drzeniem na obraz ten patrzali.

Pięknym jest Juliusz II na portrecie, ale piękniejszym i wspanialszym być musiał, gdy w złotej zbroi, z orężem w rękę, otoczony gronem kardynałów, konno pola bitwy przejeżdżał, miasta zdobywał i francuskich wasalów z Perugii, Bolonii etc. wypędzał.

Dziwna w nim była miskulancya zalet i gwałtownych porywów, przypominających Michała Anioła, którego kochał, czeił i rozumiał; miewał chwile gniewu jowiszowego, podobne błyskawicom, które niebo rozdzierają, ale po sekundzie giną bez śladu. Był stanowczym w powzięciu najryzykowniejszych planów, ale ostrożnym w ich wykonaniu; odważnym w niebezpieczeństwie, cierpliwym w nieszczęściu i miłosiernym w zwycięstwie. Był człowiekiem nieugiętej woli, olbrzymiej ambicyi, ale posiadającym wszystkie zalety potrzebne monarsze.

Kilka kroków dalej wisi portret Leona X. O ile w pierwszym malarz chciał uwydatnić rycerskość i powagę „*pontifice terribile*“ o tyle w drugim uwydatnił słodycz i dobroć, która była główną charakterystyką największego z papieży. Dobroć, którą zyskiwał królów, ujarzmił nieprzyjaciół, przyciągał artystów i uszczęśliwiał

maluczkich. Julius II panował tak krótko, czasy Alexandra VI były tak nie dawne, że trzeba było całego wszechstronnego geniuszu Leona X, by pozyskać świat chrześcijański, zniechęcony mordami, przekupstwem i upadkiem wszelkiej moralności. Odziedziczywszy po ojcu swym *Lorenzo Magnifico* (ileż by o nim pisać można!) mądrość i zamiłowanie do nauk, do wszelkiego piękna i sztuki, stał się największym jej mecenasem i protektorem, i jemu się zawdzięcza ów najwyższy w dziejach świata rozwój sztuki, jakim się wiek XV odznaczył.

To nie przeszkadza, że był świątobliwym i nabożnym, walecznym żołnierzem, odważnym jeźdźcem, zapalonym myśliwym i mówcą, czarującym słuchaczy, choć mówiono o nim, że gdy przemawia, to tylko aby przebaczać albo błogosławić.

Rafaël przedstawił Leona X siedzącego, między dwoma kardynałami: Juliuszem Medici, późniejszym Klemensem VII i Ludwikiem Rossi. Głowa trochę duża i blada, o wyrazistych i arystokratycznych rysach, zdradza pewną pańskość i dobroć. Ręce, trochę może kobiece, spoczywają na jakimś cennym widac manuskrypcie, których odnajdywanie i studyowanie było największą przyjemnością papieża.

Rafael z widocznym zamięłowaniem odtworzył postać Leona X, który, niestety, parę lat później nad trumną jego płakał.

Co do Juliusza II i Leona X, to jak wyżej wspomniałem, imiona ich nieśmiertelnemi się stały i wiekowi ówczesnemu nazwę dały. Był to zresztą czas, w którym wznosiła się największa na świecie świątynia, mająca być dla późniejszych dziejów i narodów świątynią pokoju i tryumfu wyratowanego chrześcijaństwa niezrównanym cudem świata, świątynią, nad którą pracowali Bramante, Rafael i Michał Anioł, a budowlą kierowali Juliusz II i Leon X.

Pokłoniwszy się przed pięknosciami Tycyana i Giorgiona, resztę czasu poświęciłem rozkoszowaniu się nad ulubionymi moimi malarzami *Fra Bartolomeo* i *Andrea del Sarto*. Jego św. Jan i Dawid Michała Anioła to dwaj przyjaciele, których znam od lat wielu; mam ich kopie na mym stole do pisania i nigdy dosyć napatrzeć i dostatecznie się nimi nacieszyć nie mogę. Będąc w Florencyi, chciałem ich nie tylko odwiedzić, ale podziękować im za tyle chwil pociechy, natchnienia i osłody, które im zawdzięczam, za ich towarzystwo, dzięki któremu samotności nie znam.

Na życie i usposobienie *Fra Bartolomea* miał największy wpływ *Savanarola* i cała jego

młodość obracała się w koło słuchania kaznodziei i ascetycznych ćwiczeń duchowych. Po jego śmierci wstępuje do zakonu i długi czas nie bierze pędzla do ręki, nosząc w sercu żalobę. Później dopiero zapoznaje się z Rafaelem, który go przyjaźnią obdarza, jeździ do Prato i Rzymu, a wreszcie do Wenecyi, gdzie pragnie wielkich malarzy tamtejszej szkoły poznać. A żyli jeszcze stary Bellini i Carpaccio, i Tycyan i Giorgione byli w całym blasku swej aureoli. Patrząc na dzieła Fra Bartolomea i Andrea del Sarto, widzi się pewne pokrewieństwo; wyszli oni z tej samej szkoły nieśmiertelnego Leonarda i ta się w ich obrazach przebija. Ale Andrea del Sarto przewyższył prawie wszystkich, i gdyby Rafaela nie było, byłby może po Leonardzie, i Michale Aniele najpierwszym. Prócz licznych obrazów w Pitti wymalował on szereg fresków w kolumnadzie, znajdującej się przed kościołem św. Anuncyaty. Na jednym z nich uzdrawia św. Filip dziewczynę padającą na ziemię. Ruch owej dziewczyny jest tak wiernie oddany, że się ma ochotę ręce wyciągnąć, by ją od upadnięcia ratować.

W innym obrazie, przedstawiającym przybycie Trzech Króli, widać śliczny krajobraz, pełno ludzi, dzieciaków na mur się wdrapujących, by króli

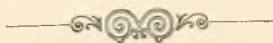
zobaczyć i dziwne jakieś zwierzęta. Królowie są portretami Sansovina, jego samego i nie pamiętam kogo trzeciego.

Każda postać Andrea del Sarto jest piękna, każda twarz szlachetna i sympatyczna. Jego koloryt ma coś pieszczącego oko i uwydatnia się ujmującą harmonią tonów.

Nieszczęściem Andrea del Sarto było małżeństwo jego z kobietą gwałtowną i prózną, która nie tylko zatruwała mu życie, ale była postrachem dla jego uczni. Ciekawą byłaby statystyka, wykazująca, ilu wielkim ludziom, zwłaszcza artystom, głupie małżeństwo życie zwichnęło i talent zmarnowało!

Najsympatyczniejszym freskiem Andrea del Sarto jest jego *Madonna del Sacco*, nazwana z powodu worka, na którym św. Józef pół leży, pół siedzi. Trudno wymarzyć scenę więcej naturalną i z życia wziętą. Św. Józef czyta z dużej księgi, a Matka Boska słucha, ale przeszkadza jej mały Pan Jezus, którego to czytanie nudzi i wyrwa się z rąk Matki, chcąc do św. Józefa się dostać. Na twarzy Matki Boskiej jest wyraz błogiego szczęścia, spokoju i wypoczynku. Jest ona jedną z najlepszych kreacyi tego mistrza.

Zd. Cz.





List XXIV.

Floren c y a, 27 kwietnia 1895.

Dziś rano objechałem mnóstwo kościołów, a ponieważ w każdym widziałem wielką ilość arcydzieł pędzla i dłuta, przeto trochę mi się pokielbaśiło w głowie i mogę tylko bardzo ogólnikowo o nich wspomnieć.

W *Santa Maria Novella* oglądałem z zajęciem nadzwyczajne freski *Ghirlandaja*, będące bezwątpienia najlepszą jego pracą, krucyfiks *Bruneleschiego* i Matkę Boską *Cimabuego*.

W *S. Maria del Carmine* podziwiałem freski *Masaccia*, na których się kształciły i wyrabiały całe generacye sławnych malarzy.

Masaccia można nazwać dowódczą téj wielkiej legii artystów, którzy postanowili zerwać stare tradycye, zabobonem trącające, i rozpocząć nową erę wyzwolenia i swobody. Nie patrząc

już na świat oczami dawnych mistrzów, ale własnymi, dali folgę uczuciu i umysłowi, nie chcącemu niewoli, i zerwali z przeżyta przeszłością i przestarzałą szkołą mistyczną.

Masaccio daje w tem przykład; jak król-wicz z baśni, zbudzający królową od lat uspioną, zbudza i powołuje on do życia naturę ze snu wiekowego i pozwala jej oddychać i żyć w wolności.

Jego Adam i Ewa wypędzeni z raju nie są jakimiś alegorycznymi postaciami, ale po prostu rozebraną parą ludzi, przestraszonych swą nagością; tak samo młodzieniec, chrzczony przez św. Piotra i wychodzący z wody, robi wrażenie kogoś, który się kąpał i trzęsie się z zimna.

Niestety, mało jest jego dzieł. Umarł w kwiecie wieku ku prawdziwej rozpaczyc całego ówczesnego świata artystycznego, na którym, jak meteor, zajaśniał i zniknął.

Mimochodem wspominam tu tylko kościoły: *St. Spirito*, zbudowany według planu Brunelleschiego, *Santa Trinita*, przez Mikołaja Pisano, Karmelitów z pysznymi freskami Andrea del Sarto i wreszcie *św. Anuncyję* z kaplicą cudownej Matki Bożkiej, pełną złota, drogich kamieni i kosztownych rzeźb. Niestety, całą

przyjemność zwiedzania psuły mi dwie Angielki zębate, które jak pluskwy wlażyły na wszystkie ołtarze, nawet na ołtarz Anuncyaty, przed którym się właśnie msza św. odprawiała.

Najciekawszym wszelako kościołem w Florencyi jest *St. Lorenzo*, zbudowany w czwartym wieku i poświęcony przez św. Ambrożego. W XV wieku mocno uszkodzony przez pożar, został zrestaurowany przez rodzinę Medyceuszów według planu Brunelleschiego, a wewnętrzna fasada przez Michała Anioła.

Za kościołem wchodzi się do tak zwanęj zakrystyi nowęj czyli mauzoleum Medyceuszów, zbudowanego przez Michała Anioła na rozkaz papieża Klemensa VII.

Pierwsze wrażenie, jakie się ma, wchodząc do tego skarbu arcydzieł najpotężniejszego z mistrzów, jest pewna symetria całej kaplicy w stosunku do znajdujących się w nięj pomników, pochodząca z właściwości Michała Anioła pojmovania od razu całości i zastosowywania do nięj szczegółów.

Naprzeciwko siebie są dwa pomniki Juliana i Lorenzo Medici tak różne i niepodobne do siebie, jak różnemi były charaktery dwóch tych rycerzy. W Julianie widać potęgę i buńczuczność; siedzi, ale ma ochotę się zerwać

i za szablę chwycić. Dołem leżą dwie alegoryczne postacie, noc i dzień przedstawiające.

Poeta Strozzi podpisał pod jedną z nich wiersz:

„Noc, którą tu widzisz w błogim śnie porażoną, wyrzeźbił Anioł, a ponieważ śpi, przeto żyje. Jeżeli wątpisz, to zbudź ją, a przemówi do ciebie.“

Michał Anioł odpowiedział wierszem godnym jego wielkiego ducha:

„Błogo mi spać i być marmurem. Nie widzieć i nie czuć w tym czasie poniżenia i wstydu, jest wielkiem szczęściem. Błagam, nie budź mnie, mów po cichu, idź dalej!“

Naprzeciw umieszczony posąg przedstawia Lorenzo di Medici, którego Włosi nazwali „il Pensieroso“, myślicielem, a który jest jedną z najpiękniejszych rzeźb na świecie. Szczytem genialności jest myśl Michała Anioła, dającego rycerzowi hełm na głowę, rzucający cień na górną część twarzy. Przez to nabiera twarz większego zadumania i tajemniczości. Lorenzo di Medici wygląda, jakby ze smutkiem patrzył na świat a ręką nakazywał milczenie sobie samemu, nie chcąc zdradzić swęj myśli.

Dołem leżą także dwie postacie alegoryczne, jutrzienka i zmierzch. Pierwsza zatrzymała w sobie pewną melancholią senną, w dru-

gięj widać jakoby pogardę dla światła, z którą oczekuje nocnego spoczynku.

Nim ukończę mą wędrówkę artystyczną po kościołach i galeryach, wprowadzę Cię choć na chwilę do tak zwanego Muzeum Narodowego, czyli *Bargello*, najstarszego pałacu florenckiego, w którym niegdyś mieszkał Podesta, a dziś mieszkają cztery wiecy królowie, *Michał Anioł*, *Donatello*, *Jan z Bolonii* i *Lucca della Robia*, nie licząc całej masy mniejszych królików i książątek sztuki florenckiej.

Co do pierwszego, to pisawszy już dużo o nim, wspomnę tylko o jednej z jego rzeźb, tu się znajdujących, to jest o *Bachusie*. Myśle, że tworząc go, nie myślał *Michał Anioł* o nadaniu mu cechy Boskości i nie chciał też przedstawić go, jako pijanego tłuściocha, na beczce siedzącego, jak się zwykle pana tego maluje, ale stworzył pięknego, trochę może zniewieściałego młodzieńca, mającego po prostu w czubie.

Pyszny jest wzrok *Bachusa*, trochę niewyraźny, starający się fiksować czarę napelnioną winem, którą w prawej ręce trzyma, a taki jakiś czuły i słodki, iż wystarcza w owe marmurowe, niby to zimne oczy spojrzeć, by się przekonać, że się *Bachusowi* w głowie kręcić zaczyna. Genialne jest pewne wykrzywienie

nie ciała, które już nie bardzo może równowagi utrzymać, w skutek tego całym ciężarem na lewą, aż wyprężoną, nodze spoczywa; prawą rękę podnosi ku ustom a lewą, leniwo spuszczoneą, grzebie w koszu winogron, przez małego faunika filuternego podawanych.

Donatello rozproszył swe arcydzieła po całej Florency; widać je w St. Croce, w Ufficiach, w Battisterium i w *Orsanmichele*, gdzie sławny św. Jerzy taki piękny i dumny, że patrząc na niego, pojmuje się miłość Julii do Romea, którego zobaczywszy, uznała podobnym do św. Jerzego, a św. Marek tak wierny i pełen życia, że Donatello ukończywszy go, wołał: „Marku, czemu nie mówisz?“

W Bargello go pełno. Śliczny *Dawidek* młodziutki i śliczniejsze jeszcze popiersie *św. Jana Chrzciciela* z twarzą tak naiwną, przypominającą fizyonomie pastuszków w Wschodniej Galicyi, których jedynem bogactwem koszulina i słomiany kapelusz, z pod którego jak len białe włosy i poczeiwe siwe oczy wyglądają.

Między czarnemi popiersiami Donatella i wesołemi gorącym swym kolorytem terracottami *Lucca della Robia*, misternemi arcydziełami i pieskiem *Benvenuto Cellini*, wznosi się ku niebu, czarnemu płomieniowi podobna, postać Merkuręgo, *Jana z Bolonii*. Końcem palców dotyka

się ziemi i jeszcze chwila, a wicher go porwie, taki lekki i powiewny.

Częstokroć zdarza się, że ludzie, którzy najwięcej się rozczulają nad pięknnością obrazów, pozostają zimnymi wobec rzeźby, choćby Michała Anioła. Co do mnie, nie wiem, co mi większe wrażenie i przyjemność sprawia. Uczucie, które mnie ogarnia na widok prawdziwie pięknej statuy, jest podobne gipsowi gorącemu, który wylany na głowę Dawida, po jego ciele spływa, nie opuszczając jednej arteryi, jednej, że tak powiem, fałdy jego muskulatury. Wtedy oko moje rozkoszuje się siłą, gracyą, anatomiczną dokładnością, oraz pięknnością lub grozą arcydzieła.

Zd. Cz.





List XXV.

Floren c y a, 28 kwietnia 1895.

Mam wyrzuty sumienia, że tyle Ci o posągach i kościołach pisałem, a tak mało o samej Florencyi, której zewnętrzna piękność i cecha wielkomiejska nietylko na uwagę, ale na dłuższy opis zasługuje. Niestety, mało brałem udziału w przyjemnościach dziennych i wieczornych, unikając gwaru i zgiełku. Co do ostatnich, to raz tylko dałem się skusić wielkimi afiszami i reklamami i poszedłem do kawiarni, w której co wieczór bywa koncert i przedstawienie muz podkasanych. Główną atrakcją był gimnastyk, sztuki na trapezie pokazujący, i to garbus.

O estetyko! O Florencyo, ojczyzno Buonarottich i nieśmiertelnego piękna!...

Odbywszy już dwie, prawem, obowiązkiem i Bedeckerem przepisane wycieczki do Cachin

i Fiesole, wybrałem się na trzecią, to jest na *San Miniato*.

Droga do tamtąd prowadząca kręci się wśród uroczych willi i pagórków, porośniętych bzami, i jest ulubioną przechadzką Florentczyków, którzy ją nazywają „*Viale dei Colli*,” a której zbudowanie parę milionów franków kosztowało. Wznosi się ona coraz wyżej i nareszcie dochodzi do szerokiego, żółtym żwirem wysypanego placu, zwanego placem Michała Anioła.

Cały ten kwadrat, otoczony marmurową balustradą, jest punktem, z którego najpiękniejszy widok na Florencję się rozciąga. Przebiega żółta szarfa zawsze mętnego Arno, świeci w blasku słońca tysiącem wież, kopuł i wieżyczek, wśród których posepnie się wznosi *Palazzo Vecchio* i *Campanilla* katedralna. Naprzeciwko także wzgórze lasami porośnięte, i zdala widna willa *Palmieri*, w której *Boccaccio*, przed dzumą się ukrywając, otoczony gronem pięknych kobiet, *Decameron* pisał.

Co głównie stanowi piękność *San Miniato*, to owa profuzja teras, kolumnad, które coraz wyżej się piętrzą, nie tracąc nigdy harmonii swych linii, bogate w marmury, wodotryski i te niezliczone ilości kwiatów, które jak

morze purpurowe u stóp góry się kłębi. Oko nie spoczywa na żadnym wybitnym punkcie, bo go nie ma. Wszystko razem mięsza się i tonie w jednej olbrzymiej harmonii kolorów bawiących, pieszczących a nie męczących wzroku.

Nad tym kobiercem kwiatów, nad tą rzeźbą kościołów i pałaców, nad całą fantasmagorią widoków, góruje na środku placu, czarna postać Dawida Michała Anioła, jako władzcy i potentata, u którego stóp rozkoszna Florencyja się położyła. Jest to z bronzu ukuta kopia marmurowego arcydzieła z akademii. Mnóstwo cudzoziemców, którzy słyszeli jakieś dzwonicie, a nie wiedzą w którym kościele, przekonani są, iż na San Miniato znajduje się sławny Dawid, i patrzą na niego, nie wiedząc, że kopia do oryginału jest tem samym, czem cień do człowieka; — *oryginał mówi, kopia milczy!*

Nie daleko placu wznosi się marmurowy, biały i czarny kościół San Miniato, w pięknym florenckim stylu z początku XII wieku, z kilku rzeźbami Lucca della Robia i freskami *Aretina*, który był uczniem Giotta. Obok kościoła rozciąga się olbrzymi cmentarz, pełen bardzo pięknych i kosztownych nagrobków pierwszych rodzin florenckich.

Wśród płotów rożanych i odurzającej woni kwitnących bzów zjechałem z ślicznej tej góry,

by piechotą przejść się nad brzegami Arna. Z kilku mostów, przerzuconych przez rzekę, najciekawszym jest Stary most, po którego obu stronach wznoszą się sklepiki samych tylko jubilerów i złotników.

Już to nie ma jak sklepy florenckie. Całe ulice się widzi, wzdłuż których w każdym oknie wystawione są sławne tutajskie mozaiki, złote florenckie ramy i rzeźby marmurowe. Wałęsanie się po takich ulicach zaliczam do największych przyjemności, zwłaszcza, że oprócz arcydziel pędzla i dłuta spotyka się takie niezrównane żywe piękności.

Kobiety są mniej ładne, niż w Wenecyi, ale mężczyźni, a zwłaszcza chłopaki, śliczni. Co chwilę spotykałem uliczników lub mularczyków, z pracy dziennej powracających, jak dwie krople wody do św. Jana Andrea del Sarto podobnych, będącego najzupełniej florenckim typem. Nienaturalnie wielkie czarne oczy i piętrzące się kruczemi kędziorami czupryny.

Pisząc o tem, przypomina mi się zabawne zdarzenie z przed laty w Rzymie, gdy najnie spodziewaniej stałem się posiadzicielem kilku kóz, jakie się w licznych stadach na Campanii Rzymskiej spotyka. Wracalem z jednej z mych licznych artystycznych wycieczek, gdy wtem na via Sistina spostrzegłem małego pastuszka,

pędzącego trzy kozy. Chłopczyna ten, może dziesięcioletni, był takiej niesłychanej i niewidzianej piękności, że nie mogłem się oprzeć pokusie zaczepienia go. Rezultat naszej rozmowy był, że gotów jest pójść ze mną do fotografa, ale musi przedtem kozy swe w bezpiecznym jakim miejscu ulokować. Proponowałem mu, aby je pozostawił na ulicy, a w razie zguby, chętnie mu stratę zapłacę. Sprytny jednak bambino, bojąc się, abym czasami nie uciekł z kozami, nie chciał się na moją — przyznając ryzykowną — propozycją zgodzić. Do domu było daleko, chłopak mógł nie wrócić, nie było więc rady, kupiłem trzy kozy!

Chłopak pieniądze schował, z bicza trzasnął, kozy, będące już moją własnością, wesołym galopkiem ku domowi uciekały, a ja z mym Giovaninem, ubranym w brudny, białym barankiem wyszyty kożuszek, poszedłem do fotografa. Trudno opisać wyraz radości i wdzięczności na twarzy tego artysty. Ledwo spojrzał w cudne, czarne oczy i fantastyczny, trochę w lachmanach będący strój chłopca, wnet obliczył, ile na nim zarobi. Kazalem go więc fotografować, i mały po paru dniach wykonany portrecik do dziś dnia wszystkich w mym domu w zachwycenie wprowadza. Teraz jednak następuje epilog całej historii.

Koży mi uciekły, fotografią zapłaciłem, chłopca więcej nie widziałem, a gdy rok później do Rzymu znów przyjechałem, jakież było moje zdziwienie, gdy w wszystkich oknach księgarni i sklepów artystycznych zobaczyłem mego pastuszka śliczną głowę, ale w naturalnej wielkości, fotografowaną, rysowaną, malowaną i rzeźbioną.



Był to mój bambino, i była to moja fotografia, na której, jak się dowiedziałem, fotograf tysiące zarobił i chowając je do kieszeni, nie-raz pewno pomyślał, że Polaczki to jednak bardzo upośledzone stworzenia być muszą!

Zd. Cz.





List XXVI.

P i z a, 29 kwietnia 1895.

Wczoraj namyślałem się, dokąd z Florencyi się udać, i nie wiele brakowało, a byłbym uległ pokusie i do Rzymu pojechał. Tyle jednak czasu zmarudziłem, że nie wiele mi już wolnego pozostało, a w Rzymie krępowanym być nie można, i lepiej wcale nie jechać, jak na czas ograniczony. Dla tego dziś rano wybrałem sobie Pizę, aby powoli rozpocząć powrót ku domowi.

Droga z Florencyi do Pizy jest zupełnym spacerem, wśród najrozkoszniejszego parku; początek jej tworzą Cachiny, ów ogród, który ci opisywałem, ale nie wiadomo, gdzie się kończący, gdyż za nim inne ogrody przychodzą, i pociąg nie wydostaje się wcale z kłębów drzew i kwiatów.

Po prawej i lewej stronie widne pola karzochów i innych jarzyn, a wśród nich rzędy drzew owocowych, w równych odległościach połączonych wiszącymi festonami i girlandami winogron. Robi to wrażenie jakiegoś świątecznej dekoracyi i bram tryumfalnych. Od czasu do czasu spotykałem wozy, mające formę rzymskich wozów, jakich na igrzyskach używano, lecz malowane całe czerwono i zaprzężone w cztery śnieżnej białości woły. — Nie ma słów na wypowiedzenie, co to za obraz wśród bujnej zieleni pola i różowego kwiecia drzew owocowych.

Dziwi mnie, że tak mało malarzy to maluje, a to takie ładne i oryginalne. Oprócz wozów widziałem też pługi wielkie, drewniane, jak nasze stare sochy, zaprzężone w 10 białych wołów; a nie trzeba zapomnieć, że to wszystko jest pokryte kopułą ciemno-szafirowego nieba i oświecone gorącym, białym słońcem Południowem.

Miejscowości, przez które się przejeżdża, nie przedstawiają nic szczególnie ciekawego prócz malowniczego położenia. *Signa*, mała miejscina z ruinami starego zamczyska, *Montelupo* czyli Wilcza góra, nazwana tak z powodu naprzeciwległej góry *Capraja* czyli Kozięj.

Później *Empoti*, miasto bogate, gdyż leżące w najżyźniejszej części Toscany, *St. Miniato al Tedesco* z starą katedrą z X wieku, *Pontederra* nad rzeką *Era*, wpadającą tu do Arna, i wreszcie *Piza*.

Nie mając zamiaru zatrzymywania się dłużej w Pizie, pozostawiłem rzeczy na dworcu a sam pojechałem do katedry, by starych znajomych odwiedzić.

Dziwne to miasto, robiące wrażenie jakiegoś olbrzymiego cmentarza, pełnego świetnych obelisków, ale na którym ludzi niema. Wielkie marmurowe pałace, lecz okna w nich zamknięte, a progi zapyłone, gdyż nikt ich nie przekracza. Ma się uczucie, że dzuma tu przeszła, i ludzie wszyscy wymarli albo pochowali się do domów i pałaców swych przed rotami zwyciężkiego wojska, które za chwilę z brzękiem pałaszy i hukiem armat mury miasta przekroczy, a teraz gdzieś na pustym polu do pochodu tryumfalnego się przygotowuje. Myślę, że tak Paryż wyglądać musiał, gdy zwycięzka armia pruska z butą i pogardą po ulicach miasta postępowała, a ulice te były puste, okna zamknięte, i nie było z kogo naigrawać się i pysznić.

Ale w Pizie szcęk oręża dawno już ustał, nikt się dziś nie kusi po jej skarby rękę wy-

ciągnąć. Minęły wieki od czasów, gdy rywalizowała z Wenecją i Genuą, gdy stawiała na czele wojsk walczących przeciw pohańcom, a jej potęga się rozchodziła wzdłuż całego morza Śroziemnego, którego wyspy do niej należały.

Zaprzędana w początkach XV wieku Florencyi, próbowała jeszcze parę razy jarzmo z ramion zrzucić, wstrząsała kajdanami, chcąc je rozerwać, ale gdy sił nie starczyło, usnęła marmurowym snem swych pałacy, popiołem starości posypała kopuły swych świątyń i stała się jako wdowa smutna i milcząca, ale piękna sennością bólu i ciszą rozpaczy.

Z owój przebrzmiałej świetnej przeszłości pozostały tylko resztki, ale one wystarczają, by mieć wyobrażenie, czem Piza kiedyś była. Liczne pałace rządowe i prywatne należały do wielkich rodzin pizańskich, na czele partyi Gibelinów stojących, którzy Pizę jako główną siedzibę i stolicę obrali.

Jedyną ulicą, na której się ludzi spotyka, jest Lungarno, rodzaj bulwaru, ciągnącego się po obu stronach rzeki Arno. Ulica ta szeroka i strojna piękniemi gmachami, przecina całe prawie miasto. W lecie bywa tu piękna iluminacya, na którą z całej okolicy ludzie się schodzą.

Część téj ulicy nazywa się *Lungarno Galilei*; widziałem z daleka dom, w którym się włoski Kopernik urodził. Niedaleko ztamtąd *palazzo Comune* z bardzo piękną biblioteką, pełną najrzadszych i najciekawszych manuskryptów Ryszarda Lwie serce, Barbarosy i t. d. Wszystkie te pergaminy w liczbie 16 tysięcy wyłożone są dla publiczności w 10 wielkich salach.

Dziś całe życie artystyczne i ruch głównie cudzoziemców skoncentrował się na placu katedralnym.

Czy nie zdarzyło Ci się widzieć kiedykolwiek paralytyka niemocą złożonego, którego władze umysłowe pozostały zdrowe? Leży on bezwładny, ręką i nogą nie mogąc ruszyć, ale oko jego tragicznie rozumne patrzy i widzi, a umysł myśli i rozważa. Tak samo i Piza; ciało jéj całe w niemocy pogrążone, ale w głowie potok myśli i czucia, tam życie bije silnem tętnem, a rozum tryska z otwartych szeroko oczu.

Przejechawszy puste ulice, po których głuchem echem rozchodzi się łoskot kopyt dorózkarskiej szkapy, minawszy zawsze mętny Arno, dojeżdża się do wielkiego placu, wysoką murawą porosłego, na którym wśród gorącego słońca stanęły cztery cuda świata. Widok ten jest tak niespodziewany i tak orygi-

nalny, że zaprawdę do owego paralityka porównać go mogę, o którym myślisz, że już nie żyje, że nie widzi i nie słyszy, a on raptem tak silnym głosem do Ciebie przemawia, że i przestrasz i radość Cię ogarnia.

Wysiadłszy z mego fiakerka na środku owej łąki, na której trawa i burzany po kolana wyrosły, namyślałem się, co najprzód zobaczyć, czy katedrę, Battisterium, Campo santo, czy też sławną krzywą wieżę pizańską.

Tę ostatnią postanowiłem tylko zewnątrz zwiędzić; podobno ludzie, którzy na nią wchodzi, dostają bzika i zeskakują z niej.

Otóż woląłem tego nie wykonać, gdyż nie mógłbym już potem katedry zwiędzić, a cieszyłem się na nią, jest to bowiem katedra, którą może najwięcej z wszystkich włoskich lubię.

O ile wieże w Bolonii są brzydkie i nie artystyczne, o tyle wieża pizańska uchodzi za jedno z najpiękniejszych arcydzieł średnich wieków. Czy pochyłość jej jest przypadkową, czy umyślną, trudno wiedzieć, zwłaszcza, że historycy sztuki sami nie są tego pewni. Najprawdopodobniwszem jednak jest twierdzenie, że rozpoczęto wieżę prostą, ale z powodu bagnistego gruntu w samym początku się pochyliła. Można było wtedy drugi raz budowę zacząć i twardsze miejsce wybrać, ale dumni

Pizanie chcieli pokazać swą przemoc nad przeciwnościami natury i budowy nie zaprzestali, w tym samym już krzywym kierunku ją wznosząc. Nie sporo im szło jednak, gdyż różne próby się nie udawały, i dopiero dwieście blisko lat po rozpoczęciu dokończył ją *Tomasz Pisano* w r. 1350 roku, tworząc arecydzieło nie tylko pod względem naukowym, ale przede wszystkim pod względem artystycznym.

Zasada Grecka tworzenia przedsionków z kolumnadami została tu znakomicie zastosowaną przez otoczenie wieży ośmiu piętrami delikatnej jak koronka galeryi, o kształtnych kolumnkach, które jęj nadały pewną powiewność i lekkość, tak iż wygląda jak słup różowego dymu, który wiatr za chwilę rozpędzi i zjawisko całe zniknie.

Wysokość wieży wynosi przeszło 54 metry, pochyłość wynosi przeszło cztery. Schody prowadzące na górę składają się z 300 mniej więcej stopni. Z dzwonów na szczycie umieszczonych największy waży 12,000 kilogramów. Widok z wieży ma być bardzo rozległy i piękny, co łatwo pojąć można w obec bogatęj okolicy Pizy, niedalekich Alp pizańskich i blizkiego morza Śródziemnego z portowem miastem Livorno.

Dodać jeszcze wypada, że Galilei, którego imię tak ściśle z Pizą związane, ze szczytu krzywej wieży swe doświadczenia fizyczne o ciężkości ciał spadających robił.

Zd. Cz.





List XXVII.

Spezia, 30 kwietnia 1895.

Pizanie, zwyciężywszy Sycylijskie wojska w jedenastym wieku, postanowili na podziękowanie Bogu świątynią wystawić z białego marmuru i budowali ją sześćdziesiąt lat. Taka jest w krótkich słowach historia katedry Pizańskiej. Co do artystycznej jej wartości, to mało który kościół we Włoszech może się poszczycić takim absolutnem wykończeniem na zewnątrz i wewnątrz, jak katedra w Pizie.

Nie wiem, do czego porównać fasadę, czy znowu do koronki, czy haftu misternego, czy może do jubileuskiego klejnotu; w każdym razie trudno wymarzyć coś bardziej eterycznego i subtelnego jak te cztery piętra białych kolumnek, które się piętrzą jedne nad drugimi, w koło katedry, pod dachem, wszędzie, podo-

ne owym fantastycznym i czarodziejskim dekoracyom teatralnym, które w baletach i operach do apoteozy nieraz służą.

Wnętrze katedry robi wielkie wrażenie ogromem rozmiarów i bogactwem szczegółów. Pięć naw rozdziela sześćdziesiąt osiem kolumn, które Pizanie z różnych wypraw wojennych, jako trofea przywieźli. Srodkowa nawa pokryta złotym sufitem, z którego spuszcza się sławny kandelabr czyli pajak brązowy, wiecznie się obracający siłą własnego ciężaru, a który Galileemu nasunął pierwszą myśl o obracaniu się ziemi w koło słońca.

Wielki ołtarz, bogaty marmurami, jest widocznie nowszy; nad nim wznosi się poważny czarny krzyż Jana z Bolonii. Mało który krucyfiks podobne wrażenie mi zrobił jak ten. Również Jana z Bolonii są dwa anioły z brązu po obu stronach ołtarza i drzwi rzeźbione, w których przebija szkoła Ghibertiego.

Wszystkie poboczne ołtarze są Michała Anioła. Rysunek ich jest tak prosty i niewyszukany, iż zdawałoby się mogło, że każdy człowiek podobny ołtarz wyrysuje, a jednak są one arcydziełami największego na świecie geniuszu, który właśnie dla tego był tak potężnym, że takie na pozór proste, w liniach i proporcyach szlachetne cuda tworzył.

Z licznych obrazów z radością odnalazłem płótna *Andrea del Sarto*.

Najprzód Madonna z dzieciątkiem, przypominająca Madonny niektóre Rafaelowskie. Twarz Matki Boskiej smutna i zamyślona, jakby w dystrakcyi, oczy spuszczone z wzrokiem przed siebie bezwiednie utkwionym. Św. Agnieszka i święta Katarzyna są ślicznemi pannienkami, któreby może były za ładne, gdyby nie były równocześnie tak idealnie niewinne i naiwne, zwłaszcza św. Agnieszka, głaskająca jagnię, które swoją drogą jest sentymentalne i zanadto myślące.

Battisterium czyli chrzcielnica, koło katedry stojąca, jest stylem tejże podobna. Tak samo otoczona girlandą białych kolumnek, wygląda na wielkie jakieś dzieło jubilerskie, kunsztownie z wszech stron szlifowane.

W arcydziełku tem siedziałem dosyć długo, nie tylko dla podziwiania sławniej ambony marmurowej *Niccola Pisano* i stariej chrzcielnicy z pysznych mozaik złożonej, ale głównie, aby się rozkoszować nadzwyczajnem echem, które się tu słyszy. Opisać to trudno; przypominałoby to ową obietnicę dawaną żonie, chcąc jej towarzyszyć mężowi na koncert, że jej potem opowie, jak to było! Otóż i tu pisać nie po-

dobna, gdyż kto nie słyszał, ten pojęcia mieć nie może o piękności owego echa. Gdy się wyśpiewa kilka tonów, po sobie następujących, słyszy się po chwili owe tony w akord połączone, schodzące cicho, potem coraz głośniej ze szczytu kopuły. Robi to wrażenie koncertu nadziemskiego, z górnej krainy cudem dochodzącego. Oczywiście nie żałowałem sobie głosu i ku wielkiemu zgorszeniu stariej jakiejś Angielki wrzeszczałem, ile mogłem.

Czwarte z owych arcydzieł, znajdujących się na łące, jest sławne *Campo santo*, rodzaj cmentarza, w którym Pisanie wielkich swych ludzi chowali. Jest to czworokąt, składający się z szerokiego krużganku, mającego po jednej stronie pyszne gotyckie okna, a po drugiej mury pokryte freskami najslawniejszych malarzy. Posadzka w owych korytarzach jest z bogatej mozaiki marmurowej, i na niej ustawione są wszystkie grobowce. Ponieważ korytarze te są z czterech stron, przeto w środku pozostaje próżny, gotyckimi oknami otoczony plac, 450 stóp długi i nawieziony na dziesięć stóp grubości ziemią z Palestyny, którą na 50 kilku statkach z Ziemi świętej przywieziono.

Ale najciekawszemi są tu freski *Orcanii*, których ludziom nerwowym i wrażliwym nie radzę oglądać. Przedewszystkiem tryumf śmierci:

wielkie towarzystwo myśliwskie, składające się z trzech królów, pań, rycerzy i paziów nadjeżdża konno nad trzy otwarte groby, w których leżą trupy królewskie, przez robaki i węże zjadane. Górą widać chatę pustelników, z których jeden zajmuje się dojeniem łani, a drugi nad wyżej wspomnianemi grobami ze skały schodzi i następujący miły napis pokazuje: „Przed widokiem tych trupów musi i próżności głupota w nas zblednąć.“

Dalsza część obrazu przypomina Dantyszka z swemi trupami, trupkami, trupeczkami i trupiátkami. Lecą one przez powietrze i woltizują, ciągnione i rozszarpywane przez aniołów i djablów. Jakiegoś otyłego kanonika, którego całe ubranie składa się z piuski na głowie, ciągnie anioł za ręce, a szatan za nogi. Z innymi zatkniętymi na widłach uciekają biesy do piekła. W środku obrazu straszna jakaś czarownica z nietoperzowemi skrzydłami i rozczochranym włosem, śmierć przedstawiająca, pędzi przez powietrze, kosą wywijając. Pod nią stosy trupów, między któremi widać papieży, królów, biskupów, mnichów, rycerzy i kobiety. Leci ona do grona siedzących dam i młodzieńców, bawiących się i wesolo gwarzących, a mija bezlitośnie szereg starców, kalek i chorych, którzy błagają, aby ich zabrała.

Obok, równie prawie straszny i w kompozycji, osobliwie Chrystusa, oryginalny sąd ostateczny, a dalej już spokojniejsze i miłsze dla oka i nerwów sceny biblijne *Gozollego*, odznaczające się dziwnym na ten czas realizmem, ale przytem nadzwyczajną wiernością i delikatnością, zwłaszcza w historii Noego, gdzie cała rodzina zbieraniem winogrodu jest zajęta. Pod temi freskami leży sam Gozzoli pochowany.

Co do nagrobków, to dzielą się one na zupełnie stare z rzymskich czasów i na średniowieczne; nowoczesnych jest bardzo mało. Najpiękniejsze są *Jana Pisano*, któremu też główne arcydzieła architektury w Pizie się zawdzięcza.

Opuściwszy tę prawdziwie urodzajną łąkę, kazałem się jeszcze trochę obwieść po mieście, a przedewszystkiem do maleńkiego kościółka *St. Maria della Spina*, który jest cały z białego jak śnieg marmuru, a taki strojny w koronkę wież i wiczyzek, że jak wielki relikwiarz wygląda lub jakaś zabawka aniołów czy Panny Maryi samej. Dawniej przechowywano w kościółku tym cierń z korony Chrystusowej, ztąd też nazwa kościoła.

Jeszcze słońce było wysoko na niebie, gdy opuściłem Pizę, jadąc już w stronę Północną. Swoją drogą przez chwilę miałem jeszcze złu-

dzenie, że jestem nie tylko na Południu, ale nawet na dalekim Wschodzie. Zaraz za Pizą rozpoczyna się las i to jedyny na całe Włochy. Ale za to jaki las! Kilka tysięcy mógg odwiecznych, najpyszniejszych drzew, jakie u nas w botanicznych ogrodach się tylko spotyka. Wszystkie te drzewa połączone splotami chmielu i wina i podszyte trawą pod konary sięgającą. Otóż pędząc przez ten dziewiczy las, ujrzałem raptem na łące pasące się stada koni, bydła i wielbłądów. Są to pastwiska królewskie, i na nich utrzymywana stadnina 1500 koni, 2000 krów i przeszło sto wielbłądów. Te ostatnie są potomkami szczęśliwie rozrodzonej pary wielbłądzięj, niegdyś Medyceuszom przez jakiegoś Wschodniego potentata darowanej. Otóż mogę list ten zakończyć wiadomością, że wielbłądy te były bardzo szczęśliwe, żyły długo i miały masę dzieci!

Zd. Cz.





List XXVIII.

Spezia, 1 maja 1895.

Kraj zawsze równie bogaty i piękny, za Pizą płaski i lasem pokryty, później coraz bardziej górzysty, licznymi osadami zaludniony. Na szczytach stromych pagórków między zielenią drzew widać wieże różnych starych i nowszych zamków; niektóre z nich są bardzo okazałe i do rodzin panujących należą.

Pierwsza większa stacya za Pizą to *Via-reggio*, słynne kąpielami morskimi, bardzo w modzie będącemi. Morza jednak z kolei nie widać, tylko szczyty masztów z daleka sterczące.

Pietrasanta, sławna z walecznej obrony przeciw wojsku Lorenzo Medici w 1482 roku, a tak otoczona wzgórzami, że tylko czubek bardzo pięknej *Campanilli* się dostrzega.

Tymczasowo góry stają się coraz więcej skalistemi, skały coraz bielszemi, i dojeżdża się do *Massy*, stacyi należącej do wielkich kopalni marmuru, *Massa-Carrara*. Z pewną wdzięcznością i czcią spoglądałem na olbrzymie łomy białego jak śnieg marmuru, z którego wszystkie największe arcydzieła architektury i rzeźby we Włoszech powstały, po które jeździli niegdyś Michał Anioł i Donatello i Bramante i tylu innych, którzy z nich tworzyli świątynie, ołtarze i posągi, i świat niemi zaludniali.

Wzdłuż szyn widać przygotowane wielkie pokłady marmuru, oraz liczne baraki i śpichlerze z nazwiskami różnych kupców francuskich i angielskich, którzy tu swe składy na wywóz przygotowane pobudowali.

Strach, co to za bogactwo! W samej Carrarze jest sześć set kopalni marmuru, sto czterdzieści warsztatów do wyrabiania go, a w nich sześć tysięcy robotników zatrudnionych. Wywóz wynosi mniej więcej sto osiemdziesiąt tysięcy centnarów rocznie, reprezentujących sześć milionów lir. Oczywiście cała ludność okoliczna ma w kopalniach bogate utrzymanie; z daleka też widać całe rzędy pił do przecinania i politurowania łomów, które ze skał spychane wołami do warsztatów bywają wciągane. Są

też różne gatunki marmuru, lepszego „statuario“ i gorszego na budowie, których różnica z daleka jest widną.

Za Massą parę tunelów, poczem ukazuje się morze Śródziemne i po chwili pociąg przyjeżdża do *Specyi*. Widząc położenie śliczne miasta i ten niezmierny błękit morski, nie oparłem się pokusie zatrzymania się w *Specyi*. Pragnąłem wypoczynku dla umysłu, oczów i nerwów. Za wiele arcydzieł ręką ludzką stworzonych widziałem w ostatnim czasie, i tęskno mi było za powietrzem, spokojem i naturą.

A gdzież można lepiej wypoczywać, jak nad morzem, w miasteczku przez rybaków zamieszkałem, do którego cudzoziemcy nie przyjeżdżają i które, Bogu dzięki, nie jest znanem i modnem.

Stanąwszy w *Albergo Croce di Malta*, dostałem pokój z balkonem i z widokiem na morze.

Wieczór się zbliżał, upał dzienny ustawał, w powietrzu unosił się zapach bzów, pod oknami hotelu kwitnących.

Stary jakiś rybak, widząc mnie na balkonie począł zachęcać do wycieczki na morze, pokazywał mi łódź swą opodal się kołyszącą i zareczał, że nikt mu w wiosłowaniu nie dorówna, ale pozostałem głuchym na jego na-

mowy i postanowiłem wieczór na wypoczęcie tak bardzo mi potrzebne poświęcić.

Odoczynek taki, jeżeli się pojmuje przyrodę, może być tylko dalszem odczuwaniem rozkoszy i rozpamiętywaniem nad arcydziełami sztuki, której twórcą jest sam Bóg.

Mickiewicz w „*Arcymistrzu*“ śpiewa pieśń o Bogu, jakiego ani Dawid ani Jan z Czarnolesia nie znali, czcząc Go jako największego artystę w naturze; mistrza „co malował na niebios błękicie i na tle fali i co kolosów wzory rzezał na gór szczycie.“

Co do mnie, obojętnem mi jest, czy patrzę na Alpejskich gór korony, czy na Oceanu tajemniczą bezdeń, czy płynę szwajcarskich jezior błękitami lub puszczam wodze myśli w Ukraińskim stepie, — tyle wszędzie widzę piękna i cudów, tylu głosami przemawia do mnie przyroda, że zaprawdę nie wiem, czem nuda i przesyt i cieszę się jak dziecko, zwłaszcza że umiem nie tylko z dębami, ale i ze stokrociami gawędę prowadzić.

Zapożyczywszy od poety owego porównania tła fali z malarstwem i gór szczytów ze rzeźbą, znajduję, że jak między temi dwiema sztukami, tak i między morzem a górami jest pewna emulacya.

Co wolisz, góry czy morze?

Oto pytanie, które się tak często słyzy i stawia.

Jeżeli mnie zapytasz, odpowiem, że morze. Uznaję w całej pełni majestat gór, korzę się przed nim i modłę do niego. Zachwycam się ich malowniczością, milczę nad ich grozą, ale.... wolę morze.

W górach jestem nienasyconym, gdy wejde na szczyt jednę, już pragnę wejść na drugą; ledwo się sapiąc i dysząc na tę drugą wdrapalem, dostrzegam trzecią, na którą jak na złość wstępu nie ma, i cofnąć się muszę.

Przytem z dziadów i pradziadów jestem dzieckiem płaszczyzny, nie brandenburskiej lub pomorskiej, ale owęj polskiej równiny, na której dusza skrzydeł anielskich dostaje, i czy stepem jest czy lanem „choć po niej wichur płaczu goni“ i „w jej kłosach żale szemrzą“ — pełną piersią oddychasz i myśl wolną, swobodną w bezmiar posyłasz, czując się jej panem.

Jestem jak owce, które z równiny między Alpy przeniesione tęsnią i uciekają, chociaż w górach trawy bujniejsze i lepsze, a przeciwnie z wyżyn na płaszczyznę sprowadzone jakiejś owczęj melancholii dostają.

Kocham góry, ale w nich żyćbym nie mógł; tak jak z bijącym sercem wchodzę pod stropy

i konary gotyckiej katedry, a wolę w sypialnym pokoju mieszkać i spać w łóżku, niż w najpyszniejszej ambonie. Swoją drogą pojedę do Szwajcaryi.

W widoku morza łączą się dla mnie wszystkie rozkosze. W niem są podwodne ze szmaragdów pałace, Boską ręką wyciosane rzeźby, kolorytów dziwnych światy i nadziemskiej muzyki koncerta.

Z anielskich skrzydeł zapożyczyć trzeba pióra, by opisać tę orgię tęczowych blasków, owe snopy złotych iskier, girlandy srebrnych przędzy, hafty rubinowe, szarfy szmaragdowe, pereł mleczne szlaki i niebios przezroczystość szklaną.

I anielskich tonów trzeba, by odtworzyć ów hymn wichrów grających po falach, jak na harfie nastrojonej, będący chwilami, jakby najad miłosnych kołysanką, oszalałych piekielników wyciem, piorunów pieśnią, albo lez i westehnień pełną, bolesną lamentacją...

Nieraz się zastanawiałem, czemu morze płacze i pomyślałem, czy ono nie zazdrości ziemi kwiatów, rozhoworu ptasząt po konarach drzew się gnieźdzących, zapachu róż po ogrodach i traw wiosennych po smugach?...

Czasem się zdarzy, że je kusi widok zielenią porosłego wybrzeża, wtedy wysyła falę

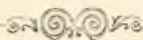
ku niemu; a gdy ją wiatr zazdrosny zatapia,
ona rodzi drugą, ta trzecią i czwartą, aż osta-
tnia dopływa brzegu i w śmiertelnym uścisku
kona z piersią rozdartą.

Bywają też chwile, gdy wszystko ściehnie wieczorną
[godziną,

Gdy róże płaczą i labędzie płyną,

w których morze pokrywa się miliardem kwia-
tów złotych, ale te są darem nieba i z niego
po promykach schodzą.

Zd. Cz.





List XXIX.

Genua, 2 maja 1895.

Spezia jest dosyć dużem miasteczkiem, nie przedstawiającem nic szczególnie ciekawego, prócz uroczego położenia i portu morskiego, będącego najlepszym portem wojennym we Włoszech, a jednym z najlepszych w całej Europie. Ciekawym zwłaszcza jest arsenał morski olbrzymich rozmiarów, robiący wrażenie wielkiej fortecy.

Nad brzegiem morza ciągnie się szereg ogrodów, w których wśród rozłożystych palm spaceruje piękny świat Spezyi, składający się po większej części z żon i córek marynarzy.

Naprzeciwno ogrodów kołyszą się wielkie statki wojenne i pancerniki, jak *Italia*, *Lepanto*, *Regina di mare* i t. d. Gdy wziąwszy łódkę, podpłynąłem ku nim, usłyszałem muzykę na

pokładzie i widziałem majtków tańczących między sobą. Ilekroć jestem na morzu, zawsze z zajęciem, a może i z pewną zazdrością przyglądam się życiu marynarzy. Wspólne pożyacie na szerokich oceanach, daleko od ludzi i świata, oraz wspólne przechodzenie niebezpieczeństw i groźnych nieraz katastrof, wytwarza między nimi rodzaj braterstwa. Wszyscy się między sobą kochają i jeden za drugiego gotów życie oddać. Przytem nie znają zawiści, kłótni i swarów. Są zawsze weseli i szczęśliwi i wobec majestatu i bezmiaru morza, na którym płyną, nie podlegają małościom i pewnej ciasnocie pojęcia, której mieszkańcy ziemi stalej tak niefortunnie służą. Szkoda, że Poznań nad morzem nie leży!

Cheąc użyć morza i widoków, puściłem się łódką na daleką dosyć wycieczkę do *Porto Venere*, miejscowości nadzwyczaj ciekawej i malowniczo położonej. Wiatr nam sprzyjał, więc rozpuściliśmy żagiel i szybko pędziliśmy naprzód. Mój wioślarz, stary wilk morski, opowiadał mi swe podróże do Ameryki i w koło świata, oraz zajmujące szczegóły z życia portowego.

Po paru godzinach jazdy dojechaliśmy do *Porto Venere*. Jest to miasteczko datujące z czasów Chrystusowych, zawieszane na wyso-

kiej skale i zamieszkałe przez samych rybaków. Pochyłość skały jest tak spadzista, że domy wyglądają jakby jedne na drugich wybudowane. Na szczycie wznosi się stary kościół romański, do którego po schodach w skale wykutych się dochodzi.

Na Północnym krańcu miasteczka, nad wielką przepaścią, sterczy ruina dawniej świątyni Wenery i głęboka jaskinia, w której niegdyś Byron siadywał i dumał. Miejsce stworzone dla poety, szukającego natchnienia, gdyż widok z owiej skały tak piękny a sięgający aż do Korsyki.

U stóp miasteczka kończy się wielka zatoka, którą morze tworzy, i pozostaje tylko rodzaj przesmyka między Porto Venere a naprzeciwległą wyspą Palmarią. Niegdyś zatoka ta była zamknięta olbrzymią bramą, ze skal utworzoną, a broniącą Spezyi od Piratów. Dziś już tylko resztki owiej bramy widać; fale morskie z loskotem o nie uderzają, tworząc wodotryski białe, które słońcem oświetlone, tęcze barwy przybierają.

Dowiedziawszy się o pewnej rybackiej gospodarce, w której można się posilić, poprosilem o jakiegokolwiek pożywienie. Ogorzały rybak z fezem na głowie wskazał mi rodzaj altany, na szczycie nie wysokiej skały położonej, obie-

cnując, że mi niebawem obiad znakomity przyniesie. Jakoż po chwili pokrył się kulawy mój stolik kilku wybornemi potrawami, ale których opisać bym się nie podjął. Tyle wiem, że znajdowała się tam cała menażerya potworów i potworków morskich, ryb, raków, roślin podwodnych i niewiem czego jeszcze. Do tego wielka, w słomę opleciona butla krajowego wina, orkiestra fal o skałę uderzających i najpiękniejszy w świecie widok.

Myślę, że nie wielu turystów, zwiedzających Włochy, tu się zapuszcza, a szkoda, bo to takie ładne, ciekawe i oryginalne miejsce.

Powróciwszy do Spezyi, zastałem koncert muzyki wojskowej w ogrodzie i liczne tłumy przechadzających się pod palmami marynarzy i bawiących się w piasku dzieci.

Spezya przypomina wszystkie miasta portowe; ruch wielki, mnóstwo kawiarni i trattoryi, do późnej nocy otwartych i setki pijących i śpiewających majtków. Także handle, w których rzędami stoją automaty, udzielające za wrzuceniem czterech centymów wszelkiego gatunku wódek, marsali, vermuthu i czarnej kawy, a przed niemi chłopaki grający w jakieś miejscowe gry, których wygrane giną w automatach.

Na bocznym placu, wśród targu karczochów, szparagów i ostryg, ustawiony był karusel i kil-

kanaście bud jarmarcznych z różnemi ciekawymi widowiskami, jak ciełę o dwóch głowach, czaszka Beethovena, tasiemiec w galarecie etc., a w koło bud i wszędzie Garibaldi, z wosku, z masła, z cukru, rzeźbiony, malowany i fotografowany w fezie, czerwonej koszuli, z jadłowitemi oczyma.

Ponieważ każda z bud miała swoją muzykę, składającą się z bębna, piszczalki i trąby, którą przechodniów wabiła i to na przekrzyeczanego, przeto powstała dziwna i prawdziwie piekielna kakofonia z Santa Lucia, Donauwellen, intermezzo z Cavaleryi Offenbacha. To wszystko w obłokach kurzu, dymu z fajek i niemilęj woni starzejących się ostryg.

Gdy nazajutrz z wschodem słońca Spezya opuszczałem, pokazał mi ów stary wioślarz, z którym dnia poprzedniego płynąłem, na horyconcie morza jakąś „*mew girlandę szarą*.“ Była to to flota przeznaczona do Kilonii na igrzyska, z powodu otwarcia kanału Północnego, która z Neapolu nadpływała.

Droga prowadząca ze Spezyi do Genuy uchodzi za jedną z najpiękniejszych w całych Włoszech. Jest ona już początkiem Riviery, której opisywać nie warto, gdyż prowadzi do jedyne go miejsca na Południu, jakie Polacy dobrze znają.

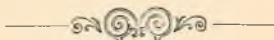
Pociąg pędzi przez parę godzin nad samym brzegiem morza tak, iż fale o podmurowanie szyn uderzają. Niestety, zbyt wielka ilość tuneli przeszkadza bardzo i ledwo się ujrzy jakiś czarujący widok przez okno wagonowe, już czarna noc zapada i dym gryzie w oczy. Morze tego dnia było bardzo wzburzone, więc w owych rzadkich chwilach jasnych można było podziwiać jego czarną farbę i bałwany u stóp naszego pociągu z rykiem i szumem się rozpryskujące. Wegetacya nadzwyczaj bujna i parę stacyi, przez które przejeżdżaliśmy, ginie zupełnie w zieleni palm i cyprysów.

Sestri Levante, Lavagna, gdzie była kolebka potężnej rodziny *Fieschi, Chiavari* jak w amfiteatrze bzami porosłych gór leżące, z fabrykami koronek i wyrobami jedwabiu, *Rapallo* z cudami słynną *Madonna del Montallegro* i *Santa Margherita*, zasypana formalnie różami, bzami i zielenią. Potem następuje szereg małych miejscowości, jak *Bogliasco, Pieve di sori* i inne, w których pociąg nasz nie zatrzymywał się, a które tylko z okna wagonu widne śmiały się do nas zielonemi okiennicami, po za którymi przypuszcza się gruchania gołąbków, zazdrosnych swego szczęścia, a może dobroczynną siestę jakiejś bladziej istoty, która śni o dalekiej Północy, do której zdrową i rumianą powróci.

Kwiatami obrosłe domki, wszystkie do siebie podobne, w których początki szczęścia i końce szczęścia obok siebie mieszkają.

Ostatnia większa stacya jest *Nervi*, kąpiące się w lesie drzew laurowych, pomarańcz i cytryn, pełne wielkich hoteli i ładnych willi, potem jeszcze parę tuneli, i wielkim łukiem z pysznym widokiem na całe morze i zdala widne Alpy Morskie wjeżdża się do *Genuy*.

Zd. Cz.





List XXX.

Medyolan, 3 maja 1895.

Genua, „*la superba*“ zwana, jest jednym z największych i najpiękniejszych miast włoskich. Niestety, czas mój stawał się coraz bardziej ograniczony, i nie spełnia dzień jeden mogłem się w Genui zatrzymać. Ów przydomek „*la superba*“ zyskała Genua nie tylko z powodu piękności i bogactwa miasta, którego handel i ruch kupiecki jest bardzo wielki, ale przede wszystkim z powodu roli politycznej, którą w przeciągu wieków w historyi świata odegrała.

Rywalizując z Wenecją, prowadziła wojny przeciwko Pizanom, których ostatecznie w roku 1284 pod Alcloria zmiażdżyła. Później była widownią domowych walk między wielkimi rodami genueńskimi, jak *Doria*, *Spinola*, do

partyi Gibelinów i *Grimaldi*, *Fieschi* i innemi do Gwelfów należącemi.

Ze świetnych tych czasów pozostały drogocenne pamiątki, a zwłaszcza szereg pałaców, świadczących o dawniej potędze i sławie. Tym razem nie miałem czasu ich zwiedzać, ale z przeszłych podróży pamiętam niektóre, jak *Palazzo Rosso*, tak nazwany dla czerwonego koloru swęj fasady a przez jakąś patrycyuszkę genueńską wraz z cenną biblioteką i galerią obrazów pierwszorzędných mistrzów miastu podarowany. Są tam plótna *Andrea del Sarto* i *Veronesa*, *Tyceyana*, *Guerchina*, *van Dycka* i innych.

Naprzeciwnko tego pałacu wznosi się *Palazzo Bianco*, również z bogatą galerią i madonną *Rafaela*.

Później następują pałace *Doria*, ofiarowany *Andrzejowi Doria* „*pater patriae*“ zwanemu, *Durazzo*, *Balbi*, *Cambiaso* i inne, a wszystkie imponujące wielkością i bogactwem zbiorów.

Cała *Genua* zbudowana na kilku pagórkach, tak stromych, że ulice niektóre idą z góry na dół i trzeba prawie klusem po nich schodzić, przytem bywają tak wązkie, że naprzeciw siebie będące szczyty prawie się stykają. Górna część miasta leży o kilkaset metrów wyżej nad dolną. Możesz więc sobie wystawić, jaki widok

się ma z góry na okolicę, morze i port. Ten ostatni, będący jednym z najwspanialszych, jakie widzieć można, zajmuje mniej więcej milę kwadratową i bywa oświetlany olbrzymią latarnią elektryczną 125 metrów wysoką.

Ostatniemi czasy port ten został znacznie powiększony i marmurowemi wybrzeżami i statuami upiększony przez księcia *Gallierę*, który na ten cel dwadzieścia milionów lir ofiarował. To nie przeszkadza, że biedny ks. Galliera, jak mi opowiadano, zatrzasnął się parę lat później w swęj żelaznej szafie i tam życie zakończył. Gdy go później żona tam znalazła, musiał widok ten oryginalnie na nią oddziałać, gdyż zapisała cały prawie majątek, wynoszący sto milionów franków, cesarzowej Fryderykowej.

Kościółów, jak w każdym mieście włoskiem jest dużo. Najokazalszym jest *San Lorenzo* czyli katedra. W kościele tym jest dziwna miskulancya stylu romańskiego, gotyckiego z rennaisansowym; może dla tego, że od pierwotnego wybudowania w początku samym XII wieku bywał kilka razy restaurowany. Fasada jest cała z białego i czarnego na poprzek kładzionego marmuru. Wewnątrz kościoła najciekawszą jest kaplica św. Jana Chrzciciela z szczątkami świętego, z Palestyny podczas

wojen krzyżowych przywiezionemi i kilku statuami Sansovina.

Między bogatemi bardzo skarbami można tu oglądać czarę ze szkła szmaragdowego, z której Chrystus miał pić przy ostatniej wieczerzy.

Z innych kościołów zwiedzałem bogaty w marmury i złocenia, do Jezuitów należący, kościół św. Ambrożego z końca XIV wieku. Jest tam ładne Wniebowzięcie Guido Reniego i piękny obraz św. Ignacego przez Rubensa. Między kosztownemi marmurami widziałem cztery czarne kolumny monolitowe, sprowadzone ze znanego mi Porto Venere.

Najbogatszy jest kościół św. Annuncyaty, pełen pysznych marmurów rzeźbionych i inkrustowanych; dalej *St. Maria in Carignano*, ząd śliczny widok na port, *St. Stefano* i inne, których nie pamiętam.

Co do ogólnej cechy miasta, to widać, że musi być bogate. Ruch na ulicach, paradne sklepy, hotele, powozy, wszystko razem daje polor stołeczny.

Niektóre nowe ulice i place, wysadzone najrzadszemi Południowemi drzewami i krzewami są prześliczne, chociaż nicodpowiednie do stylu całego miasta.

Po objechaniu portu, zwiedzeniu najważniejszych ciekawości i zjedzeniu najgorszego obiadu, jaki w życiu mem jadłem, opuściłem przed zachodem słońca Genuę, udając się do Medyolanu.

Nim ją opuścę zupełnie, pragnę choć w paru słowach wspomnieć o willi i ogrodzie *Pallaricini*, ulubionym spacerze Genuńczyków i mieszkańców Riwieri.

Myślę, że mało ogrodów podobnych jest na świecie, nie tylko pod względem położenia, gdyż terasami dotyka morza, ale przede wszystkim Wschodnią zupełnie wegetacją i zbytkiem, z jakim jest urządzony. Są tam zupełne lasy cedrów, magnolii, drzew różanych, azalei i kamelii, oraz najrzadsze rośliny dalekiego Wschodu, jak kawowe, waniliowe, kamforowe, trzcina cukrowa i t. d. Między drzewami rozrzucone są kioski, pałace, pagody chińskie, świątynie indyjskie i meczety tureckie, oraz groty stalaktyków i jezioro podziemne. Z tych paru słów możesz sobie wystawić, co to za cud świata, i jacy szczęśliwi ludzie, którzy podobne cuda posiadają.

O drodze z Genuy do Medyolanu nie wie e Ci mogę napisać; w miarę oddalania się od Genuy pewien smutek mnie ogarniał, gdyż coraz więcej ku Północy dążyłem. Rano tego

dnia widziałem palmy, cyprysy, wieczorem już zmiana zupełna i wegetacya Północą zmrożona. Minęliśmy góry, przelecieliśmy przez kilkanaście tuneli, i powoli rozpoczęła się wielka, urodzajna lombardzka płaszczyna.

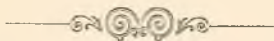
Dwóch panów zemną jadących opowiadało mi ciekawe szczegóły o urodzajności i bogactwie téj okolicy. Ponieważ lata bywają zwykle suche, przeto pocięto całą Lombardya tysiącami kanałów i kanalików, oblewających pola i łąki. Te ostatnie odznaczają się taką bujnością trawy, która nawet w zimie rośnie, że ją do dwunastu razy na rok koszą. Główną jednak produkcją tworzy uprawa ryżu, hodowla bydła, fabrykacya parmezanu i jedwabnictwo na wielką skalę prowadzone.

Owe bogactwo kraju narażało też Lombardya od najdawniejszych czasów na zazdrość pojedynczych szczeptów europejskich, i była ona widownią i polem licznych wojen i napadów.

Krótko przed Medyolanem rozpoczęła się gwałtowna burza, a po niej ukazały się dwie prześliczne tęcze. Towarzysze moi podróżni twierdzili, że to niezwykle zjawisko natury, gdyż nigdy podobnie silnych i wyrazistych kolorów nie widziano. Nazajutrz w Medyo-

lanie ogólnie jeszcze o tym fenomonie rozprawiano. Wśród ślicznej pogody, jasnego zachodu słońca i zapachu siana zroszonego burzą przyjechaliśmy do Medyolanu.

Zd. Cz.





List XXXI.

Medyolan, 4 maja 1895.

Medyolan, to już nie Włochy; przynajmniej nie takie, jak Wenecya, Florencya i inne miasta Południowe.

Ulice szerokie, sklepy paryzkie, restauracje europejskie, zbytek, szyk i w ogóle inna zupełnie, niż na Południu atmosfera. Tłomaczy się to nie tylko położeniem miasta, wysuniętego tak bardzo na Północ, ale także polityczną historią Medyolanu i licznymi przewrotami narodowemi.

Z Medyolanu starego, rzymskiego, nie ma już śladu, a z czasów wojen Gwelfów z Gibelinami mało się zostało, gdyż Fryderyk Rudobrody kamienia na kamieniu nie zostawił, i dopiero pod panowaniem rodziny Sforzów

potężnieje Medyolan w dobrobycie a przede-
wszystkiem w sztuce.

Na horyzoncie, wyjątkowo pogodnym, uka-
zuje się jasna gwiazda, której promienie nie-
śmiertelnym świecą blaskiem: powstaje *Leo-*
nardo da Vinci a za nim świetlana rzesza uczeni
i naśladowców.

Jedną jeszcze chwilę z przeszłości Medy-
olanu chcę tu wspomnieć, chwilę nie tak dawną,
która jednak wiekopomnymi głoskami w dzie-
jach świata się zapisała. Nie ma prawie miasta
w Europie, a cóż dopiero we Włoszech, przez
któreby Napoleon I zwycięzko nie przeszedł.
Jak trąba powietrzna, porywająca jesienne
liście, tak Napoleon I porwał wszystkie narody
do wojennego tańca, wśród którego królestwa,
jak tabakierki, rozdawał.

Przed jego postacią klęczą wieki, choć mie-
siące, dni i lata prześladować go mogły, hi-
storya może mu bluźnić, pojąć i poniżyć go
nie może. W utworzonym przez niego kró-
lestwie włoskiem był Medyolan przez 20 blisko
lat stolicą.

Chcąc o Medyolanie pisać, trzeba by całe tomy
zapełnić, a połowę z nich samą katedrę po-
święcić.

Nie porównuję jej z bazyliką św. Marka,
katedrą pizańską i tylu innymi kochanymi ko-

ściolami Południa, ale przyznać trzeba, że jest ona fenomenalnym arcydziełem i że ją słusznie mieszkańcy Medyolanu ósmym cudem świata nazywają.

Patrząc się na nią, przypominają się baśnie z tysiąc nocy i jedna, gdzie mowa o kryształowych i alabastrowych zamkach czarnoksiężników, i wydaje się zwłaszcza przy oświetleniu księżyca zjawiskiem nadziemskim. Pojąć trudno, że się znaleźli ludzie, którzy doprowadzili do końca tę zabawkę olbrzymów, że ich siły i fantazja nie opuściły w obec ogromu zadania; z drugiej wszelako strony żał serce ściska, że się nie znaleźli ludzie, którzyby ochronili katedrę od niektórych błędów architektonicznych i ustrzegli od pewnego fatalnego podmuchu Północnego gotycyzmu, który nie zdołał wprowadzić jej oszczędzić, ale stał się przyczyną sfałszowania stylu.

Cały szereg artystów, począwszy od *Henryka z Gmündena*, Niemca w XIV wieku, pracował nad katedrą, a ostateczne jej wykończenie zawdzięcza się Napoleonowi I.

O ile zewnętrzna strona katedry bawi oko swym czarodziejskim przepychem, o tyle wnętrze podnosi ducha i usposabia uroczyście. Wchodząc do tego ogromnego lasu rozrzuconego gotycyzmu, ma się to samo uczucie grozy

i powagi, co wchodząc do tysiącletniego lasu dębowego, którego rozłożyste konary, het gdzieś wysoko, pod niebios sklepieniem się wiążą. Parę liczb, które tu przytoczę, dają miarę ogromu katedry: Długość jęj wynosi 150 metrów, szerokość 88, wysokość kopuły 68, więzy sto kilka. Zawiera ona wewnątrz jedenaście tysięcy osiemset metrów kwadratowych i miejsca dla 40 tysięcy osob; jest też po bazylice św. Piotra i katedrze w Seville największą świątynią w Europie.

Nadzwyczaj ciekawą jest męcżąca trochę wycieczka na dach katedry, robiący wrażenie marmurowego wielkiego miasta, gdyż jest tam 132 wież, a posągów świętych pańskich przeszło dwa tysiące. Wchodząc między te towarzystwo aniołów i świętych, mówiących, śpiewających, modlących się, ma się uczucie, że to wiec duchów lub skamieniała procesya mieszkańców nieba.

Widok z dachu jest wspaniały. Nie tylko na Medyolan i jego malowniczą okolicę, ale sięgający aż do szczytów Mont Blanc, Mont Cenis, jeziora Como i Garda.

Dodać jeszcze muszę, że będąc rano w katedrze, slyszalem prześliczny śpiew i muzykę orkiestry umieszczonej w loży koło wielkiego ołtarza i slychałem mszy św. przez jakiegoś

potentata kościelnego odprawianej, z której nie rozumiałem. Później dopiero dowiedziałem się, że w całym Medyolanie i Lombardyi istnieje rytm Ambrozjański, o którym, niestety, mam wiadomości bardzo niepewne.

Przed katedrą jest plac wielki kwadratowy, otoczony wspaniałymi pałacami, jak palazzo Reale i pałac arcybiskupi, zbudowany w szesnastym wieku przez *Pellegriniego*.

Z placu tego wchodzi się w pasaż Viktora Emanuela, będący największym pasażem w Europie; kosztował on ośm milionów franków. Biedny architekt Mengoni, który go budował, spadł z rusztowania i zabił się.

Drugą największą ciekawością, wabiącą cudzoziemców w Medyolanie jest *Wieczera Pańska Leonarda da Vinci*. W istocie tyleby o niej pisać można, ile jej widać, to jest prawie nic, a jednak, gdy się przejdzie przez krużganki ślicznego klasztoru *S. Maria della Grazie*, z widokiem na zgrabną kopułę Bramanta i zobaczy się ową resztkę wielkiego arcydzieła, trudno się powstrzymać od pewnego wzruszenia i smutku. Gdy po okupacyi Medyolanu Napoleon wojsko swe po wszystkich wielkich gmachach lokował i do refektarza klasztoru delle Grazie zajechał i *Wieczere* Leonarda zobaczył, napisał wprawdzie z konia rozkaz opuszczenia klasztoru, co

jednak nie przeszkadza, że jakiś idyotyczny generał urządził tam stajnię i pozwolił pijanym soldakom ceglami na obraz rzucać.

Ponieważ dzisiaj już tylko są ślady owęj malatury, wolałem przeto zasunąć firankę znajdującą się przed oknem i patrzeć na obraz w półcieniu; wtedy fantazyja dopomaga, i widzi się szczegóły, które w rzeczywistości już nie istnieją.

Wielkiem arcydzieło to być musiało, skoro się pomyśli, że Leonardo da Vinci całe lata do malowania go się przygotowywał, wprawiając się na starych mozaikach z czasów chrześcijańskich i freskach Giotta.

Miesiącami chodził po zaułkach i przedmieściach Medyolyanu, szukając typów odpowiednich na postacie Apostołów, a zwłaszcza Judasza. Wymalowawszy, dał im wyrazy oburzenia, zadziwienia, smutku i ciekawości, kogo Chrystus ma na myśli, przepowiadając blizką zdradę.

Wieczna szkoda wieczerzy i tych licznych arcydzieł Leonarda, o których tylko z historii wiemy, gdyż spuścizna jego tak mała, a z owęj spuścizny jeszcze połowa zniszczona. A ileż stworzyć mógł ów twórca potężny i mistrz całej falangi geniuszy, będący równocześnie malarzem, rzeźbiarzem, architektem, inżynierem,

mechanikiem, muzykiem, improwizatorem i do końca życia tak imponująco pięknym!

Umiał on połączyć najsubtelniejszą znajomość anatomii i jasnego, trzeźwego pojmowania sztuki, z czułem, pełnem poezji marzycielstwem i ową jemu właściwą miękkością kolorytu, z dumą Michała Anioła, gracyą Rafaela i słodyczą Corregia.

Czy może być w dziejach sztuki chwila więcej elektryzująca, jak ów wyścig dwóch największych geniuszy, jakich świat artystyczny wydał, Michała Anioła i Leonarda da Vinci, którym polecono wymalowanie dwóch wielkich płócien do sali obrad we Florencyi?

Rywalizacya dwóch słońc, dwóch bogów, którzy, jak byli w pracy nieprześcignionymi, tak też w zwycięstwie palmy dzielić musieli, gdyż nie wiedziano, czyja kreacya lepsza; w każdej zaś przebijały się charaktery obu mistrzów. Michał Anioł stworzył to, co było jego siłą i potęgą. Nagie ciała rycerzy, wybiegających z wody, by na hasło wojenne co prędzej w ogień walki się rzucić. W obrazie tym mógł dać folgę owemu, jemu tylko dozwolonemu wymodelowaniu szeregu ciał młodych i pięknych, jak bogów postacie, w wolności i dumie mękości.

Leonardo da Vinci, olbrzymi w idealizowaniu natury, posuniętem do ostateczności wiernością i prawdziwością, przedstawił walkę rycerzy konnych, zdobywających sztandar.

W obrazie tym taka orgia kolorów, taki huragan bitwy, iż się wydaje, że się nie tylko widzi, ale i słyszy bitwę.

Łatwo to pojąć, biorąc na uwagę, że Leonardo był zapalonym jeźdźcem, ujeżdżającym z namiętnością najdziksze konie, że był sławnym w fechtowaniu i wszelkich ćwiczeniach ciała, a przytem jak wyżej wspomniałem, tak nadzwyczajnie wiernym w malowaniu każdej rzeczy, czy portretu, czy karykatury, czy postaci Chrystusa!

Trudno go nie kochać i nie cenić za to, co stworzył sam i czego nauczył innych, z których dwa tylko nazwiska tu wymienię: *Fra Bartolomeo* i *Andrea del Sarto*. Jak dwaj bratni geniusze postępują oni za trumną mistrza, sypiąc kwiatami i perłami swych arcydzieł.

Zd. Cz.





List XXXII.

Medyolan, 5 maja 1895.

Gdy się ma w pamięci kościoły florenckie i weneckie, to się nie ma ochoty ich wspomnienia widokiem innych, mniej pięknych zacierać. Dla tego też trochę pobieżnie zwiedziłem kościoły medyolańskie, a tu się na wyliczeniu tylko niektórych ograniczę.

Kościół św. Karola Boromeusza nowożytny i w formie Panteonu rzymskiego budowany.

S. Maria Presso S. Celso, według planu Bramanta, z paru dobrymi obrazami.

S. Lorenzo, najstarszy i bardzo ciekawy. *S. Ambrogio*, ufundowany przez samego świętego Ambrożego na ruinie dawnej świątyni Bachusa, pełen starych nagrobków z płótnami Luiniego, freskami Borgognona i starym, nadzwyczaj bogatym, drogiemi kamieniami wykla-

danym oltarzem, wreszcie *S. Maria del Carmine*, St. Maurizio z freskami Luiniego i inne, których nie pamiętam.

Nadzwyczaj bogaty zbiór cennych obrazów znajduje się w wielkim pałacu *Brera*, będącym niegdyś kolegium jezuickim, dziś gmachem, przeznaczonym na galerią obrazów, wielką bibliotekę, obserwatoryum i t. d.

W wielkiem podwórzu pałacowem, otoczonym pięknymi kolumnami, wznosi się posąg Napoleona I, jako Cesarza rzymskiego, dłuta Canovy. Jest on tak pięknym, że napatrzeć się nań nie można. Oglądając go, przypomniałem sobie zdanie, które Canova kiedyś w liście do Napoleona umieścił, że „*wszystkie religie żywią sztukę, ale żadna tak nie żywi, jak katolicka*“.

Twierdzenie to sprawdza się, ledwo się drzwi galerii *Brera* przejdzie. Kilkaset drogocennych płócien pierwszych mistrzów włoskich, a z tych prawie wszystkie religijnej treści. W całej tej bogatej galerii przebija duch Leonarda, gdyż dużo w niej arcydzieł jego uczeni. Przewszystkiem Luiniego, nieraz tak przypominające Leonarda, że nie łatwo je w pierwszej chwili odróżnić; dla tego kto lubi jednego, musi lubić drugiego. Jest on mu podobnym, nie tylko w miękkości kolorytu i owych charakte-

rystycznych połączeniach, ale i w całym sposobie malowania i poczuciu piękna.

W galeryi Brera dużo jego obrazów i fresków, sztucznie tu przeniesionych, zwiedzałem, ale głównie jeden obraz mi w pamięci utkwiał, to jest św. Katarzyna, niesiona przez aniołów do nieba. Aniołowie, zapatrzeni w zmarłą, mają pewną słodycz kobiecą, a św. Katarzyna wygląda, jakby nie umarła, ale z rozkoszy omdlała.

Mniej czułym wydawał mi się *Mantegna*, zwłaszcza w obrazie przedstawiającym złożenie Chrystusa do grobu. Wyrazy boleści na twarzach Matki Boskiej i św. Jana są zbyt realistyczne; św. Jan zdaje się wrzeszczeć z bólu.

Oryginalnym jest obraz Bonifazja, zatytułowany: „Mojżesz wyratowany z wody“. W obrazie tym wszystko można dojrzeć z wyjątkiem Mojżeszka, ale wykonanie prześliczne.

Malarza *Luca Signorelli*, o którym wystarczałoby powiedzieć, że Michał Anioł studyował jego rysunki i brał z nich wzory, pamiętam Matkę Boską, otoczoną girlandą dziwnych aniołów i kilka Madonn w niebieskich, z daleka widnych sukniach, oraz Chrystusa biczowanego. Są tam piękne *Guerchini*, liczne obrazy *Bellini*, *Tycjan* przedstawiający, jeżeli się nie mylę, św. Hieronima, dwa portrety kobiece przez *Rembrandta* i *Van Dycka* i śliczna głowa

Chrystusa z ostatniej wieczerzy *Leonarda da Vinci*.

Największą jednak ozdobą galeryi jest wielki obraz Rafaela, przedstawiający zaślubiny Matki Boskiej, ogólnie „*Sposalizio*“ zwany, a w którym jest taka młodość i świeżość uczucia, takie skarby czułości, skromności i elegancyi, jakie tylko ów wiecznie młodzieńczy Rafael posiadał. A w *Sposalizio* jest on zaprawdę młodzieńczy, gdyż obraz ten malował w 21 roku życia. Była to więc jutrzienka zwiastująca dopiero słońce. W wyrazach twarzy z życia wziętych nie widać naśladownictwa starych mistrzów, tylko przejęcie się młodzieńczą poezją i miłością.

Matka Boska, to nie ta sama, którą w *madonnie della Sedia* podziwiamy. Tam już jest Bogarodzicą, a tu młodziutką panienką, nieśmiałą i prawie niezgrabną. Oczy jej spuszczone, a na głowie welon, ledwo się dotykający blond włosów. Z dziewiczą wstydlivością podaje rękę św. Józefowi, który wygląda zamyślony i smutny, jakby pod ciężarem odpowiedzialności, która z tą chwilą na niego spada, podczas gdy twarze jej towarzyszek zdają się zdradzać radość, ale i pewną zazdrość. A jaka technika w całym układzie, i jaka perspektywa w krajobrazie, na którym kopuła tak szczęśli-

wie pomyślana i udana, że ona sama wystarcza, by Rafaelowi zjednać imię skończonego architektury.

To nie przeszkadza, że niektórzy malarze, mówiący o malarstwie jak szewcy o butach, nie odczuwają wyższości starych mistrzów i bawgraczami ich zowią.

Najmilsze chwile w Medyolanie spędziłem w arcymiłym domu państwa L. C., z którymi od lat wielu ściśle mnie łączą stosunki przyjaźni. Mają oni duży pałac z pięknym ogrodem, a salon ich jest powszechnie znaną i cenioną akademią muzyczną. Posiadając znaczny bardzo majątek, podróżują często i to zawsze w celach artystycznych: do Bayreuthu, by słyszeć Wagnera utwory, do Londynu na Paderewskiego, do Paryża na koncerty i t. d. Ich salonowi zawdzięcza Medyolan dzisiajszą muzykę kościelną, gdyż sam hr. L., będący niepoślednim artystą, poświęcił się ostatniemi czasy głównie studjom starej muzyki kościelnej i niedawno jeszcze w Ratisbonie nad nią pracował. Jest on prezesem Towarzystwa muzycznego w Medyolanie i urządza w swym domu częste koncerty pierwszorzędnych sił. Hrabina L. jest osobą nie mającą jeszcze 30 lat i w całej pełni swój piękności. Nigdy jej tak pięknej nie widziałem,

jak zeszłego wieczora, gdy w obiadowej toalecie honory swego salonu robiła.

Zwyczajem włoskim obiad był późno, po nim miła rozmowa przed szeroko otwartymi drzwiami na ogród, z którego promienie księżyca i woń bzów kwitnących dyskretnie dochodziły, a około dziesiątej rozpoczął się koncert. Żalowałem tylko, że w ostatniej chwili przyszła kartka od Verdiego, uniewinniającego się, że dla podagry tego wieczora przyjść nie może.

Hrabina L. śpiewała tak, jak tylko ona śpiewać umie. Ów w całym Medyolanie znany fenomenalny głos niejednego arcyekapłana sztuki do salonu tego zwabił. Rubinstein i Gounod byli tam codziennymi gośćmi niedawno jeszcze.

Hr. L. grał na organach, ale na jakich! Do ćwiczenia się w muzyce kościelnej harmonium nie wystarczało, trzeba było organów takich, jakie w katedrach być zwykły. Dowiedzieli się państwo L., że Anglik czy Amerykanin pewien wynalazł organy, których tylko klawiaturę umieszcza się w salonie, a one same w suterrenach; pojechali tedy do Londynu i kupili je. W życiu mem nie słyszałem podobnej muzyki i podobnych tonów. Dwoma otworami, do kaloryferów podobnemi, dochodzi głos do salonu pełny i dźwięczny, ale przez odległość i pewne

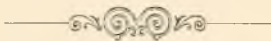
przytłumienie tak cudowny i nadziemski, że pojąć nie można, z kąd owe tony anielskie dochodzą.

Później nastąpiły duety, kwartety i chóry głównie z utworów Haendla, Glücka, Palestriny i Bacha. Towarzystwo tylko męskie z wyjątkiem pani domu i uroczej „contessiny“ dwunastoletniej, składało się z kilkunastu panów, bardzo muzykalnych, na przemian w koncercie udział biorących.

Niestety, nie pamiętam ich nazwisk na „ini“, „oni“ i „ani“, prócz jedyne go pana de Nosedą, nadzwyczaj pięknego, milego i artystycznie wykształconego człowieka. Mówiliśmy dużo o sztuce, a zwłaszcza o malarstwie, i z zadziwieniem słuchałem, jak mówiąc o pojedynczych starych mistrzach, cytował mi ich dzieła znajdujące się w Polsce i w posiadaniu mej rodziny.

Wieczór ów artystyczny, przeplatany rozmową, herbata i znakomitemi winami z winnic hrabiego L., przeciągnął się do czwartej z rana a pozostał mi w pamięci na zawsze.

Zd. Cz.





List XXXIII.

Na jeziorze Como, 6 maja 1895.

Spędziwszy ranne godziny w katedrze na oglądaniu różnych jej ciekawości, widziałem między innymi krucyfiks, który św. Karol Borromeusz po Medyolanie w procesyi boso obnosił, aby miasto od zarazy uratować. Podobne procesye odbywały się tu w szesnastym wieku podczas wojny hiszpańskiej, głodu i dżumy, a urządzone głównie przez mnicha *Tomasza Nieto*, który, jak drugi Savanarola, cały lud do pokuty zachęcał.

Czterech księży w ornatach niosło wielką skrzynię, makatami pokrytą, na której Najświętszy Sakrament ustawiano, co arkę przymierza naśladować miało, którą żydzi w koło murów Jerychońskich obnosili. Tysiące ludzi

wszystkich stanów postępowało boso w téj procesyi, poczem wchodzili do katedry krzyząc w niebogłosy „*Misericordia! Misericordia!*“ tak, iż marmurowe ściany świątyni drżały.

Tego rodzaju publiczne wykonywania pokuty często we Włoszech się powtarzały, czy to przez biczowanie się, czy kilkodniowe straszne posty, czy też procesye. W kraju, w którym poczucie piękna i zmysł artystyczny szedł zawsze w parze z lubowaniem się w zewnętrznej okazałości i zbytkach, dochodzono w 15 zwłaszcza wieku do niepojętych dziś dla nas widowisk.

Burchhard opisuje między innemi procesyą Bożego Ciała za Piusa II. w *Viterbe*, która wychodziła z namiotu bogatego i posuwała się do katedry wśród ustawionych po obu stronach teatrów, w których przedstawiano różne religijne, historyczne i allegoryczne sceny, jak mękę Chrystusa, Zmartwychwstanie i t. d. Na placu katedralnym ustawiony był grób Matki Boskiej, który na dany znak się otwierał i Matka Boska na skrzydłach Aniołów wznosiła się ku niebu, gdzie Chrystus ją przyjmował, koronę na głowę wkładał i przed tron Boga prowadził.

Podobna uroczystość odbyła się w Reggio na wjazd tryumfalny, nie pamiętam już jakiego księcia. Uroczystość polegała na tem, że w po-

wietrzu unosił się św. Prosper, patron miasta, a nad nim baldachim, trzymany przez 4 aniołów. Skoro pochód się zbliżył, dwaj aniołowie uklękli przed świętym, prosząc go o klucze miasta i berło, które następnie księciu wręczyli. Wtedy święty powstał z tronu i witał go przemową, w górze zaś krążyły chóry aniołów, śpiewających pieśni radosne. Następowaly różne inne zjawiska nadpowietrzne, jak wozy tryumfalne napelnione cnotami, okręty ciągnione przez potwory morskie, a gdy wszystko razem w koło świętego Prospera się ustawiło, ujrzano Piotra świętego, również glorią anielską otoczonego, jak z nieba zstępował i koronę na głowę księcia wkładał.

Opisy te mogły by się wydać przesadzonymi, gdyby nie to, że podobne widowiska do dziś dnia w Medyolanie się powtarzają. Gdy zwiedzałem katedrę, pokazywano mi rodzaj sceny, kilka metrów kwadratowych wynoszącej, a przedstawiającej obłok, nad którym różni majstrowie byli zajęci przygotowaniami do uroczystości, która w tych dniach się odbędzie, a od średnich wieków corocznie na dzień św. Krzyża powtarzana bywa. Biskup otoczony klerem i rojem dzieci za aniołów przebranych, unosi się na owym obłoku za pomocą nadzwyczajnej

maszyneryi, przez Leonarda da Vinci, czy też Bruneleschiego wymyślonej, aż na szczyt wieży katedralnej, w którym przechowany jest kawałek Krzyża świętego. Zabrawszy relikwią, spuszcza ją na owym obłoku wśród śpiewów, bicia dzwonów, otoczeni kłębami kadzidel, na ziemię, i wtedy odbywa się procesya, w której bierze udział kardynał, setki księży, zakonników i tysiące ludu.

Po procesyi w ten sam trochę karkołomny sposób odnosi biskup z swem otoczeniem relikwią na szczyt wieży, trzysta dwadzieścia cztery stóp wysokości. Winszuję, ale nie zazdroszczę.

Dzisiajsze uroczystości nie mogą się jednak równać z średniowiecznymi, zwłaszcza w Rzymie i to podczas karnawału, gdzie bywały wyścigi koni, bawołów, osłów, starców, dzieci i żydów.

Papieże, zwłaszcza Syxtus IV, lubili tego rodzaju harce, i znane są czasy jego panowania jako obfitujące w zabawy, w których sam brał udział, przechadzając się po mieście wśród masek. Kardynałowie posyłali sobie nawzajem całe wozy maskami napelnione.

Inny rodzaj zabaw i uroczystości był swego czasu w Wenecyi, gdzie karnawał i wszelkie

fety wśród morskich odbywały się dekoracyi. Z jakim przepychem obchodzono zaślubiny doży z Adryatykiem, opisywali kronikarze, śpiewacy i poeci.

Nie pamiętam już podczas jakiej fety wypłynęła na morze olbrzymia kula, globus przedstawiająca, w której wnętrzu wielki i fantastyczny bal się odbywał.

Na przyjęcie dwóch księżniczek z rodu Ferrara odbywały się wodne igrzyska, przechodzące zbytkiem i kunsztem wszelkie pojęcia. Wypłynęła wtedy flota milę długości wynosząca, a składająca się z tysięcy łodzi połączonych girlandami kwiatów i pokrytych złotogłowiami i makatami. Łodziami temi kierowali najpiękniejsi młodzieńcy w kosztownych strojach, a w powietrzu krążyły geniusze, nimfy i anioły. Ukazał się Orfeusz, ujarzmiający dzikie bestye muzyką, Ceres w łodzi, ciągnionej przez smoki i Bachus w wozie, zaprzężonym panterami. Po brzegach tritony i żywe dzieci od góry do dołu złocone, lały wino z konch i muszli.

Pewne zamięłowanie do zbytku pozostało u mieszkańców Medyolanu do dzisiejszych czasów. W żadnym mieście nie widziałem takiego bogactwa w teatrach, jak w operze medyolańskiej. Dnzo pięknych kobiet w łożach, a wszystkie błyszczące dyamentami i najkosztowniej-

szemi toiletami. Na wielkich afiszach teatru Scala czytałem dużemi literami wydrukowane wslawione w ostatnich czasach nazwisko: „Prima ballerina *signorina Krzesińska*“ z Petersburga...

Nim opuszczę Medyolan muszę jeszcze wspomnieć o tak zwanych *Giardini pubblici*, ulubionym spacerze Medyolańczyków, gdzie w alei kilkasetletnich kasztanów daje sobie co dzień, koło drugiej po południu rendez-vous cała arystokracja miejska w powozach, konno, na bicyklach i piechotą.

Przyznaję, że się mniej na owę arystokrację, jak na jej konie i zaprzęgi patrzałem, które mi nie mało zaimponowały.

Wzdłuż corsa ciągnie się długi, ślicznie utrzymany park ze stawami, wyspami, wodospadami i dużemi trawnikami, po których wśród egzotycznych drzew i kwiatów spacerują białe pawie, złote bażanty i melancholiczne pelikany.

Niestety, czas wyjazdu nadszedł, i trzeba było manatki pakować. Przed opuszczeniem hotelu, przyniesiono mi wielką księgę, w której wszystkie wielkości świata od kilkudziesięciu lat w hotelu tym mieszkające się unieśmiertelniały. Dla reszty ludzkości księga ta widocznie zamkniętą była. Zapisalem więc nazwisko moje, obok świetnych imion histo-

rycznych i politycznych mężów, którzy ostatniemi czasy przez Medyolan przejeżdżali, jak major Wissman, księżęta Wiktor Bonaparte i Henryk pruski, Emile Zola i kilku Polaczków z dopiskiem „*comte*“, ale nie wiem „*z kąd!*“

Zd. Cz.





List XXXIV.

Bellagio, 7 maja 1895.

Chcę jeszcze oddalić od siebie ile możności chwilę przejazdu przez granicę włoską, postanowiłem zatrzymać się w *Como*, lub gdzie bądź w bliskości uroczego tego miasteczka, znanego mi tylko z okiem wagonu i romansów angielskich.

Krótką to jazda, trochę nad godzinę trwająca, ale śliczna, gdyż między górami i tysiącem kanałów poprzeżynanemi łąkami. Z miejscowości, przez które się przejeżdża, zasługuje tylko na uwagę *Monza*, miasteczko nie duże, ale posiadające katedrę z szóstego wieku, przez *Teodolindę*, królową Longobardów zbudowaną, w której się przechowuje korona żelazna, użyta przy koronacyi trzydziestu kilku królów lombardzkich, a która także ozdobiła skronie Napoleona I. Nazwana żelazną, gdyż wewnątrz

jéj tworzy wążka obrączka, zrobiona z gwoźdźcia, którym był Chrystus do krzyża przybity. Prócz téj korony dużo innych drogiech pamiątek w skarbcu Monzy się znajduje.

Jeszcze pare małych stacyjek, kilka tuneli i z wielkiej wysokości, na której pociąg się zatrzymuje, roztacza się malowniczy widok na miasto i jezioro Como.

Z pewną tęsknotą w sercu opuściłem wagon, gdyż wiedziałem, że chwile, które tu spędzę, będą ostatnimi we Włoszech.

Podobno ludzie konający miewają chwile jasnowidzenia, w których im się niebo otwiera i ukazuje swe rajskie splendory, które stósownie do bogobojnego lub grzesznego żywota uzyskali lub utracili; podczas gdy przed oczami jednych przesuwają się przyszłe gody, cuda i dziwy, uszu ich dochodzą aniołów pienia, i dusze ogarnia pewien przedświt niebiański, inni kończą konwulsyjnym dreszczem, widząc w nogach łóżka szatana, na ich duszę czyhającego.

Tak samo ludzie, znajdujący się w niebezpieczeństwie życia, mają chwile strasznej przytomności, w których, w obec mającej ich pochłonać fali morskiej lub zdruzgotać lokomotywy, przesuwa im się przed oczyma duszy całe

pasmo życia przebytego w najdrobniejszych nieraz szczegółach.

Na mnie czekała groźna fala Połnocy, mająca zmrozić wszystko to, czem słońce włoskie chmurne me niebo wyzłociło, i czekała na mnie lokomotywa z napisem „*Berlin*“, mająca przerwać ów sen rozkoszny, w którym byłem zagrożonym od kilku tygodni. Przed opuszczeniem téj cudnej krainy miałem ją raz jeszcze zobaczyć w całej aureoli piękności i kraszy, miałem się po raz ostatni napić z kielicha rozkoszy, z którego tyle słodczy w ostatnim czasie czerpałem. Jeszcze godzin kilka a zmuszonym będę zamknąć księgę „natchnień rzewnych i dźwięków śpiewnych,“ i wszystko będzie już tylko niewyraźnem jakimś słonecznem wspomnieniem minionego szczęścia i spokoju.

Przepląnałem więc jezioro Como i widziałem owe cudne brzegi, pokryte zamkami i willami, w których szczęśliwi ludzie mieszkają i dojechałem do *Bellagio*.

Opisywać owych miejscowości, zawieszonych jak jaskółcze gniazda na pagórkach oliwnemi drzewami porosłych, nie będę, gdyż bym się powtarzać musiał. Rywalizują one między sobą położeniem, otoczeniem i bogactwem architektury. Ich stopy kąpią się w szafirowych fa-

lach jeziora, wierzchołki w złotych promieniach słońca, a pnące róże, bzy i kamelie zakrywają je przed ciekawością zazdrosnych turystów i przed troską i kłopotami życia, przed któremi mieszkańcy ich uciekli i wodą, kwiatami i skalistym wybrzeżem się oszancowali.

Grzeczny i rozmowny kapitan wymieniał mi nazwiska właścicieli pojedynczych willi, które po większej części należą do mezaliansem skrompromitowanych książąt, dymisyonowanych ministrów i na dewocyi osiadłych baletniczek.

Przed Bellagio dochodzi jezioro do znacznej bardzo szerokości, a z powodu wysokich gór, od Północy się piętrzących, wegetacya staje się tak bujną i bogatą, że pojąć trudno, iż to Północne, a nie Południowe Włochy.

Bojąc się spotkania Buchholców, którzyby sam raj zeszpecić potrafili, wysiadłem w hotelu przez Anglików zamieszkałym. Miałem pokój na parterze z widokiem na jezioro. Wieczorem księżyc w pełni, której od Wenecyi nie widziałem, zaglądał do mego okna, a za hotelem była góra porośnięta lasem kwitnących rododendronów i drzew kameliowych. Czyż w obec tego można więcej pisać?

W nocy, nie mogąc spać, wyszedłem nad jezioro. Nad jego brzegiem u stóp marmurowych schodów kołysała się łódka, i wysoki,

wysmukły Włoch piosnkę jakąś rzewną nucił. Wsiadłem do łódki; pieśń ucichła i długo po jeziorze płynęłem. Gdy księżyc się obrócił, przekonałem się, że wiosłarz mój greckie miał rysy i piękny był, jak bóg pogański.

Z przeciwległych brzegów dochodziły mnie tony tarantelli, kawiarnie świeciły różnobarwnymi lampionami, które kołysane wiatrem na ciemnej fali jeziora krwawym szlakiem się odzwierciedlały; powietrze było przesycone wonią bzów kwitnących. Potem muzyka ucichła, światła poczęły gasnąć jedno po drugim, góry stały się fiołotowemi, i nic już widać nie było, tylko wielki, milczący księżyc, płynący po niebie, i moją łódź na jeziorze.

W tedy w duszy mój powstało życzenie, aby mózż tak w nieskończoność płynąć, patrzeć na księżyc i

Nad powietrze ulatując ciszą

Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą,

i byłbym może zapomniał, że za godzin parę ukaże się słońce, jak zegar wieczystego czasu i ze snu mnie zbudzi, ale raptem, wiatr jakiś zimny po jeziorze musnął, księżycowe szarfy pomącił i złotą falą o pierś łodzi uderzył. Było to pierwsze powitanie Alp Szwajcarskich, które mi falę przysłały, aby mi przypomnieć, że... nie dla psa kielbasa!

Następny dzień w Bellagio spędzony był dla mnie jednym pasmem najcudowniejszych wrażeń i radości. Nad mym hotelem wznosiła się wysoka góra, na której szczycie *villa Serbelloni* z olbrzymim parkiem, pełnym niespodzianek. Nad przepaściami dochodzi się przez małe tunele po wązią, krętą ścieżkę do miejsca, z kąd najpiękniejszy widok na jezioro *Como* i łączące się z niem jezioro *Lecco* i *Lario*.

Po jednej stronie dzikie skały wyrastające z wody, ponure i pełne grozy, po przeciwnej pagórki, pokryte zawsze tą samą bujną wegetacją, a wśród niej wille, pałace i zamki. Co jednak najwięcej mi się podobało, to owe małe gaiki z rododendronów, które całe w kwiecie purporowem najfantastyczniejszy kontrast z czarnymi cyprysami, liliowemi bzami i różnych odcieni zielenią tworzyły.

W parku Serbelloni są również lasy azaleowe, kameliowe i palmowe, prócz tego wszystkie możliwe rośliny, na dalekim Wschodzie i głębokim Południu rosnące.

Na przeciwko Bellagio leży *Cadenabbia*, śliczna miejscowość, głównie przez rodziny Medyolańskie zamieszkała. Obok sławna na całe Włochy księcia Saxe-Meiningen *villa Carolota*, a zbudowana przez rodzinę *Sommariva*, do której przez długie lata należała. W willi

parę pięknych rzeźb Thorwaldsena, z których jedna przedstawiająca tryumf Alexandra, niedawno za 350,000 franków nabytą została, oraz Canovy i Fontany. W olbrzymim ogrodzie widziałem między innymi cudami magnolię, mającą 50 centymetrów średnicy.

Zd. Cz.





List XXXV.

Lucerna, 8 maja 1895.

Opuściwszy Bellagio, płynęłam przez jezioro do miasteczka *Mennagio*, z kąd wychodzi górską koleją, łączącą jezioro Como z *Lugano*. Nadzwyczaj przyjemna jazda, gdyż wagony są w formie otwartego tramwaju, tak iż widok na góry i część jeziora niczem nie krępowany. Przez dwie godziny mniej więcej wije się pociąg między przepaściami, urwiskami i łąkami, na których stada krów się pasą a mnóstwo chłopaków koło wagonu biegnie, zbierając rzucone im sody.

W *Porlezza* opuściliśmy wagon i przesiedliśmy się na statek, przepływający całą długość jeziora *Lugano*, równie pięknego, jak *Como*. Brzegi mniej strome i pełne wiosek, malowni-

czo położonych, nad któremi zdala widne śniegiem pokryte Alpy.

Przyjechawszy do Lugano, zastałem już pociąg, który z Medyolanu przyszedł, i chwilę później przez granicę szwajcarską przejechałem.

Resztę mej podróży od granicy Włoch poczynawszy w krótkości tylko opiszę, gdyż szybko przez inne kraje przejechać pragnę, myślą, duszą i pamięcią z tamtej strony Alp pozostawszy. „*Nie można rękoma pracować nad jedną rzeczą, a umysłem nad drugą*“, pisał kiedyś Michał Anioł do Klemensa VII, i tego się też trzymać zamyślam.

Lugano minawszy, dostrzega się z wysokości znacznej, po której pociąg pędzi, wielką zieloną dolinę i część lago Maggiore, którego niestety nie zwiedziłem i może już nigdy nie zwiedzę. *Bellinzona, Biasca, Bodio* i następne stacye, otoczone są jeszcze Południową wegetacją drzew figowych, morwowych i t. d. Dołem wije się rzeka *Tessino*, brzegi jej, po większej części skaliste i malownicze. Powoli roślinność staje się więcej szarą, bezbarwną, w szczelinach gór już śniegu platy się widzi, i pociąg wznosi się coraz wyżej ku *Gotardowi*.

W przejeździe przez Gotard nie wiedzieć, co więcej podziwiać, czy śniegiem wieczystym pokryte pomniki Boskiej potęgi, których ko-

rony zdają się niebios dotykać, czy też śmiałość człowieka, który się na niedostępne te szczyty targnął, ich śnieżne łona tysiącnymi tunelami przeszył i nowy pomnik ludzkiej wiedzy, nauki i pracy zbudował. — Sam tunel św. Gotarda, blisko 15,000 metrów długi, zatrudniał dwa tysiące pięćset ludzi przez półtora roku i kosztował 57 milionów franków. Jest to bez wątpienia potężne arcydzieło, ale siedząc w ciemnym i dusznym wagonie, żal ogarnia, że tyle pięknych widoków przez ten czas się traci. Z pewną radością wita się znów światło dzienne. Niestety dwie Angielki jadące ze mną, zasłoniły okna po jednej stronie wagonu frankami. Matka, o tyle straszne babsko, spała, rywalizując sapaniem z lokomotywą, a druga rudowłosa córka Albionu pisała listy. Będąc zmuszonym na kimkolwiek zły mój humor wyrzucić, nadepnełem szkaradnemu pieskowi tych pań na ogon, w skutek czego piesek przeraźliwie zaskomlał, matka się przebudziła, a córka kałamarz przewróciła.

Zjadłszy nieszczęśliwy obiad w Goeschenen, nie powróciłem do wagonu, lecz pozostałem na balkonie odkrytym, jakie się często przy pociągach szwajcarskich widzi, i odtąd mogłem swobodnie na śliczną okolicę patrzeć. Od czasu do czasu wypadaliśmy z ciasnego gór

wąwozu, przelatując nad przepaścią po niewidzialnych mostach, na skałach opartych. Tunele niektóre budowane są spiralnie; również całe przestrzenie szyn jednych nad drugimi, tak iż czasami trzy razy się przez to samo miejsce przejeżdża, za każdym razem w innej wysokości. Co chwilę też widok się zmienia, a nieraz tak pełen grozy, że mimowoli w głowie się kołowroci.

Za Amsteg pociąg zaczyna z góry zjeżdżać, temperatura staje się cieplejszą i wegetacya znów bujniejszą. W Flüelen wysiadłem z pociągu, by resztę drogi przebyć statkiem parowym przez Vierwaldstätter See. Jezioro to, najpiękniejsze z jezior Szwajcarskich, łączy się z tylu wspomnieniami literatury wszystkich narodów, iż mimowoli przypominają się sceny z Schillera, z Słowackiego i z Wilhelma Tella Rossiniego. W ogóle Tell jest osią całego życia w okolicy Luzerny. Nie można się ruszyć czy piechotą, czy powozem lub statkiem, by nie natrafić na jakąkolwiek pamiątkę wielkiego bohatera. Gdy się równocześnie pomyśli, że bohater ten nigdy nie istniał, że ani nie wyskakiwał z łodzi, ani do jabłka nie strzelał, ani tych wszystkich pięknych rzeczy nie mówił i nie śpiewał, które na deskach teatralnych słyszymy, to trzeba siłę wyobraźni i potęgę li-

teratury podziwiać. To nie przeszkadza, że na tak zwanéj Tellsplatte, skale, na którą Tell owego susa z łodzi dał, a koło której przejeżdżałem, wybudowano kaplicę, w której raz na rok odbywa się nabożeństwo i kazanie patryotyczne, słuchane przez niezliczone tłumy poczciwych Szwajcarów.

Po przejechaniu Brunnen, miejscowości najładniej nad jeziorem położonéj, roztacza się przed oczyma całe potężne panorama Alp. Po prawéj stronie *Rigi*, po lewéj *Pilatus*, dalej *Jungfrau*, *Mnich*, *Wetterhorn* etc. Najwspaniałéj wygląda *Pilatus*; jego nagie, sine szczyty zwykle zamglone, odbijały się groźnie na niebie i dziwny kontrast tworzyły z zielonem i wesołem *Rigi*. Nie pamiętam już, na której stacyi wsiedli żołnierze, z wycieczki jakiejś powracający. Było ich dwunastu i wszyscy młodzi i przystojni. Zasiedli na pokładzie i po chwili rozpoczęli śpiewać na głosy różne wesołe piosenki narodowe, kończące się jodlowaniem. Ponieważ wieczór był wyjątkowo spokojny, przeto echo między skałami odpowiadało i całe jezioro pełne było śpiewu i wesołości.

Tymczasowo słońce schyliło się ku zachodowi i wszystkie góry zagorzały różaną luną. „*Alpenglühén, Alpenglühén!*“ — powtarzali wszyscy, a ja się cieszyłem, gdyż po raz pierwszy w ży-

ciu miałem sposobność oglądania tego zjawiska natury, o którym tylko w poezji czytałem i które na obrazach widziałem.

Trudno wyrazić, jakie Alpy są wtedy piękne. Jak wielkim bengalskim płomieniem oświetlone stają się różowemi, potem purpurowemi, wreszcie fioletowemi i powoli giną w pomroce.

Na statku powstał ruch, gdyż dojeżdżaliśmy do Luzerny. Wieże miasta rysowały się na wieczornem niebie, a górą Pilatus już nie różowy, ale jakiś czarny i ponury ku niebu się piętrzył.

W hotelu, w którym stanąłem, otrzymałem jasny i wesoły pokój z oknami i balkonem na jezioro. Spora paczka listów, która tu na mnie czekała, zaprzątnęła mi resztę wieczora, tak iż ciemno było, gdy na balkon wyszedłem, by świeżego powietrza zaczerpnąć. Pod schodami hotelu srebrzyła się woda jeziora cichym szelestem o brzegi uderzając. Alpy zwały się w jakąś czarną, nieforemną masę, wśród której gdzie niegdzie światełka migotały. O tej samej godzinie dnia poprzedniego płynąłem po jeziorze Como, a cztery tygodnie temu słuchałem pieśni *Giagelma*.

Sen złoty się skończył!

Zd. Cz.





List XXXVI.

Lucerna, 9 maja 1895.

Jednym z głównych powodów, dla których się zatrzymałem w Lucernie była chęć odwiedzenia znajomego, którego od szesnastu lat nie widziałem, a który mi się w pamięci na zawsze zapisał wdzięcznem wspomnieniem. Poznałem go na jeziorze zurychskim i znalazłem w nim drugiego „*Latarnika*“ Sienkiewicza. Gdy po powstaniu 1863 roku kraj opuścić musiał, przyjechał do Szwajcaryi bez grosza i protekcyi, lecz dzięki Szwajcarom, którzy się wtedy wygnańcami z Polski zajmowali, przytułek znalazł.

Trzydzieści dwa lat upłynęło od chwili, gdy młody Jabłonowski do Lucerny przybył i jako pomocnik aptekarski pracować zaczął. Dziś włos jego posiwiał, troska i praca czoło

jego zorała, ale on na duchu nie upadł, miejsca swego nie utracił i zyskał imię szlachetnego i zanego obywatela w całym kantonie.

Gdy go po pierwszym powitaniu i długiej wieczorniej gawędzie zapytałem, czybym mu nie mógł być w czemkolwiek pomocnym i jakąbądź usługę oddać, prosił mnie o książkę do nabożeństwa. Ma wprawdzie swoją z ojczyzny przywiezioną, ale stała się nieczytelną od starości, a może od łez, które nieraz z oczu wygnańca płynęły. Pytałem go dalej, czy by nie chciał do kraju powrócić? odrzekł mi, że tęsknić nigdy nie przestanie, ale czuje się znękanym i stanowiska swego stracić by nie chciał. Zaeny starcze, pozostań w Szwajcaryi, kraju wolności i swobody i dokonaj żywota w nieświadomości tego co się u nas dzieje, w przekonaniu, że Polska choć rozdarta na ćwierci, nie przestała być świętą, i jak Słowacki mówi niezawstydzoną niczem, nieśmiertelną!...

Lucerna, jako miasto mało posiada ciekawości wartych zwiedzenia; ograniczają się one na paru kościołach pustych, dwóch średnio-wiecznych mostach krytych i malowanych, oraz na lwie w skale wykutym według modelu Thorwaldsena, na pamiątkę poległych Szwajcarów w r. 1792 r.

Zwiedzając te wszystkie osobliwości, doszedłem do małego placu, na którym właśnie wojsko mustrę odbywało. Trudno wymyśleć coś weselszego, jak ćwiczenia tych kilkudziesięciu poczciwych Szwajcarów, o szerokich jowialnych twarzach, przypominające zbrojne występy teatralne, jakie się nieraz na przedstawieniach różnych oper widzi. Ponieważ plac ten znajduje się w lesie, przeto każdy żołnierz stara się stanąć pod drzewem, dającym mile oparcie plecom. Niestety muchy i komary przeszkadzają bardzo, przeto dozwolonem jest opędzać się chustkami do nosa, skoro za nadto dokuczają.

Mustra polegała na ćwiczeniu bronią; ilekroć ją do twarzy jak do strzału przykładano, przelożony, otyły oficer chował się za drzewo, aby jakiego przypadku nie było, co małej armii nie małą radość sprawiało.

Drugim numerem mustry było podawanie jeden drugiemu parolu wojskowego. Oficer szepnął jakieś słowo skrzydłowemu żołnierzowi, ten je powtórzył równie szybko sąsiadowi, ten następnemu i tak dalej. Parol ów jednak przy piątym lub szóstym powtórzeniu zamieniał się oczywiście na, Bóg wie jaki, dziwoląg; to też po pewnym czasie poczęli się otrzymujący go żołnierze niedowierzająco uśmiechać, a niektó-

rych nawet przekręcone słowo do takiej wesołości doprowadziło, że się formalnie kładli od śmiechu, bijąc się rękami po kolanach. Gdy nareszcie ostatni żołnierz, ów parol oficerowi powtórzył ten parsknął i za drzewo się oburącz chwycił by nie paść od śmiechu.

Jakieś fatum mnie prześladowało, że ile razy przez Szwajcaryą przejeżdżałem w zamiarze wybrania się na Rigi, zawsze deszcz lub chmury na przeszkodzie stawały. Tym razem, był to ostatni dzień mego pobytu w Lucernie, postanowiłem jakikolwiek czas będzie, na Rigi się wybrać. Zacząłem przypuszczać, że wszystko, co o tem piszą, jest może blaga i Szwajcarya jest krajem równie płaskim jak Księstwo Poznańskie i gór wcale nie ma! Wybrałem się przeto mimo chmur i odwaga moja była wynagrodzoną.

Przejechawszy jezioro, wsiadłem do kolei zębatej, która prawie pionowo w górę się podnosi. Ponieważ braknie słów na opisanie wrażenia i widoków, jakie się ma wśród jazdy, przeto ograniczam się tylko na ogólnej wzmiance Bedekera stylem.

Rigi ma 5400 stóp wysokości i otoczone jest trzema jeziorami: Vierwaldstädter, Zug i Lowerz, nie licząc mnóstwa innych, które widoczne ze szczytu. Są wprawdzie góry wyższe

i piękniejsze, ale równie rozległego widoku nie ma z żadnej, gdyż z Rigi roztacza się panorama na wiele mil wokoło. Jazda koleją nie przedstawia zbytniego niebezpieczeństwa, ponieważ lokomotywa idzie za wagonami, które popycha, ale nie jest do nich przymocowaną. W razie więc przypadku nie pociąga za sobą wagonów, lecz sama na dół spada.

Wjeżdżając na górę, przebyliśmy najprzód pasmo chmur, a następnie śniegu. Na szczycie, огоłoconym oczywiście z drzew, które tu już nie rosną, zastaliśmy najpyszniejszą pogodę, słońce i silny wicher. Widok, jak wyżej wspomniałem, nie do opisanie i przechodzący wszelkie oczekiwania. Jest się wzruszonym tym niepojętym majestatem, wobec którego głos zamiera. Z jednej strony malowniczo rozrzucone doliny, wśród których srebrzą się jeziora, zielenieją łąki i pstrzą się tysiączne stada pasącego się bydła; z przeciwniej strony pasmo groźnych Alp, dołem czarnych i ponurych, górą białych i lodowcami błyszczących. Podczas gdy z tamtej strony srebrnym dźwiękiem trzód jęczą dzwony, tu panuje przejmująca cisza i straszny, grobowy jakiś spokój, chyba „orły skrzydeł rozwianych żalobą rzucają cienie na lecące chmury.“

Krótko przed wieczorem doliny pokryły się mgłą srebrzystą, i zdawało się, że morze wielkie, bezmierne, całą okolicę zalało. Po chwili morze to stało się czarne, i tylko najwyższych gór szczyty, jak różowe wyspy z ciemności wyglądały, potem i one krepą się pokryły; jeszcze na chwilę Pilatus zagorzał i zgasł i ciemno się u stóp Rigi zrobiło.

Swoją drogą oryginalne wrażenie się ma, wyjeżdżając na szczyt Rigi i spostrzegając między śniegami i lodami, gdzie już wegetacya ustaje, ów olbrzymi hotel z trzema piętrami, z terasami, wykrawatowanemi kelnerami, telefonami, gazetami i Anglikami, którzy czekają na zachód, a potem na wschód słońca.

Miałem zamiar wjechać także na Pilata, ale niestety śniegu tyle jeszcze na nim było, iż kolej dopiero w czerwcu otworzoną być miała.

Zd. Cz.





List XXXVII.

B a z y l e a , 10 maja 1895.

Dziś rano opuściłem Lucernę, jadąc koleją zbudowaną przed pięciu dopiero laty, a uważaną za jedną z najpiękniejszych dróg w całej Szwajcaryi, łączącą Lucernę z *Interlacken* przez *Brünnig-Pass*. Początkowo jedzie się nad samem jeziorem, potem między górami i wąwozami, pod stopami Piłata. Z wszystkich miejscowości, przez które przejeżdżałem, najwięcej mi się podobała mała wioska *Lungern*, leżąca mniej więcej 2400 stóp wysoko. Trudno wymarzyć coś poetyczniejszego i więcej malowniczego, jak te kilkadziesiąt domków szwajcarskich, rozrzuconych w kotlinie, otoczonej niebotycznymi górami, z widokiem i ciągłym szumem kaskady, z wielkiej wysokości spadającej, białym przezroczystym welonem. Za *Lungern* kolej po-

czyna się potężnie wynosić w górę, i po chwili jest się u szczytu Brünig-Pass, 3000 stóp wysokiego.

Ponieważ pociąg posuwa się przez cały prawie czas nad brzegiem przepaści, przeto z pewną radością znalazłem się znowu u stóp góry. Trudno się też oprzeć obawie i zawrotowi głowy, patrząc na fantastyczną budowę całej tej kolei.

Na stacyi *Meiringen* przesiadłem się na statek, którym przepłynąłem śliczne jezioro *Brienx*. Jest ono około 3000 hektarów kwadratowych wielkie i otoczone przeważnie skałami.

Najładniejszym punktem owych wybrzeży jest sławny wodospad *Giessbach*, spadający z wysokości 350 metrów w sześciu piętrach do jeziora. Wodospad ten jest celem licznych wycieczek i bezwątpienia wart zwiedzenia, zwłaszcza, gdy wieczorem bywa bengalskim ogniem oświetlonym.

Silny wiatr, który się zerwał, zburzył fale jeziora, tak iż wcale nie źle statkiem miotały. Całą drogę bawiłem się widokiem licznych łabędzi, które starały się jak najbliżej statku dopłynąć, ale zabierane falami ginęły w ich otchłani lub w górę podrzucanemi bywały.

Interlaken, w tylu podrózach i powieściach opisywane, zawiodło nieco me oczekiwanie.

Miałem nadzieję znalezienia miejscowości trochę podobnej do Bellagio, spokojnej i romantycznej. Tymczasem znalazłem miasto o kilku szerokich ulicach, starymi orzechami wysadzanych i olbrzymich hotelach ze zbytkiem wielkomiejskim urządzonych.

Z powodu późnej wiosny sezon w Interlaken nie był się jeszcze rozpoczął i ulice były dość puste, tem wygodniej i spokojniej mogłem się wpatrywać przez parę godzin w śliczną Jungfrau, u której stóp Interlaken leży.

Nieraz dawniej zadawałem sobie pytanie, z kąd ta poetyczna nazwa groźnej, śniegiem i lodowcami pokrytej górze daną była?

Pojąłem jednak, gdy ją dziś zobaczyłem taką białą, czystą i kokietującą promieniami słońca a przytem zmieniającą toaletę kilka razy dziennie. Rano jest ona „górnad-alpejskich śnieżystą dziewicą“ otuloną w biały welon mglisty, jakoby wstydząca się przed groźnym i ponurym Wetterhornem, który od lat tysięcy na nią patrzy; w południe opromieniona słońcem, błyszcząca tysiącami diamentów, na białej sukience rozsianych, a wieczorem w tęczowe ubrana kolory płomiennym krasi się rumiencem, dopóki zmierzch nie pokryje jej wdzięków przezroczystą krepą,

w której jak zakonnica, żegnająca się ze światem, wygląda.

Cale Interlaken otoczone jest amfiteatrem skał i pagórków, z których czarujący widok na Alpy i na dolinę się roztacza; a zwłaszcza na dwa jeziora Brienz i Thun, między którymi, stosownie do swój nazwy Interlaken leży.

Opuściwszy ten śliczny zakątek kraju, który wszelako Bóg także ciężką plagą dotknął, gdyż stał się ulubionym siedliskiem Buchholzów, dojechałem koleją żelazną do jeziora *Thun* i tam się na statek przesiadłem.

Towarzystwo, z którym płynąłem, składało się głównie z wieśniaków, spieszących gdzieś na jarmark, w aksamitnych kaftanach, świecącymi guzikami obszytych, z wieśniaczek, nie odznaczających się pięknnością, lecz przeciwnie pewnym owczym wyrazem twarzy, do czego się nie mało ich chorobliwe podgardla, jak dzwonki owcom uwiązane, przyczyniały, oraz kilka milezących i znudzonych par angielskich.

Po drodze żegnałem się z ginącymi w oddali koronami Wetterhornu i Jungfrau, gdy wtem dojechaliśmy do stacyi Gunten, gdzie uwaga moja skierowała się najprzód na dwie srebrne kaskady, do jeziora z szklannym dźwiękiem wpadające, a powtóre na nowego gościa, który z pewną trudnością i znacznym uporem

na statek wprowadzonym został. Gościem tym była krówa; śliczna, biała jak mleko krowa, która ku wielkiemu przerażeniu i zgorszeniu kilku zębatach Angielek na pokładzie uwiązana została.

Wbrew ogólnej opinii pozyskała ona wnet mą sympatyą, tak idealnie bezmyślnie w uciekające fale jeziora się wpatrywała. Niestety, nie była ona przyzwyczajoną do tak dobrego towarzystwa i to, co się potem stało, użyźnia wprawdzie łąki i pola, ale bardzo nieładnie wygląda na pokładzie statku naładowanego Angielkami!...

Ponieważ pociąg łączący Thun z Bernem dopiero za godzinę miał odejść, przeto korzystałem z krótkiego niestety czasu, by choć pobieżnie miasteczko to zobaczyć. Jest ono niejako bramą otwierającą ów raj olbrzymi gór, lodowców, kaskad i jezior i wszystkich innych cudów szwajcarskich, które tu się zaczynają. Ja już niestety wychodziłem ową bramą, zostawiając za sobą wszystko, co piękne i poetyczne, a jadąc w kraj, który stopniowo będzie coraz mniej malowniczym, potem brzydkim, coraz brzydszym i wreszcie szkaradnym; wtedy będę już bardzo blisko Berlina!

Thun jest o tyle ciekawem, że domy mają wysunięte partery, jak szuflady, tworzące górą

drugą ulicę teras i ogrodów. Kościół wznosi się na wzgórzu, na który kilkaset stopni wysokimi schodami się dochodzi. Oryginalne też są dwie kwadratowe wieże, wieżyczkami małemi otoczone, datujące z średnich wieków, a tak wysokie, że zdaleka dostrzedz je można.

Bern, sławne największą w świecie beczką i zdarzeniami wojennemi, leży w ślicznej okolicy i ma najwięcej charakteru starych miast szwajcarskich. Ulice szerokie, otoczone arkadami, wielka katedra, której nigdy nie widziałem, muzea, kilka pałacy publicznych i owa sławna beczka 620 litrów w sobie mieszcząca, oraz zegar, przed którym kogut pieje i niedźwiedzie tańczą, oto główne ciekawości miasta.

Po wszystkich ulicach rozrzucone fontanny w niezliczonej ilości, ozdobione statuami różnych nieznanymi wielkościami berneńskich i szwajcarskich, a zawsze prawie w towarzystwie niedźwiedzia, lub niedźwiadka, stanowiących herb miasta. Między innymi widziałem oryginalną fontannę, nad którą wznosi się olbrzym połykający dziecko i mający pełno innych małych dzieci pochowanych w kieszeniach, z których przerażone główki wyglądają. U stóp olbrzyma cała rodzina niedźwiedzi się rozłożyła.

Zd. Cz.





List XXXVIII.

Berlin, 12 maja 1895.

Późno w nocy zajechałem do *Bazylei*; ponieważ księżyc świecił, przeto przeszedłem się trochę po mieście, chcąc rozpoznać różne z dawnych podróży znane mi ulice i gmachy. Piękne to i duże miasto, szeroko nad Renem rozłożone i bogate w kościoły i muzea.

Nazajutrz rano rychło opuściłem Bazyleę, mając zamiar dojechania tego samego dnia do Strassburga, zatrzymując się poprzednio parę godzin w małej miejscinie alzackiej, *Guebville*.

Pierwszy raz w życiu przejeżdżałem przez Alzacyą, więc z ciekawością przyglądałem się urodzajnym polom i starymi lasami pokrytym

wzgórzom poczynających się Vogezów i myślałem sobie, że Prusacy wiedzieli, co zabrać, bo Alzacya, to najbogatsza część Francyi, a Francya najbogatszą częścią Europy; można więc sobie wystawić, że ludziom tu się nieźle powodzić musiało. Z tem wszystkim kraj przypomniał mi Księstwo Poznańskie; oczywiście nie bogactwem i położeniem, ale stosunkami politycznemi i prawdziwie ojcowską opieką rządu!

Celem méj wycieczki do Guebviller był zamiar odwiedzenia hr. S., znanego i.a. całą Alzacyą patryarchy i nestora, oraz weterana z pod Szawel i Ostrołęki. Jako młodzieniec 17-letni zdobył sobie laury na polu bitwy i zmuszony był emigrować za granicę; tam umiał sobie zaskarbić zaufanie i protekcya księcia Adama Czartoryskiego, z którego rodziną do dziś dnia łączą go węzły przyjaźni, oraz jenerała Zamoyskiego, którzy się obaj karierą młodego Litwina zajęli. Pan Bóg błogosławił szlachetnej pracy, gdyż dziś siwy, przeszło osiemdziesiąt letni starzec jest milionowym posiadicielem znacznych fabryk bawełnianych i cieszy się uznaniem i szacunkiem całej Alzacyi, która go nestorem i dziekanem przemysłu krajowego mianowała.

Niestety, i w jesieni jego życia krzyżów mu nie zabrakło. Jedynek syn i zięć padli w bitwie pod Belfortem od kul pruskich, a jedynemu wnukowi, będącemu także oficerem francuzkim, nie wolno dziadka odwiedzić i majątności po śmierci jego dziedziczyć. Wskutek tego hr. S. zmuszonym będzie wszystko wyprzedać i ku wielkiemu zmartwieniu całej okolicy, miasteczka i kilkuset robotników, których był dobroczyńcą, Alzacyą opuścić.

Chcąc prosto z dworca kolei do domu hr. S. zajechać, wziąłem fiakra, na którego koźle furmaniła kobieta tak olbrzymich rozmiarów i kolosalnej peryferyi, iż mi całą okolicę zasłoniła.

W domu hr. S., acz z francuzkim komfortem urządzone, ale odznaczającym się prawdziwie polską gościnnością gospodarza, który sześćdziesiąt przeszło lat kraju rodzinnego nie widział, spędziłem kilka na zawsze mi pamiętnych godzin, do czego się też nie mało przyczyniła poczciwa stara *Nanette* i starsza jeszcze piwnica pana domu.

Nazajutrz zatrzymałem się w Strassburgu, gdzie po raz pierwszy miałem sposobność jedzenia pasztetu i zwiedzenia katedry, będącej obok katedry kolońskiej najpiękniejszą świą-

tynią Niemiec, co nie przeszkadza, że jej z powodu prawdziwego labiryntu małych uliczek odnaleźć nie można. Jest to dziwna miskulancya stylów gotyckiego z bizantyjskim i romańskim, z których pierwszy przeważa. Główne wejście i cała fasada jest koronką tak misternie wyrzeźbionych apostołów, świętych i t. d., iż się godzinami w nią wpatrywać można. Szczyt wieży nosi miłą pamiątkę wandalizmu z wojny siedemdziesiątego roku, w którym to czasie *wycelowano* kulę armatnią na krzyż, który do dziś dnia jest skrzywiony.

Zajmującym bardzo jest sławny zegar, bawiący mieszkańców Strassburga od 500 lat, który wskazuje pory roku, miesiące, dni, godziny, zmiany księżyca, inne różne astronomiczne osobliwości i kunsztowny nadzwyczajny mechanizm, wyprowadzający o różnych godzinach Chrystusa, apostołów, śmierć i t. d.

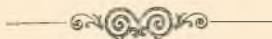
Innych osobliwości strassburgskich jak pomnika ks. Maurycego Saskiego, domu Guttenberga etc. nie opisuję, gdyż za nadto są znane.

Przez *Karlsruhe, Heidelberg, Darmstadt, Frankfurt* i inne równie brzydkie, jak nudne miasta niemieckie, przeleciałem bez zatrzymania i koło siódmej rano przebudzony zostałem basowym głosem szafnera: „*Berlin! Alles aussteigen!*“

I oto jestem „*in dem modernen Babylon*“, jak Niemcy swą stolicę nazywają, będącym ich dumą, a niestety eldoradem tylu mych współrodaków. Przejeżdżając z dworca do hotelu, ujrzałem w bladym słońcu Północnym migoczący, jak nowa pikelhauba, szczyt kopuły parlamentu.

Ja tyle innych kopuł niedawno widziałem, ale wszystkie były oświetlone złotem słońcem Południa i były przybytkami ludzi szczęśliwych, wesółych i wolnych. Pod niezgrabną i nieestetyczną, jak sklapnięta legumina, kopułą parlamentu zobaczą ludzi, którym polityka, dyplomatyczne tajenie uczuć, oraz wieczna podejrzliwość i zawiść odjęły spokój, swobodę i szczęście. Wszedłszy między nich, uczują się obcym i rozumieć się nie będziemy. Ja wracam z kraju, gdzie życie snem bywa złotym i jednym pasmem chwil szczęśliwych, a jeżeli prawdą jest, że sen bywa sumienia harfą, po której grają wichry świata, to sen mój był wypoczynkiem duszy i serca, i dziś chociaż senny i zadziwiony między ludzi powracam, czuję się tak szczęśliwym, jak ci, którym nieba rąbek ukazano. Wchodząc pod kopułę parlamentu, pomyślę o Colosseum w Veronie, które Ci kiedyś opisywałem; tu i tam krwawe odbywają się igrzyska, tu i tam walczą ludzie

z bijącym sercem i płomienną duszą, z tą tylko różnicą, że w Veronie szyderstwa i kłamstwa nie znano, i że poległych w Veronie za męczenników, a pokonanych w Berlinie za *zdrajców* motłoch uliczny uważa!....





List XXXIX.

Na wyjeźdźnem z Berlina,
15 maja 1895 r.

Za godzinę opuszczam Berlin. Do włoskiego słońca, do palm i cyprysów przywykłym oczom ukazać się niedługo Starosieleckie olchy i topole, a nad niemi szary słup dymu delikatną winiętą, się kłębiący. Będzie to dym z komina starego mego dworu; pierwsze powitanie z płonącego ogniska domowego! Jakiem będzie wtedy uczucie, które sercem mem zawładnie? *Dura lex sed lex*, może powiem, ale równocześnie, jak pielgrzym z dalekiego kraju powracający, który dziwy i cuda Bożej potęgi oglądał, zetrę pył z nóg moich i chyląc głowę przed rodzinną ziemią, powtórzę w duszy słowa poety:

Wolę i sędzę najpiękniejszą z krajów
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów,

Pelną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
 Konwalia, pełną sosen, kalin, jodeł,
 Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
 Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł....

A więc:

Pereat mundus, vivat Stary Solec!

Z. Czartoryski.



Sprostowanie omyłek

<i>Str.</i>	<i>Zamiast :</i>	<i>Ma być :</i>
4	drugiego wieczóra	drugiego wieczór
14	przebija	przebijała
26	Bracciano	Bracciano
39	gronda	grande
63	gotycyzmym	gotycyzmem
71	po wyjezdzie,	po wyjeździe jego
74	najgenialnejsi	najgenialniejsi
82	Pappgeschicht	Pappgesicht
121	Balonia	Bolonia
128	kllku	kilku
151	tytanicznie	tytaniczne
169	droga do tamtąd	droga tam
178	mełny Arno	mętne Arno
185	mularzy	malarzy
194	nastrojonéj	strojnéj
200	z Cavalleryi Offenbacha	z Cawalleryi Offenbacha
201	ginie	giną
229	śpiewacy i pocii	śpiewali pocii
237	Carolota	Carlotta
246	swoje z oj-tezyzny	swoją z Ojczyzny
248	blaga	blaga









WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

139222

Biblioteka WSP Kielce



0139098